

RICHARD GORDON

**Kapi-  
tański  
STÓŁ**



przełożył

**ANTONI STRZELBICKI**



WYDAWNICTWO

MORSKIE

## 1

Kapitan William Ebbs, M.B.E.\*, dowódca frachtowca „Martin Luther”, należącego do Pole Star Line, ponuro spoglądał przez deszcz na parterowe okna biura swojej Kompanii przy ulicy Leadenhall. Jaśniały one od błyszczących modeli statków liniowych, przekrojów miniaturowych kabin, kolorowych zdjęć opalonych dziewcząt sprężonych na pokładzie w skoku podczas gry w kółka\*\* i pełnych słońca afiszów nawołujących bronchitycznych Anglików: „Zwiedzajcie Australię” —• dając radosny obraz życia na pokładzie statku, obraz, który go zawsze irytował. Tak samo złościło go biuro, gdzie każdy wezwany kapitan zjawiał się w dopiero co włożonym, lecz pozbawionym znaczenia cywilnym ubraniu i był tyranizowany przez wybladłych urzędników i podlotkowate sekretarki, odpowiadał na mgliste pytania dotyczące uszkodzeń sztormowych, chorych marynarzy i materiałów uznanych za niezdatne do użytku — spraw dawno zgłoszonych i dawno zapomnianych podczas podróży. Od wielu lat te służbowe wizyty były dla Ebbsa najgorszym utrapieniem związanym z funkcją kapitana, a na jego obecną wizytę tym większy cień rzucała pewność, że zszedł na ląd, aby zostać zwolniony z pracy.

\* M.B.E. — Member of the Order of the British Empire — odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego.

\*\* Chodzi o grę w języku angielskim noszącą nazwę: quodts.

Ebbs był wysokim, kościstym mężczyzną o łagodnych oczach, niespokojnych rękach, niezgrabnym chodzie — zupełną karykaturą konwencjonalnego wyobrażenia kapitana statku — który obnosił swą godność ze znużoną miną nisko płatnego kierownika szkoły w ostatnim dniu roku szkolnego. Gdy wszedł do gmachu, z szacunkiem zdjął ociekający wodą miękki filcowy kapelusz, zdeformowany długim przebywaniem w morskim powietrzu i ponadgryzany przez setki owadów nieznanymi angielskim garderobom, a spod nieprzemakalnego płaszcza ukazał brązowe samodziałowe ubranie, wyglądające jakby ostatnio używane było do przechowywania kartofli.

— Och, panie kapitanie. Sir Angus czeka na pana całe popołudnie — powiedziała sekretarka, kiedy się zgłosił.

— Przykro mi, ale zatrzymano mnie na nabrzeżu. W jakim jest nastroju? — spytał tonem, jakby się informował, czy dobrze wyostrzono nóż.

— Wydaje się dzisiaj raczej nie w humorze.

Intensywnie szukając w myślach możliwości znalezienia posady na lądzie, Ebbs wszedł za sekretarką do gabinetu prezesa Linii, siedzącego wśród boazerii z drzewa tekowego i emanującej z całego wnętrza tradycji jego dawnych statków.

Kompania Pole Star została założona w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia przez rudobrodego kapitana Andrewa McWhirreya z Orknejów, który przez czterdzieści lat tłukł się po chińskich brzegach, a nie martwiąc się o zajeżdzenie na śmierć statków i ludzi, dożeglował do fortuny. Był pobożnym żeglarzem, ograniczającym swe osobiste wymagania do jednej fajki wypalanej o zachodzie słońca i noszącym Biblię pod pachą jak teleskop.

„Żniwa są udane, lecz żniwiarzy jest niewiele” — wrzeszczał na leniuchującego marynarza, obdarzając go kopniakiem, aż ładował głowę w szpigacie. „Porzuć żądze cielesne, które zagrażają duszy” — huczał na pijanego bosmana, ciosem pięści przerzucając go przez reling rufówki. Pijaństwo i gry hazardowe były na jego statku zabronione, a w każdą niedzielę załogę zwoływano na rufę na nabożeństwo; miał głos doskonale się nadający do odczytywania modlitw, i mówiono, że nikt lepiej od niego nie potrafi urządzać pogrzebów na morzu.

Obecna głowa Linii była złagodzonego wydaniem starego Andrewa, który okiem wilka morskiego spoglądał z portretu na ścianie. Płomienna grzywa uległa redukcji do paru rozwichrzonych kępek na różowej łysinie. Oczy, które niegdyś przebijały horyzont, zostały rozwodnione i zamazane przez szkła okularów, a głos rzucający w głąb kubryka straszliwe przekleństwa grzecznie się dostosował do wymogów rozmowy przez telefon. Ale Angus McWhirrey był takim samym twardym armatorem jak jego pradziadek. Ponieważ jednak do karcenia nie mógł już używać knagi ani butów, poddawał więc swoich podwładnych codziennej chłości poufnych notatek wstrzymujących awanse lub przygważdżających ludzi nie lubianych na przestarzałych trampach Kompanii, dopóki nie ulegli emeryturze lub udarowi cieplnemu.

Przez kilka sekund McWhirrey patrzył na Ebbsa spojrzeniem, jakim jego przodek badał winnych członków swojej załogi, zastanawiając się, czy ich wychłostać pod głównym masztem, czy też uczernić im gęby wrzącą smołą.

— Niech pan siada, kapitanie — powiedział łagodnie.

Ebbs posłusznie przysiadł na brzeżku krzesła. — Pański raport z Adenu — ciągnął McWhirrey — zawiera wiele interesujących rzeczy. Szczególnie uderzyła mnie pańska uwaga... — znalazł odpowiednie miejsce w papierach — „Martin Luther» nie nadaje się już do przewozu ładunków, zwierząt ani marynarzy i moim zdaniem powinien być pocięty na złom, zatopiony lub przy okazji następnego rejsu do Australii ofiarowany rządowi na przeprowadzenie prób z bombami atomowymi". — Podniósł wzrok. — Czy zechciałby pan to rozwinąć, kapitanie? Proszę nie liczyć się z czasem. Jestem gotów poświęcić całe popołudnie na wysłuchanie każdego, kto lepiej ode mnie zna się na żegludze.

Ebbs czuł, jak krople deszczu z kołnierzyka zaczynają mu spływać wzdłuż karku, i nie powiedział nic.

Przez pięć lat sprawował niezdolne dowództwo nad „Martinem Lutherem", długim, niskim statkiem-potworem, aż do zupełnego wyczerpania wyskrzypującym swój kurs po oceanach świata. Z właściwą sobie obowiązkowością znosił kiepską chłodnię, czyniącą żywność po tygodniu od wyjścia z portu zapleśniałą i zjelczalą; każdej nocy drżące i przygasające światło elektryczne: wilgoć skraplającą się i spływającą po ścianach kabiny i karaluchy po nich paradujące; do rozpacz doprowadzającą maszynkę sterową, która spowodowała, że statek zaczął w porcie Sydney zataczać oszalałe, niebezpieczne kręgi; i załogę, której przyjęcia na pokład odmówił już z tuzin kapitanów lepszych statków, składającą się z samych malcontentów, codziennie rano wpadających dziko na mostek i każde wyjście na ląd kończących w kajdankach. Ale skargi poczęte w kabini, tak gorąco spływające z jego pióra na

drugiej półkuli, marzły i ginęły w londyńskiej atmosferze: wiedział, że Pole Star Linę oczekuje od swoich kapitanów zadęczenia się na śmierć w honorowym milczeniu.

— Może byłem trochę przepracowany — wymruczał głosem pełnym nadziei na zrozumienie. — Ten upał, Sir Angus...

— Nie spodziewamy się tego po naszych kapitanach, którym powierzono ludzi i statki, by ulegali na tropikalnych wodach wpływowi upałów, jak harcerki na pikniku.

Ebbs podniósł się. Przynajmniej zwolnienie potrafi przyjąć w sposób godny kapitana Brytyjskiej Marynarki Handlowej.

— Sir Angus — rzekł z godnością. — Tej Kompanii poświęciłem dwadzieścia pięć lat mojego życia, od chwili gdy byłem szesnastoletnim kadetem, i to na znacznie lepszym statku niż „Martin Luther”. Swoje obowiązki zawsze wypełniałem z myślą o interesach Kompanii, tak jak to przede mną czynili mój ojciec i mój dziadek. Miałem nadzieję, że w swoim czasie cnota nie będzie musiała być sama sobie nagrodą, ale widzę, że się pomyliłem. Ponieważ już nie potrzebuje pan moich usług, pozwoli więc pan, że go pożegnam. — W skromnym wybuchu buntu nałożył kapelusz. — Odchodzę, żeby znaleźć inną pracę. Jaką i gdzie... nie mam najmniejszego pojęcia, ale zawsze będzie to coś innego niż Pole Star Company, która, Sir Angus, jeśli mogę to panu powiedzieć — ciągnął trochę przestraszony swoją własną śmiałością — jest największą bandą zbrojów morskich od czasów kapitana Kidda. Do widzenia!

— Kapitanie Ebbs — z niezachwianą cierpliwością rzekł McWhirrey. — Czasami jest z pana cholerny dureń.

Ebbs zatrzymał się.

— Nie chodzi o zwolnienie pana. Wezwałem tu pana, żeby pana awansować — ołówkiem wskazał planszę na ścianie, podobną do kolejowego rozkładu jazdy, ukazując codzienne pozycje statków floty Pole Star. W jednej kolumnie były szybkie, białe liniowce, dziedziczące swe nazwy jak arystokraci tytuły, których wodowanie obchodzono niby modne śluby, a ich rotację podawano w „The Times” tuż pod notowaniami giełdy; w drugiej figurowało pięćdziesiąt ciężko harujących, nikomu nie znanych frachtowców, które wypełzały z brytyjskich portów uniżenie salutując banderami swych wielkich braci, aby na całe miesiące zgubić się w wyciskających pot portach Morza Jawajskiego, Zatoki Perskiej czy wybrzeży Queenslandu. — Wie pan, że kapitan Buckie zachorował?

Ebbs patrzył na niego wytrzeszczonymi ze zdumienia oczyma.

— Wczoraj zemdlął w autobusie. Wielka szkoda, oczywiście. Niemniej jednak jego statek musi w poniedziałek odpłynąć do Sydney. I nie mamy zastępstwa. Dlatego wyznaczamy pana, kapitanie, na „Charlemagne”.

— Ależ to jest statek pasażerski!

— O tym wiedziałem już wtedy, kiedy moja żona dokonała wodowania.

Ebbs usiłował się opanować, przełknął ślinę chcąc coś powiedzieć i zrezygnował. Natomiast wysiąkał nos. Często tak robił, kiedy chciał coś podkreślić, zyskać na czasie lub dać upust wzruszeniu.

— Kiedy pan może być na statku? — spytał Sir Angus.

— Wieczorem... w każdej chwili... *nawet* teraz, jeśli trzeba.

— Wystarczy jutro rano — McWhirrey wstał i z namysłem zaczął się przechadzać po des-

kach wydeptywanych niegdyś przez pokolenie gniewnych kapitanów. — Kapitanie Ebbs, co pana skłoniło do wyobrażania sobie, że my tu w biurze nic nie wiemy' o tym, co się dzieje na morzu? Rzecz jasna, że „Luther” jest kiepskim statkiem. I to właśnie było przyczyną, dla której trzymaliśmy na nim pana. Nie mam zwyczaju wręczać bukietów, ale tam na nim zrobił pan dobrą robotę. Na swój własny sposób. W każdym razie utrzymał pan statek w ruchu, a załogę przy życiu, co na „Luthe-rze” już jest swego rodzaju wyczynem. Człowieku, musi pan mieć więcej zaufania do samego siebie. Już dawno nie jest pan czwartym oficerem. I niech pan przestanie być tak drobiazgowy. To tylko zdenerwuje pańskich nowych oficerów.

— Drobiazgowy? Ja drobiazgowy?

— Muszę panu jasno powiedzieć, że pańska nominacja jest na okres próbny. Przypuszczam, że Buckie raczej już nie wróci na morze. Jeżeli się panu powiedzie, uznamy nominację za stałą, pomimo pańskich poglądów na Kompanię, która panu płaci...

— Ja miałem na myśli... tylko żart — Ebbs usiłował się uśmiechnąć.

— Niewątpliwie. Bardzo zabawny. W normalnych warunkach, jeśli się pan dość szybko wciągnie w swoje nowe obowiązki, nie ma powodu, dla którego nie miałby pan być doskonałym kapitanem na „Charlemagne”. Ale jeśli się panu nie powiedzie... z powrotem na „Martina Luthera”. Rozumie pan?

Ebbs skinął głową.

— Bardzo dobrze. Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pogratulować panu w imieniu dyrekcji. I oczywiście życzyć panu najprzejemniejszego rejsu!



## 2

W Marynarce Wojennej nowy dowódca doświadcza na okręcie przyjemnego powitania z ceremonią przenikliwych świstów bosmańskich gwizdków i dygotem salutów, w Marynarce Handlowej natomiast — nawet w tak wytwornym przedsiębiorstwie, jak Pole Star Linę — przybycie nowego kapitana jest rzeczą równie nieciekawą, jak ukazanie się nowego zawiadowcy stacji.

Wczesnym rankiem następnego dnia Ebbs przybył do Tilbury i stał na nabrzeżu, anonimowy w swoim nieprzemakalnym płaszczu, patrząc na zimne, białe burty „Charlemagne” ze zdenerwowaniem praktykanta lustrującego swój pierwszy statek.

Od chwili gdy jako dorastający, okrutnie piegowaty młodzieniec zwinął się w kłębek w hamaku na statku szkolnym „Worcester”, ambicją jego było dowodzenie pasażerskim liniowcem. Nawet pierwsza przechorowana podróż i pierwszy morski kapitan, huczący, sześciostopowy olbrzym, który w swoją załogę wbił przeświadczenie, że nadejście dnia sądu ostatecznego byłoby dla niej czymś w rodzaju odprężenia, nie stłumiły w nim przekonania, że wraz z postępującą dojrzałością dojdzie do mostku pocztowego parowca. Mając dwadzieścia lat stwierdził z oszołomieniem, że jest trzecim oficerem na jednym z liniowców Pole Star, a że był przewidującym młodym człowiekiem, zamiast pornografii przemycał na pokład książki kształcące umysł i układał sobie tajny plan mający doprowadzić go do wygod kapitańskiej kabiny. Chętnie brał na siebie wszystkie niewdzięczne zadania, takie jak sprawdzanie łodzi ratunkowych czy badanie pomp zęzowych, i zgłaszał ich wyko-

hanie starszemu oficerowi; swoje skromne doświadczenie morskie uzupełniał żmudnym studiowaniem „Podręcznika wiedzy okrętowej” i ustawicznie śledził nieprawidłowości w budowie statku i w pełnieniu służby, informując o nich kapitana podczas jego codziennego samotnego spaceru przed śniadaniem. Ten system doprowadził do tego, że przy końcu podróży został wylany ze statku, ale zniechęcenie ogarnęło go dopiero wtedy, gdy ujrzał, iż lata oddalają go od celu: z trzeciego oficera na statku przewożącym tuzin pasażerów awansował na drugiego na innym tylko z trzema miejscami pasażerskimi, potem na starszego oficera na statku w ogóle bez pasażerów, przewożącym mięso, a ostatnio na kapitana „Martina Luthera”, w którego gorącym kadłubie jego ambicje szybko skurczyły się do marzeń o dowodzeniu jakimkolwiek statkiem z możliwym do przewidzenia działaniem maszynki sterowej.

Ebbs szybko wszedł po długim trapie na rufowy pokład „Charlemagne”.

— Dzień dobry — rzekł do grubego trapowego na górze. — Jestem kapitanem.

— Nie. Pan nie — odparł ten ostrożnie. — Kapitan jest chory.

— Nowym kapitanem — wyjaśnił Ebbs.

Trapowy leniwie zasalutował.

— Czy jest na statku starszy oficer?

Trapowy zaskoczony przewrócił oczami. — Starszy oficer, panie kapitanie? Nie. Nie ma go na statku. Jest na urlopie.

— No a drugi oficer?

— Ach, wiem, gdzie on jest. Jest na lądzie, u dentysty. Intendent jest w Urzędzie Celnym, ochmistrz w dziale hotelowym, doktor zwykle nie pokazuje się przed dniem wyjścia na morze, a starszy mechanik leży ciężko przeziębiony. Poleciał, żeby mu nie przeszkadzano.

— **A kto ma służbę?** — ostro spytał **Ebbs**.

— ■ Czwarty, panie kapitanie. Jest w pierwszej ładowni.

— No dobrze, bardzo dobrze. Proszę tu zostać i dopatrzeć wniesienia mego bagażu na statek. Jeżeli już zmuszony jestem sam się zaprowadzić do swojej kabiny, uczynię to.

— Czy na pewno pan trafi, panie kapitanie?

— ■ Trapowy, dla marynarza wszystkie statki są takie same — rzekł Ebbs uroczyście. — Pływają po wodzie, mają maszyny, zapewniają stół i koję. Tylko ludzie na nich są różni. Proszę to zapamiętać.

Zamaszyście pomaszzerował w stronę dziobu, przytrzymując swój miękki filcowy kapelusz, a zimny wiatr z lekkim śniegiem zacinający od ujścia Tamizy mocno owijał nieprzemakalny płaszcz dokoła jego nóg.

„Charlemagne”, znany wszystkim brytyjskim marynarzom jako „Charley Mange”\*, był jednym z mniejszych liniowców Pole Star. Zaprojektowano go na sześciuset pasażerów, w nowoczesnym stylu upartego pozbywania się takiej ilości konwencjonalnych szczegółów architektury statku, jakiej się tylko dało. Z kadłubem nic nie można było zrobić, bo jeszcze nie wymyślono nic lepszego nad kształt „Cutty Sark”\*\*, ale kominy, których liczba w latach trzydziestych była wskaźnikiem mocy statku, zostały zmiecione w jeden, i to ukośnie ścięty, znużone nawiewniki usunięto z pokładów, a maszty zredukowano do jednego szpikulca sterzącego nad mostkiem. Ulegając nowoczesnej modzie głoszącej, że ocean jest czymś wstydlivym, co należy, jak tylko się da, ukryć przed

\* Charlemagne — Karol Wielki. Charley Mange — Parazywy Karolek.

\*\* „Cutty Sark” — angielski kliper z XIX w., słynny z prędkości i smukłego kształtu kadłuba.

pasażerami, dekorację salonów pierwszej klasy powierzono sympatycznemu, młodemu człowiekowi, włochatemu od tweedu i szorstkiemu od sztruksu, który na morzu nie był dalej niż na balkonie „Prospect of Whitby”\*. „Charlemagne” oferował też pomieszczenia klasy turystycznej, znajdujące się na dnie wąskiej klatki schodowej, prowadzącej ku rufie. Zejście z tych schodów wywierało na pasażerze wrażenie równie odstręczające jak perspektywa wdrapywania się na galerię w londyńskim teatrze: pastelowe odcienie stopniowo szarzały, uginające się pod stopami dywany posadzek przechodziły w twardo dźwięczące linoleum, lampy niemiło świeciły przez zwykłe grube szkło, a bryzę morską, troskliwie skierowaną przez budowniczych do apartamentów pierwszej klasy, zastępowały na zmianę zapachy gorącej oliwy z maszynowni i gorącego tłuszczu z kuchni.

Ebbs patrzył na pudełka po papierosach, strzępy gazet, wypalone zapalniczki i puste butelki po piwie porozrzucane wszędzie przez robotników portowych, a nadające pokładowi wieczorny wygląd trybun stadionu po sobotnim meczu piłki nożnej. Aż do przesady był wrażliwy na nieporządek i już układał sobie rozkazy mające na celu oczyszczenie statku, kiedy dotarł do drzwi oznaczonych mosiężną wspaniałością: KAPITAN.

Przekroczył próg sztormowy i rozejrzał się po swoich nowych apartamentach. Na „Martinie Lutherze” zajmował pomalowany na zielono stalowy kącik między pomieszczeniem żyrokompasu a oficerskim schowkiem na okrycia sztormowe, ale dowodzenie „Charlemagne” nagradzało go przytulnie wyłożonym boaze-

\* „Prospect of Whitby” — „Widok na Whitby”, dawna tawerna marynarska, dziś jedna z najwytworniejszych restauracji Londynu.

rią i puszystym dywanem salonem, w którym wygodnie mogłaby się zmieścić cała jego poprzednia załoga. Przypomniawszy sobie, że wchodzi do mieszkania człowieka chorego, raptownie przywołał na twarz wyraz powagi, ale rozplynął się on szybko, gdy przeszedł do sypialni i stwierdził, że wyposażono ją w podwójne łóżko pod różową jedwabną kapą. Z satysfakcją parę razy na nim podskoczył, potem przeszedł do łazienki i wesoło wypróbował wszystkie kurki. Wróciwszy do salonu stanął na środku, założył ręce do tyłu i bacznie przyjrzał się umeblowaniu. Kompania pierwotnie przeznaczyla tę kabinę na miejsce zabawiania pasażerów, urządzając ją na wzór herbaciarni w pensjonacie. Poza biurkiem, wielkością dorównującym biurku McWhirreya, były tam dwie różowe sofy, liczne różowo-złote fotele i odpowiednie stoliki, kilka lamp z różowymi abażurami, trzy zegary z różowymi cyferblatami, zasłony na iluminatorach całe w różowe kwiaty i kominiek, na którym dwa niepalne polana tliły się w stałym, elektrycznym, różowym żarze. W jednym rogu stała różowo-złota szafka. Ebbs wziął ją za szafę na garderobę, ale po otwarciu stwierdził, że jest pełna szkła: kieliszków, szklanek, butelek i naczyń do mieszania cocktaili. Nagle zaczął się śmiać: po codziennej walce o jaką taką wygodę na „Martynie Lutherze” ten szczytowy luksus miał w sobie coś absurdalnego.

Usłyszał za sobą kasznięcie.

— Ach, intendent — Ebbs rozpoznał przybyśsza po białych paskach na rękawach.

— Dzień dobry panu. Nazywam się Prittlewell. Herbert Prittlewell. Mam nadzieję, że kabina się panu podoba?

— Dziękuję, bardzo.

— Rzeczy pańskiego poprzednika, panie ka-

pitanie, kazałem usunąć, kiedy się tylko dowiedziałem o jego chorobie.

— ■ Smutne, bardzo smutne — rzekł Ebbs znowu poważniejąc. — Ja... oczywiście posłałem trochę kwiatów, winogron i tak dalej.

— Naturalnie, panie kapitanie.

Prittlewell przenikliwie obserwował Ebbsa. Jako kierownik działu hotelowego na „Charlemagne” spędził: życie na, szacowaniu ludzi, oddzielając naprawdę ważnych, bogatych, uczciwych czy zonatych od starających się wykorzystać izolację na morzu do udawania, że takimi są. Był wysokim, siwym przystojnym mężczyzną z monoklem, podobnym do admirała z kreskówki, o pełnych wdzięku manierach mogących pochodzić z Dartmouth\*, z jakiejś dobrej szkoły lub przynajmniej z South Kensington\*\*. Ale Prittlewell nie był w żadnym z tych miejsc. Zaczął jako czternastoletni chłopiec hotelowy na pokładzie jednego z liniowców Pole Star, gdzie odkrył, że paczki mydła, masła, herbaty i nakryć stołowych można było bezpiecznie przeszmyglować na ląd w wydrążonym egzemplarzu Biblii i zyskownie sprzedawać sąsiadom w jego rodzinnym Stepney. Ta przedsiębiorczość przepchnęła go szybko przez szeregi niższych stewardów, ale wkrótce sam był niezadowolony z tak trywialnych metod kradzieży i zabrał się do przyswojenia sobie zasad księgowości, dobrych manier i akcentu z mesy oficerskiej dla uzyskania kontroli nad tuzinem cichych prowizji i mnóstwem nigdzie nie

\* Dartmoth — siedziba The Britarmia Royal Naval College, oficerskiej szkoły marynarki wojennej (podchorążówki).

\*\* South Kensington — wytworna dzielnica zamieszkała przez arystokrację i ludzi zamożnych; centrum naukowo-artystyczne Londynu.

wymienionych przywilejów dających władzę i zysk intendentowi wielkiego liniowca.

— Sprowadziłem pańskie rzeczy — powiedział, gdy dwóch stewardów wtaskało skórzanego kufer w kształcie bochenka i tuzin papierowych paczek zawierających manatki Ebbsa.

— Dziękuję panu, intendentcie.

— Zdaje się, że to jest pierwsze pańskie dowództwo statku pasażerskiego, prawda? — Prittlewell bardziej niż ktokolwiek inny na statku zastanawiał się nad tajemnicą wyniesienia Ebbsa na „Charlemagne”, jako że jego dochód w dużym stopniu zależy od trzymania kapitana z daleką od ksiąg rachunkowych.

— Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego miałyby to mieć jakieś znaczenie — odparł mu Ebbs. — Dla marynarza wszystkie statki są takie same. Pływają po wodzie, mają maszyny, zapewniają stół i koję. Różni na nich są tylko ludzie. Chciałbym, żeby pan o tym pamiętał.

— Oczywiście, panie kapitanie.

Ebbs usiadł na różowym krześle przy biurku. — Przypuszczam, że w rejs wyjdziemy z pełnym statkiem?

— Tak jest. Ani jednej wolnej dziury.

— Przepraszam?

— Nie ma nie zajętych kabin. Może pan zechce przejrzeć listę pasażerów?

— Ach, dziękuję! — Ebbs skwapliwie wziął zwój kartek maszynopisu. — Nic lepszego jak od razu zabrać się do roboty, co? Hm, dobrze — mruzczał przeglądając niewyraźnie zapisane arkusze. — Ciekawe, co? Oto są ludzie, których nie mógłbym odróżnić od Adama i Ewy, a pod koniec podróży będziemy serdecznymi przyjaciółmi, znającymi się na wylot.

— Tak, to rzeczywiście godne uwagi, panie kapitanie.

— Jeśli byłby pan uprzejmy dać mi pół godziny czasu — ciągnął Ebbs — to przygotowałbym spis osób, które bym chciał posadzić przy moim stole. Wybór taki trochę przypadkowy, co? Jak wybór konia na wyścigach. A jednak z danych "dotyczących wieku i zawodu, tak przezornie dostarczonych przez centralę, może będę w stanie dobrać zgodne towarzystwo. Nie życzę sobie żadnych młodych kobiet...

— Kompania przysłała mi już listę osób, które będą siedziały przy pańskim stole.

— Chce pan powiedzieć, że w tej sprawie nie mogę wyrazić żadnego zdania?

— Absolutnie żadnego, panie kapitanie.

Wręczył Ebbsowi inny arkusz.

— Ale... ale przypuśćmy, że ja nie będę lubił tych osób?

—■ Przykro mi, ale z tym nic się nie da zrobić. Mógłby pan jadać w swojej kabinie, lecz to nie byłoby dobrze widziane przez Kompanię.

— Nie, oczywiście że nie ~ Ebbs zmarszczył brwi. — To byłoby bardzo nierozsądnie.

—■ Czy pan docenia, panie kapitanie, że miejsce przy pańskim stole jest zaszczytem, który zapewnia poważną pozycję towarzyską na statku? «

— W każdym razie na morzu będę jadał śniadanie w kabinie. — rzekł Ebbs zdecydowanie, rzucając papiery na biurko. — Śniadanie nie jest towarzyskim posiłkiem. A co to?

— Lista gości, jacy będą bywali na pańskich coctail party.

—> Panie intendentzie, czuję się w sytuacji dziecka obchodzącego swoje pierwsze urodziny.

Ramiona Prittlewella zawahały się, czy się unieść. — Taki jest zwyczaj Kompanii, panie kapitanie.



Ebbs zaczął się czuć niepewnie. Dział hotelowy „Martina Luthera” był kierowany przez nalanego piwem Irlandczyka z brudnymi paznokciami, który posłusznie żonglował tymi kilku daniami menu, jakie miał do dyspozycji, a Prittlewell działał na niego jak starszy kelner, co nie dostał odpowiedniego napiwku.

— Nie spodziewam się, żeby ktoś specjalny jechał z nami, prawda? — spytał, a jego dobry nastrój się ulotnił. — No... powiedzmy... jakieś znakomitości?



— Jest sześciu księży, panie kapitanie.

— Sześciu! — Ebbs był wstrząśnięty. — Panie intendencie, nie jestem przesądny, ale to zła wróżba.

— Racja, panie kapitanie. Zwykle uważa się, że jeden katabas wystarczy do spaskudzenia podróży. Byłem na „Hannibalu” z kapitanem Grahamem, kiedy on umarł w samym środku

balu kostiumowego. Odpowiedzialnością za to powszechnie obciążano grupę misjonarzy jadących z Singapuru. A było ich tylko czterech.

— Miejmy szczerą nadzieję, że ci okażą się mniej morderczy — rzekł Ebbs ponuro. Prittlewell pojął, że rozmowa ma się ku końcowi. — Jutro będę miał odprawę z oficerami — dodał Ebbs. — Jest jakiś ślad po starszym oficerze?

— Jeszcze go nie ma na statku.

— Jeszcze nie? Ależ ja posłałem mu ekstra-pilny telegram. Chyba będę musiał zadepeszować jeszcze raz. Jak pan myśli, co się mogło z nim stać?

Prittlewell zastanowił się. — Może gdzieś został zatrzymany? — poddał.

— Zatrzymany? Ale jak? Gdzie?

— Starszy oficer ma wielu przyjaciół, którzy w Londynie narzucają mu swą gościnność — odparł Prittlewell. Uważał to za odpowiedź względnie uczciwą.

### 3

Nazajutrz wczesnym rankiem na trap wszedł starszy oficer „Charlemagne”, John Reginald Ernest Maitland Wilson Shawe-Wilson, R.N.R.\*, jak zwykle po powrocie z urlopu cierpiący z powodu kaca, braku snu i nadmiaru wzruszeń. W dodatku był wściekły. Nominację Ebbsa traktował jako osobistą zniewagę. Mógł uznać, że jego młody wiek powstrzymywał Pole Star Linę od ofiarowania mu dowództwa „Charlemagne”, ale żeby postawić nad nim jakiegoś chamskiego obieżyświata, jakąś oceaniczną wy włókę, jakiegoś szypra z parszywego

\* R.N.R. — Royal Navy Reserve — oficer rezerwy Marynarki Wojennej.

trampa — tego było za wiele. A w dodatku człowiek ten gnębił go telegramami, pozbawił zasłużonego urlopu i skrócił miłą eksploatację romansu z ostatniej podróży z przedsiębiorczym dziewczęciem, które przed niecałą godziną z ubolewaniem pozostawił samo w łóżku.

— Kapitan chce się z panem natychmiast widzieć — powiedział trapowy salutując.

— Będ-de musiał poczekać, aż się przebiorę. Proszę to zanieść do mojej kabiny. — Postawił walizkę na pokładzie.

Kabina Shawe-Wilsona, niezwykle schludna podczas jego nieobecności, była mniejszym i bardziej zejmańskim apartamentem niż Ebbsa, gdyż jedyne zabawianie pasażerów, jakie miało tu miejsce, odbywało się potajemnie i przy zgaszonym świetle. Poważny kolor ścian, części mosiężnych i drewnianych rozjaśniały narzuty, serwetki i poduszki wręczone mu przy końcu podróży, wilgotne od łez ofiarodawczyń, których pół tuzina tęsknie wyglądało z szafki, gdzie grzebał w poszukiwaniu aspiryny. Znużonym wzrokiem zerknął do lustra na! ścianie i ujrzał, że twarz, która o szybsze bicie przyprawiła tysiąc serc na pokładzie łodziowym, przybladła i zszarzała.

Zadzwoił o herbatę i zajął się swą toaletą. Wziął prysznic, umył zęby pastą chlorofilową, wypłukał usta roztworem listerine, ogolił się, policzki wymasował wodą kolońską, płynem przeciwpotowym natarł pachy, talkiem posypał palce u nóg i brylantyną skropił włosy. Codziennie rano zabierał się do siebie, jak francuski szef kuchni bierze się do sałaty, aby ją przyprawić oliwą i solą przed zaprezentowaniem publiczności. Rozrzucając po podłodze części lądowej garderoby, wybrał najlepszy sukienki mundur wprost od Gievesa, koszulę, kołnierzyk, krawat, skarpetki i chusteczki do

nosa wyjął z zaopatrzonych w monogramy skórzanych walizek i ubrawszy się z namysłem, wyszedł z kabiny, by stawić czoła; swoim obowiązkom.

Jeszcze nie było ósmej, i jajka na boczku podawano oficerom „Charlemagne” w salonie jadalnym pierwszej klasy między ustawionymi jedne na drugich krzesłami i zrolowanymi dywanami. Zastał Ebbsa, który jak każdy porządnie się prowadzący człowiek, ze smakiem pochłaniał śniadanie, samotnie siedząc u szczytu długiego stołu.

— Pan Wilson, prawda? — spytał Ebbs, kordialnie wyciągając rękę ponad obrusem.

— Shawe-Wilson. Dzień dobry.

— Wolałbym pana wcześniej poznać — powiedział Ebbs czując, że musi okazać kapitańskie niezadowolenie i chcąc mieć to już poza sobą. — Wysłałem do pana dwa telegramy, w obydwu wzywając do natychmiastowego powrotu z urlopu.

— ■ Shawe-Wilson usiadł i sięgnął po kawę.

— Obydwa otrzymałem dopiero dziś rano — wyjaśnił lekko. — Byłem na wsi z Purcellami. Zna pan Purcellów?

— Nie, panie Shawe-Wilson. Nie znam Purcellów.

— Mili ludzie. Wracali z nami ostatniej podróży. W zasadzie nie ciągnie mnie do utytułowanych pasażerów, ale zaprosili mnie do siebie na tydzień — zaczął towarzyską rozmowę, wyzyskując swe skłonności zarówno do kłamstwa, jak i do snobizmu. — Nie mają jakiegoś tam ogromnego majątku, ale można u nich uczciwie zapolować. Czy pan poluje?

— Nie, panie Shawe-Wilson. Nie poluję.

— Słyszałem, że pan po raz pierwszy dowodzi statkiem pasażerskim? — ciągnął starszy oficer.

— To nie ma najmniejszego znaczenia, panie Shawe-Wilson — rzekł Ebbs nieco zirytowany. — Dla marynarza wszystkie statki są jednakowe. Pływają po wodzie, mają maszyny, zapewniają stół i koję. Liczą się na nich tylko ludzie. Proszę o tym pamiętać.

— Oczywiście, panie kapitanie. Czy mogę prosić o cukier?

Ebbs wysiąkał nos. Nie miał ochoty rozpocząć podróży od otwartego starcia ze swoim pierwszym zastępcą, ale zastanawiał się, czy już kiedyś spotkał równie niesympatycznego młodego człowieka.

— Chciałbym — rzekł twardo — żeby po śniadaniu oprowadził mnie pan po statku. Oczywiście jeśli nie ma pan innych towarzyskich obowiązków.

— Ołówki! — powiedział Ebbs podniesionym głosem, gdy wkrótce potem stali w zimnej kabinie nawigacyjnej. — Gdzie są ołówki do map, panie Shawe-Wilson?

— Zwykle kradną je w porcie, panie kapitanie — ze znużeniem odparł Shawe-Wilson.

— Musi więc pan dopilnować, żeby dostarczono innych. Ołówki do map należą do inwentarza statkowego, a za inwentarz odpowiedzialny jest starszy oficer. Całkiem jasno mówi o tym Regulamin Kompanii. Co się stanie, gdy nie ma ołówek do map? Przy wychodzeniu z portu bierzemy jakiś ważny namiar i zanim zdążyliśmy wykreślić go na mapie, już siedzimy na gruncie. Możliwe, że będzie mnie pan uważał za człowieka czepiającego się drobiazgów, ale sprawne prowadzenie statku zależy od tego, czy każdy ma pod ręką potrzebne mu rzeczy.

— Tak jest, panie kapitanie.

— I proszę łaskawie dopilnować, żeby kiedy się już wreszcie znajdą te ołówki, nie były

używane do niczego innego jak tylko do map. Nie można narysować porządnej linii ołówkiem, którego trzeci oficer używał do znaczenia bielizny czy do czego tam trzeci oficerowie ich używają.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Dobrze, panie Shawe-Wilson. Chodźmy dalej. Co tu jeszcze jest na górze?

— Czy zechce pan zobaczyć pomieszczenie dla psów?

— Chcę zobaczyć wszystko. Proszę prowadzić.

Następnego dnia Ebbs zarządził odprawę oficerską o piątej po południu, godzinie, w której uwaga marynarzy w porcie kieruje się ku trapowi i nieuchronnej pokusie dopiero co otwartych knajp.

Dla większości załogi zmiana dowódcy nie stanowiła żadnej różnicy, gdyż kapitan był dla niej równie odległy jak sam Bóg i w toku codziennego życia równie pogodnie nie brany pod uwagę, ale dla ludzi żyjących całkiem blisko niego, mogących słyszeć go śpiewającego podczas kąpieli w łazience, nabierał ogromnego osobistego znaczenia, niepojętego dla człowieka z lądu. Nelsona jego koledzy ze statku nie żalowali bardziej niż oni pobłażliwego kapitana Buckie, a teraz spadł na nich ten Ebbs, nieznany, pełen trudnych do przewidzenia nowych pomysłów i trzeba było się do niego przystosować z obrotym wdziękiem wygodnych urzędników stojących wobec niespodziewanej zmiany rządu.

— Może najpierw się panom przedstawię — zaczął Ebbs jowialnie, starając się wyrzeć dobre wrażenie na tuzinie mężczyzn zgromadzonych w pustej palarni pierwszej klasy. — Muszę powiedzieć, panowie, że spodziewałem się bardziej przychylnego powitania, lecz należy z te-

go wyciągnąć morał, że być może zapobiegło to wzbudzeniu we mnie zbytniego poczucia własnej ważności. Więcej nie będziemy już o tym mówili. Moja nominacja na ten statek spadła na was, proszę panów, jak coś w rodzaju szoku, naturalnie przykrego szoku, ale wierzę, że przy waszej pomocy powiedzie mi się. Jestem pewien, że pod tym względem mogę polegać na każdym z was.

Bystro rozejrzał się po audytorium obserwującym go z ciekawością pełną niepokoju.

— Zanim wyjdziemy w morze, moja poprzednia załoga niewątpliwie powie wam... no, wszystko, co chcecie o mnie wiedzieć — ciągnął rozpromieniony. — Prawdą jest, że mam swoje własne metody wykonywania pewnych rzeczy i byłbym rad, gdyby panowie byli uprzejmi do nich się zastosować. Ale to nieprawda, panowie, że jestem drobiazgowy. Nie zasługuję, wierzcie mi — tu wsiąkał nos — na miano „starej baby”, którym ponoć określają mnie młodszy oficerowie. Jeśli tylko będziecie, panowie, trzymali się Regulaminu Kompanii, znajdziecie we mnie sprawiedliwego i wyrozumiałego kapitana.

Ponieważ każdy z jego słuchaczy wygryzł sobie wygodną dziurkę w którymś tam z przepisów Kompanii, regulujących prowadzenie statków i służbę oficerów, zaczęli wymieniać między sobą spojrzenia pełne niepokoju.

— W szczególności chcę wspomnieć o pićciu — rzekł Ebbs. Połowa twarzy wydłużyła się. — Jestem bardzo tolerancyjny, panowie, i doceniam znaczenie kieliszka od czasu do czasu, na pokrzepienie, ale po latach spędzonych na morzu mogę śmiało powiedzieć, że w większości wypadków wolę szklankę czystej wody z kranu. Mam nadzieję, że na morzu

nie spotkam się z pijaństwem. Następny punkt odnosi się do stosunków towarzyskich z pasażerami. A szczególnie z pasażerami płci żeńskiej. — Wydłużyła się druga połowa twarzy. — Mam nadzieję, że młodszy oficerowie będą przestrzegać Regulaminu Kompanii i trzymać się z daleka od pokładów pasażerskich. Dla prawdziwego marynarza pasażerowie są tylko żywym ładunkiem. Niemniej jednak — ciągnął przyjmując znowu życzliwy ton i mając szczerą nadzieję, że zrobił dobre wrażenie — jestem pewien, iż będziemy mieli naprawdę dobrą podróż. Ten statek, noszący dumne imię cesarza Gotów...

— Czy to nie byli Frankowie, panie kapitanie? — spytał Brickwood, młody, pulchny drugi oficer.

— Gotów! rzekł Ebbs. — Przystudiowałem oczywiście nazwy wszystkich statków Kompanii. Cesarz Gotów, który żył jakieś osiemset lat przed Chrystusem...

— Czy nie po Chrystusie, panie kapitanie? — spytał Brickwood.

— O, Brickwood, naprawdę muszę pana prosić, żeby mi pan pozwolił skończyć. Tak się składa, że historię Kompanii przystudiowałem nader uważnie.

— Przepraszam, panie kapitanie.

— Dobrze już, Brickwood. Więc...

— Zdawało mi się, że pan kapitan się przejęczył.

— Nic podobnego. Więc... — spojrzenie Ebbsa padło na duże malowidło wiszące nad głową Brickwooda, przedstawiające faceta z nadciśnieniem i żółtymi bokobrodami. Napis głosił: „CHARLEMAGNE cesarz Franków 742—814 A.D.” Znowu wysiąkał nos. — No, w każdym razie dla marynarza wszystkie statki są jednakowe. Pływają po wodzie, ma-



ją maszyny, zapewniają stół i koję. Liczą się na nich tylko ludzie. Proszę to zapamiętać, moi panowie. Czy są jakieś pytania?

Ale pytań w sprawach naprawdę ich interesujących woleli nie stawiać w obecności Ebbsa.

Urlop zwykle spędzał Ebbs w małym domu w Acton u swojej starszej siostry, potężnej kobiety, wierzącej, że znajduje się on wciąż w stanie nieprzemijającej młodości i przed każdą podróżą zasypującej go dobrymi radami dotyczącymi ważności mycia szyi, zmiany skarpetek, regularności posiłków i wypróżnień. Jego życie domowe tak cienką warstwą pokrywało lata spędzone na morzu, że teraz był już tylko kłopotliwym gościem w domu siostry, a pamięć o nim rzetelnie odnawiała zatrzęsienie pamiątek, które ocean, ucieleśniony w jego osobie, naniósł i osadził w salonie, oraz ustawiony na gzymsie kominka rząd jego fotografii ukazujących, jak w służbie Kompanii przybywało mu pasków na rękawach, a ubywało włosów na głowie. Ponieważ Ebbs nie miał żadnych przyjaciół na lądzie ani żadnych zainteresowań poza swoim statkiem, tych kilka dni w porcie spędził, kipiąc energią, na badaniu „Charlemagne” — od ciasnego, zagraconego pomieszczenia radaru wysoko na górze do rur przy stępce, poupychanych niby pęczki spaghetti w pudełku. Za każdym powrotem do swojej kabiny zastawał biurko coraz wyżej zavalone listami z biura i gwałtownymi memorandami od McWhirreya, których większości nie mógł zrozumieć. Resztę czasu zajmował mu krawiec dopasowujący go do galowego munduru i wysłuchiwanie naczelnego inspektora Kompanii, codziennie

rano sadowiącego się w jego najlepszym fotelu ze świeżą butelką whisky i udzielającego mu coraz bardziej bezcelowych rad.

W trzy dni później Ebbs z trwogą zdał sobie sprawę z tego, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin jego statek odpłynie. Uszkodzenia z ostatniej podróży wciąż jeszcze były naprawiane przez usmarowanych mężczyzn zaopatrzonych w palniki do spawania i lampy lutownicze, odcinających stalowe części na pokładzie, skrobiących farbę i przeciągających części maszyn przez salony, co robiło wrażenie, że statek znalazł się już w rękach złomowników. Korytarze statkowe ciągle jeszcze były wyłożone zaoliwionymi brezentami i zadławione stertami materiałów, umeblowanie kabin poutykano na kojach, salony pod pokrowcami straciły swą indywidualność i wydawało mu się, że statek nigdy nie będzie gotów do przyjęcia delikatnych „żeglarzy” z listy pasażerów. Ale w jakiś sposób „Charlemagne” sam się przygotował do wyjścia na morze. Niespodziewanie pokłady zostały oczyszczone, uprzątnięte i oświetlone niby scena, obdarte z śmierdzącymi wiadrami z korytarzy statkowych zamienili się w białobluzych, eleganckich stewardów Pole Star, wnoszono naręcza kwiatów i pomarańczowe stosy telegramów, mających rozjaśnić mrok chwili odjazdu. Statek zapadł w niezwykłą ciszę, obejmującą go tylko tuż przed i zaraz po każdej podróży, w chwili dzielącej stuk młotów drużyn remontowych od gwaru pasażerów. Wieczorem przybył na statek Sir Angus — admirał w meloniku, żeby przeprowadzić inspekcję.

— Zdaje się, że pan dobrze zaznajomił się ze statkiem — przyznał, gdy później wraz z Ebbsem szedł po pokładzie.

Ebbs z ulgą wysiąkał nos.

— Mam nadzieję, kapitanie, że docenia pan różnicę między poprzednim pańskim dowództwem a obecnym?

— Zawsze uważałem, Sir Angus, że z marynarskiego punktu widzenia wszystkie statki są jednakowe. Pływają po wodzie...

— Możliwe. Sztuka nawigacyjna jest oczywiście na pierwszym planie, ale w dzisiejszych czasach pasażerowie nie zastanawiają się nad swoim bezpieczeństwem, w każdym razie nie więcej niż pan i ja nad tym, że ziemia kręci się dookoła słońca. Dla nich znaczenie ma tylko wielkość kabiny i obfitość śniadania. Słowem, codzienne życie na statku.

— ■ A te... e... rozrywki i gry? — poddał Ebbs.

— Najgorsza rzecz, że obecnie mamy silną konkurencję w przewozie pasażerów. Niech pan spojrzy — ciągnął z goryczą, wyjmując złożony magazyn z kieszeni płaszcza. Ebbs przyjrzał się uważnie kolorowemu ogłoszeniu przedstawiającemu miękkie obicia wnętrza samolotu, gdzie grupa wysokich mężczyzn w nienagannie zaprasowanych garniturach i eleganckich, oszłamiających kobiet statecznie popijała martini i gawędziła w radosnej poufałości, odpowiedniej wobec bliskości niebios. — Cholera z tymi przereklamowanymi samolotami! — nachmurzył się McWhirrey. — Musimy z nimi współzawodniczyć. Na szczęście, w tej grze i my mamy kilka atutów. Słońce, blask księżycy... wyśmienita kuchnia, tanie napoje... przygoda, emocja, romans — ciągnął jakby powtarzał słówka z obcego języka. — Zrobienie z każdej podróży urlopu wypoczynkowego — oto nasz cel. Zrozumiał mnie pan, kapitanie?

— Oczywiście, Sir Angus, i uczynię, co tylko będzie w mojej mocy, żeby stworzyć odpowiedni nastrój — gorliwie zapewnił Ebbs.

— Każdy z naszych statków musi być dla młodych okazją do romansu, miodowym miesiącem dla ludzi w średnim wieku i kuracją odmładzającą dla starszych.

— Dołożę wszelkich starań — odrzekł z pewnym powątpiewaniem.

— Pan nie jest żonaty, prawda?

— Jeszcze jestem kawalerem.

— Muszę więc panu przypomnieć, że przedział dzielący kapitańskie obowiązki towarzyskie od niewłaściwego zachowania się może być czasami niebezpiecznie wąski. — Mówiąc to McWhirrey przyjrzał mu się uważnie. — Wie pan. Kobiety i wino...

— Zapewniam pana — odparł Ebbs pospiesznie — że jestem jak najbardziej wstrzeмиęzliwy...

— Na takim statku jak ten, gdzie bar czynny jest przez dwanaście godzin na dobę?

— A co do tych innych rzeczy, Sir Angus... — uśmiechem podkreślił śmieszność przypuszczenia.

— Może opłaci się panu pamiętać, że morze czasem dziwnie działa na podróżujące samotnie kobiety — z naciskiem rzekł McWhirrey. — Jak dżyn.

Dotarli do drzwi kabiny Ebbsa. McWhirrey zatrzymał się. — Dowodzi pan statkiem z tysiącem ludzi na pokładzie i kosztującym prawie trzy miliony funtów. Czy czuje się pan absolutnie pewny, że jest pan zdolny poprowadzić go we wszystkich okolicznościach? Jeżeli nie, teraz pora to powiedzieć.

— Jestem absolutnie pewny, proszę pana..

Sir Angus skinął głową. — Dobrze. To mi wystarcza. Przy okazji... musi pan przyjąć jednego ekstrapasażera. Facet nazywa się Bros-

ter. Brygadier\* Broster. Wielki udziałowiec Linii i mój stary przyjaciel. Bardzo przyzwoity gość. Proszę go traktować jak każdego innego pasażera. To wszystko, czego od pana oczekuję.

— Broster? Będę o nim pamiętał, Sir Angus.

— No a teraz co by pan powiedział na szklaneczkę whisky? Noc jest chłodna.

#### 4

Kiedy pasażerowie „Charlemagne” rezerwowali swoje miejsca w eleganckim dziale pasażerskim Pole Star przy ulicy Cockspur, podróż napelniała ich takim samym podnieceniem jak rekruta przyszłe bitwy. Ale zadziwiająco szybko mijały tygodnie, aż nagle znajdowali się przy śniadaniu jedzonym ze słabnącym apetytem odjeżdżających podróżników, zastanawiając się, gdzie u diabła podziały się paszporty i jak dokończyć pakowania. Ich ostatni poranek mijał zdradziecko szybko: zbyt wcześnie rozlegał się alarmujący dzwonek u drzwi i za wcześnie stawał na wycieraczce niecierpliwy jegomość w czapce z daszkiem. Skacząc domykali odporne walizki, zbierali dzieci wśród ulewy kłapsów, pozostawiając tysiąc rzeczy nie spakowanych i nie powiedzianych, w popłochu ruszali na stację. Zebrani pod zadymionym, szklanym, łukowatym sklepieniem peronu, przestraszeni widokiem nieodwołalnych towarzyszy najbliższych czterech tygodni, pełni emocji czekali na przejmującym wietrze dmącym wzdłuż szyn, podczas kiedy ich dzieci i bagaże bez ustanku przekornie gubiły się w tłumie, a numerowi na wózkach elektrycznych sportowo rozjeżdżali

\* Brygadier — generał brygady.

między nimi, jak **czołgi wśród zdemoralizowanej** piechoty.

Pociągi dowożące do statków przeciągały ich przez tunele pełne zapachu siarki, dokoła zapieklowanych w sadzy domów czynszowych East Endu i wysadzały w Tilbury. Tam warczący urzędnicy zaganiali ich do przegród i poddawali upokarzającym urzędowym obrządkom odjazdu. W końcu pozwalano im przekroczyć zapórę mulistej wody Tamizy i pod pożegnalnymi spojrzeniami policjantów wejść na statek, przy czym beznadziejnie przetrząsali kieszenie w poszukiwaniu biletów, na podstawie których Pole Star Linę zobowiązywała się przetransportować ich do Australii, wyraźnie odmawiając ponoszenia odpowiedzialności za utratę życia podczas drogi wskutek sztormu, pożaru, zatonięcia statku, osadzenia na mieliźnie, uderzenia piorunu, strajku, buntu, rewolucji, wojny, zarazy czy piratów.

Pokład dźwięczał „Sirami” i „Madamami”, kiedy ich bagaż skwapliwie łapali stewardzi, już teraz dokładnie obliczający wielkość przypuszczalnych napiwków. Prittlewell, kłaniając się, stał koło trapu pierwszej klasy, i uprzejmie odpowiadał na pierwsze pytania i skargi: oficerowie statkowi wychylali się z pokładu łodziowego, chciwie oceniając przez zabrane z mostku lornetki każdą dziewczynę, a Shawe-Wilson paradował wśród wchodzących pasażerów z zawadiacko przekrzywioną czapką, rzucając zaskoczonym marynarzom krótkie rozkazy, ilekroć czuł obecność wystarczającego audytorium złożonego z młodych kobiet.

Na tak ożywionym statku jedynym próżnującym człowiekiem był Ebbs. Ponieważ, jak się wydawało, nikt go nie potrzebował, a nie mógł wymyślić powodu, żeby kogoś wezwać, siedział więc niewygodnie w swojej różowej

kabinie, pełen najgorszych przeczuć. Nie był człowiekiem wielkiej wyobraźni, ale kiedy przez iluminator spoglądał na gęstniejący śnieg, jaki niedługo miał padać i na jego barki, łatwo mógł przewidzieć przynajmniej tuzin wymyślnych nieszczęść mogących wkrótce spaść na „Charlemagne”.

Cztery holowniki, niby szczeniaki szarpiące smycze odciągnęły statek i ustawiły go pod ostry wiatr, podczas gdy spiker BBC, siedzący w ciepłym i suchym studio, przyjemnym głosem zapowiadał silny sztorm nadciągający na obszary Dover, Wight, Portland i Plymouth, leżące wprost na kursie. Od pierwszej salwy rozbijanego szkła pod wpływem wzdłużnego kołysania się statku na krótkich, gniewnych falach kanału La Manche pasażerowie zaczęli chwiać się na nogach i słabnąć pod atakiem burzy. Leżeli przygnębieni trzymając się poręczy swoich, jak gdyby obdarzonych życiem koi, podczas gdy statek przez całą noc oddalał się od Anglii, a następnego rana tylko kilku niewrażliwych podróżników ukazało się na zalanych deszczem pokładach, dzielnie wołając do siebie: „Gorzej będzie na Biskaju"! Potem „Charlemagne” skreślił na południe koło Ushant\* i przeciął drogę wojowniczym falom Atlantyku, biegnącym łomotać o brzeg Francji, a wtedy nawet i ci zaczęli stękać w swoich kabinach albo apatycznie wybałuszać oczy na niebiesko-złote kartki wetknięte nad każdą umywalnią: „Kapitan, oficerowie i załoga R.M.S.\*\* »Charlemagne« życzą pomyślnej podróży.”

Statek zmniejszył prędkość, kiedy porcelanowa zastawa stołowa i kuchenna zaczęła spa-

\* Ushant — angielska wersja nazwy francuskiej wyspy Ouessant.

\*\* R.M.S. — Royal Mail Steamer — Królewski Statek Pocztowy (przewożący pocztę).

dać jak owoce we wrześniu, a nogom ludzi i mebli zagroziło niebezpieczeństwo; później rzucał się i drżał na falach przez całą drogę wzdłuż Półwyspu Pirnejskiego, od przylądka Finisterre do St Vincent. Takiej burzy załoga jeszcze nie przeżywała, nawet starzy marynarze, uważający, że współczesne sztormy, jak i współczesne piwa, nie mają już nic z niegdysiejszej męskiej mocy. Według pogodnego przesądu statkowego ktoś był winien temu pechowi i chociaż paru marynarzy winiło o to sześciu księży, teraz bezsilnie przewalających się w swoich kojach na dole, to jednak dla większości załogi tym „Jonaszem” przyciągającym uwagę mściwych niebios był najwyraźniej Ebbs.

„Charlemagne” dotarł do Gibraltaru tuż przed zmianą pogody. Wiatr i fale — wyczerpane — odpadły od burt, słońce wstało w bezwstydnym splendorze i koło Skały\* statek wpłynął w dzień szerokiego, błękitnego nieba oznaczonego szybkimi, czystymi, białymi chmurami. Ciepła bryza powiała przez dopiero co otwarte iluminatory i wydmuchiwała odór wymiotów, pokłady zaczęły schnąć i parować w słońcu, a pasażerowie podnieśli się z koi, niczym umarli podczas zmartwychwstania.

Tego ranka Ebbs beztrąsko zszedł z mostku do kabiny, rzucając wilgotny płaszcz mundurów na różową sofę.

— Co za przyjemny zapach! — powiedział zacierając ręce.

— Dzień dobry, panie kapitanie — odezwał się Alfred Burtweed, kapitański „tygrys”\*\*. — Pańskie śniadanie — zdjął pokrywkę

\* Skała (Rock) — popularna nazwa Gibraltaru w Anglii.

\*\* Tygrys (tiger) — w angielskiej gwarze marynarskiej: kapitański steward.



ze srebrnego półmiska na świeżo obłaskawionym stoliku, jakby ukazywał tacę w kościele. — Nereczki, boczek i kotlet.

„Tygrys” był szczupłym schludnym mężczyzną w owalnych okularach w złotej oprawie, z łysiną otoczoną białym puszkciem i z ciężkim przypadkiem koślawych paluchów u nóg, zwanych wśród oceanicznych stewardów „stopami Cunarda”\*. Bez białej bluzy Pole Star miał ujmująco nieśmiały wygląd urzędnika bliskiego emerytury lub niedożywnego duchownego; był jednak prawdziwym marynarzem, nie dowierającym kamieniom ulicznego bruku, co pięć kontynentów zbadał nie dalej jak do pierwszego baru przy porcie, gdzie mógł wypić kufelek piwa i czule mówić o Anglii. Burtweed nie miał na łądzie ani domu, ani rodziny i stale żył na statku, spędzając przymusowe chwile rozstania, wywołane fumigacją czy remontem w chłodnych podcieniach Domu Marynarza. Był urodzonym służącym, z typu zapomnianego na łądzie, a rzadko już spotykanego nawet na morzu, który przez ponad czterdzieści lat zręcznie balansował tacami po korytarzach statków Pole Star i nie potrafił bez godności podać talerza do zupy ani bez perfekcji złożyć chusteczki do nosa.

—■ Niepomysłny początek podróży, panie kapitanie — zauważył Burtweed —> rozkładając serwetkę na kolanach swego zwierzchnika, kiedy ten usiadł. Jeszcze nie miał okazji oszacować Ebbsa, ale już patrzył na niego jak na „swojego kapitana”, tak jak parobek wiejski spogląda na byka czy tuczniaka powierzonego mu do karmienia i obrządzania, zdecydowany zrobić z niego zdobywcę nagrody na konkursie.

\* Cunard — duże angielskie towarzystwo okrętowe; specjalność: przewóz pasażerów.

— Ale nie tak całkiem, Burtweed — pogodnie odparł Ebbs. — Można z tego wyciągnąć morał. Prowadziłem statek podczas chyba możliwie najpaskudniejszej pogody i chociaż było to wyczerpujące, teraz wiem, że pod tym względem nie mam się już czego obawiać. Mogę teraz swą energię w większym stopniu poświęcić obowiązkom towarzyskim.

— Czy pan kapitan będzie jadł lunch w salonie?

Ebbs połknął kęs nerki i potrzęsnał głową przecząco. Do tej chwili jadał posiłki na -mostku i na razie nie zapuścił się w głąb statku dalej niż do swojej kabiny. — Ponieważ się nie rozbierałem od wyjścia z Londynu, mam chyba prawo położyć się przed południem. Koło drugiej bądźcie uprzejmi przynieść mi dzbanek kawy i trochę chleba i marmolady.

— Tak jest, panie kapitanie. A kolacja?

— Przypuszczam, że będę wówczas już dość silny, by stawić czoło pasażerom. Mam nadzieję, że oni będą równie mężni.

— Doskonale, panie kapitanie. — Burtweed ostrożnie zerknął na ubogi dobytek Ebbsa, rzadko rozsiany po kabinie. Była tam wypalana w drzewie podstawka na fajki, fotografia z czasów kadeckich w ramkach wyciętych laubzegą, puszka na tytoń w postaci bezgłowej figurki, darmowy komplet dzieł Dickensa pomiędzy dwiema sowami, mały, niemożliwy do określenia przedmiot z napisem „Un cadeau de Cherbourg”\*, kolorowy obrazek zamku windsorskiego i kalendarz wskazujący daty na sto lat w przyszłość i przeszłość.

— Czy pan kapitan jest zadowolony z urządzenia kabiny? — spytał.

\* Un cadeau de Cherbourg — upominek z Cherbourga.

— Dziękuję, Burtweed. Jak najbardziej. Chociaż muszę wyznać, że czuję się nieco zagubiony w tym apartamencie. Mam nadzieję, że kapitan Buckie z czasem do tego przywykł?

— Hobby biednego pana kapitana zajmowało tu sporo miejsca — smutnym głosem powiedział Burtweed, podnosząc płaszcz Ebbsa. — Większość czasu na morzu poświęcał na robienie mebli. Chociaż, z całym szacunkiem dla niego, to ulga pozbyć się tych drzazg i wiórów.

— Nie mam żadnego hobby — uroczyście rzekł Ebbs krając kotlet. — Tylko mój statek.

— Bardzo chwalebne, panie kapitanie.

Rozległo się pukanie do żaluzjowych drzwi i wszedł Prittlewell, zamaszycie wciskając czapkę pod lewe ramię.

— Dzień dobry, panie intendencie! Jak tam pasażerowie?

— ' Głodni jak dzikusy, panie kapitanie.

— Doskonale, doskonale! W czym mogę panu pomóc?

— Mam listę pańskich zobowiązań towarzyskich, panie kapitanie, na całą podróż.

Pogodny nastrój Ebbsa przygasł.

— Nie tylko posiłki i gości, ale nawet moje życie ułożono za mnie?

— Taki jest zwyczaj, panie kapitanie.

Smarując grzanekę masłem Ebbs przeglądał długą listę imprez: Komitet Sportowy, Konkurs Piękności, Krykiet Pokładowy, Kółko Dyskusyjne, Wieczór Taneczny, Wyścigi Konne, Poszukiwanie Skarbu, Nabożeństwo, Bingo\*...— Czy moja obecność jest absolutnie konieczna na tym wszystkim?...

— Obawiam się, że pasażerowie tego oczekują, panie kapitanie.

\* Bingo — gra podobna do lotto.

— A co z tym podwieczorkiem dla dzieci? Do czego mogę się przydać na takiej imprezie? Muszę powiedzieć, że to sięga trochę za daleko.

— Myślę, że powinienem pana poinformować, panie kapitanie, że Lady McWhirrey w Londynie szczególną wagę przykłada do obecności kapitana. A tutaj jest plan pańskiego stołu w salonie.

Ebbs wziął kartkę maszynopisu:

Miss Annette Porter-Williams

Mr Dancer

Mrs William Coke

Kanonik Swingle

Mrs Porteous

Mrs Judd

Mr William Coke

Mrs Lomax

Mr Willy Boast

#### KAPITAN

— Czy wie pan coś o tych ludziach, panie intendentzie? — spytał Ebbs z nadzieją. — Jakieś plotki, które pomogłyby nawiązać rozmowę?

— Większość z tych osób widziałem już w swoim czasie — powiedział Prittlewell, jakby dyskutował na temat programu rewiewego. — Coke'owie to australijscy milionerzy... złote serca, ale raczej wulgarni. Wełna, wie pan. Stara pani Lomax podróżuje dla zdrowia. Boast pisze książki o krykiecie.

— Czyżby? Naprawdę? Przyznaję, że spędziłem życie o tysiąc mil od najbliższego źdźbła trawy, ale na tyle znam tę grę, że przynajmniej z nim mógłbym mieć o czym rozmawiać.

— Wątpię, panie kapitanie. Od wyjścia z Tilbury jest pijany. A reszta ma chorobę morską.

Ebbswi twarz się wydłużyła. — Obawiam się, że dzisiejsza kolacja będzie ciężkim doświadczeniem.

— Och, niewątpliwie, panie kapitanie. Kapitan Buckie zawsze mawiał, że chętnie oddałby miesięczną gażę za zwolnienie z pierwszej kolacji na morzu. Mam tu pismo dla pana. — Wręczył kopertę z napisem PRYWATNE I POUFNE. — To od brygadiera Brostera.

Ebbs otworzył list i czytał:

„Drogi Kapitanie!

Jeszcze nigdy w życiu nie zostałem tak obrażony. Kosztem wielu niedogodności w ostatniej chwili zmieniłem swoje plany, żeby móc podróżować tym statkiem, a na posiłki wyznaczono mi miejsce koło drzwi, w samym prześciągu (poważnie cierpię na lumbago), przy stole o całe mile odległym od kuchni, tak że jedzenie przychodzi lodowate, tuż przy wentylatorze zięjącym prosto na mnie zapachem maszynowni, w wyłącznym towarzystwie pięciu duchownych. Nie narzekam. Mogę być jednym z głównych akcjonariuszy Linii i osobistym przyjacielem Prezesa, ale życzę sobie, żeby mnie traktowano jak każdego innego pasażera. Co się należy, to się należy. Ale na innych statkach Pole Star (nie mówiąc o Orient i P & O\*) proponowano mi przynajmniej miejsce przy kapitańskim stole. Proszę podjąć kroki, jakie pan uzna za wskazane.

Mam zaszczyt pozostać itd.

Roger Broster"

\* Orient i P&O — nazwy dużych angielskich towarzystw okrętowych.

Ebbsa zatkało.

— ■ Nigdy w życiu nie dostałem takiego listu — wstrząśnięty wysiąkał nos. — Panie intencencie, to zdaje się bardzo trudny pasażer.

— Znany jest z tego w Linii, panie kapitanie. To przez niego kapitana Islewortha wyłano z „Maximilliana”.

— Och, przez niego? — ponuro spytał Ebbs. — To może lepiej posadźmy go przy moim stole. Możemy wyrzucić tego kanonika. Dosadzić go do reszty wielebnych. Będą mieli o czym gadać.

— Jak pan sobie życzy, panie kapitanie.

— To byłoby wszystko — powiedział Ebbs czując, że ma już zupełnie dosyć wszelkich wieści.

— Doskonale, panie kapitanie. Czekamy na pana przy kolacji.

— Burtweed — zawołał Ebbs, kiedy Prittlewell wyszedł. Przez parę minut wpatrywał się w nic nie mówiące nazwiska swych gości.

— Słucham, panie kapitanie!

— Zdaje się, że byliście „tygrysem” dość wielu kapitanów?

Burtweed uśmiechnął się łaskawie. — Pan jest moim dwudziestym czwartym, panie kapitanie. To było grono tak miłych dżentelmenów, jak można sobie tylko wymarzyć — ciągnął skromnie, jakby mówił o własnych udanych dzieciach.

— Właśnie. Przyznam się, że trochę niepokoi mnie perspektywa zabawiania przy dzisiejszej kolacji dziewięciu zupełnie nieznanym osobom, z których jedna przesłała mi niesłychanie obraźliwy list.

— Wśród pasażerów są różni ludzie — wielokodusznie oświadczył Burtweed, zabierając się do sprzątnięcia talerzy.

— Czy moglibyście mi udzielić... no, jakiejś wskazówki, jakiejś rady na podstawie doświadczeń z poprzednimi kapitanami? — spytał Ebbs. — Na przykład, o czym kapitan Buckie zwykł mówić do pasażerów? Na pewno miał zawsze w zanadrzu gotowy jakiś temat?

— Ogromnie się cieszę, że pan kapitan mnie pyta — powiedział Burtweed ze wzruszeniem. — Naprawdę. Czasem może być przy stole bardzo trudna sytuacja, a ja... ja... — popatrzył na swoje stopy i przełknął ślinę. — Ja chciałbym, żeby pan kapitan dobrze wypadł. Nie pytany, nie byłem w stanie zaproponować żadnej porady...

— Jesteście pytani, Burtweed. Jesteście.

— Dziękuję, panie kapitanie. Więc po pierwsze: musi pan opowiedzieć jakąś zabawną historyjkę.

Ebbs potarł podbródek. — Coś mi się здаje, że nie znam żadnej zabawnej historyjki.

— Kapitan Buckie znał tylko jedną. Opowiadał ją w każdej podróży.

— Pamiętacie ją, Burtweed?

— Ależ, na Boga, tak! Musiałem ją wysłuchać pięćdziesiąt razy, dokładnie dwa razy w każdej podróży. To był naprawdę szlagier, panie kapitanie.

— Może byście mogli mi ją powtórzyć?

— Z największą przyjemnością, panie kapitanie. To było o kapitanie i starszym mechaniku...

— Mam nadzieję, że całkiem przyzwoita? — surowo spytał Ebbs.

— Och, zupełnie! Kapitan Buckie nigdy by nie opowiedział czegoś takiego, przez co ktoś mógłby się zarumienić. Więc widzi pan, panie kapitanie, ten kapitan był... z całym szacunkiem... staroświecki, panie kapitanie, i zawsze

kazał używać ołowianki\* przy wchodzeniu do portu, jak to w dawnych czasach bywało, zanim wynaleźli echosondy i te tam inne, panie kapitanie. No więc ten kapitan przechwalał się, panie kapitanie, że potrafi powiedzieć, w jakim są porcie, spojrzawszy tylko na ołowiankę, panie kapitanie, na muł wydobyty z dna morza. Ale któregoś dnia starszy mechanik idąc z mostku zabrał ołowiankę do swojej kabiny i wytarł o nią swoje najlepsze buty. Później, widzi pan, kapitan popatrzył na to i mówi do oficerów: „Panowie — mówi — mam zaszczyt powiadomić panów, że statek znajduje się obecnie na rogu ulic Sauchiehall i Argyll\*\*”.

Zapadła cisza.

— Aha — powiedział Ebbs. Głęboko się zastanowił, drapiąc się w ucho. — Całkiem niezła historyjka.

— Czasem doprowadzał nią pasażerów do spazmów. Kapitan Buckie nazywał ją swoim łamaczem lodów.

— To może być nawet całkiem zabawne, jeśli zostanie umiejętnie opowiedziane — zdecydował Ebbs. Kiedy był młodszym oficerem, tolerowano go jako statkowego gawędziarza, a teraz czuł, że jego kunszt przywiądnął w samotności kapitaństwa. —■ W każdym razie jeszcze nad tym pomyślę — obiecał. Z wdzięcznością skinął głową Burtweedowi. — Zamierzam nie szczędzić żadnych wysiłków, żeby dzisiejszy wieczór się udał.

\* Ołowianka — sonda ręczna.

\*\* Centrum Glasgow, gdzie mieszczą się restauracja i nocne lokale.



## 5

Łagodne Morze Śródziemne, dłużej cywilizowane od dzikiego Atlantyku, pogodnie powitało „Charlemagne” umiarkowanym wiatrem i przez cały dzień podróży wzdłuż brzegów Afryki oczarowywało go grzecznymi falami. Bez męczącego wpływu pogody fizjologia pasażerów mogła funkcjonować energicznie i wszechstronnie: jedli z apetytem, spali zdrowo, dziarsko spacerowali po pokładach, pili mocno i kochali namiętnie. Gracze w tenisa skakali jako nowo narodzone jagnięta; dziewczęta paradowały w styczniowym słońcu w przedwczesnych kostiumach kąpielowych, a wszyscy młodzi ludzie niezmordowanie ścigali je dokąd pokładów.

Z zapadnięciem zmroku statek stał się łagodnie poruszającą się konstelacją, a melodyjne dźwięki wydobyte przez stewarda z gongu do ogłaszania posiłków zwiastowały start do statkowego wieczoru towarzyskiego. Pasażerowie wydobywali swoje stroje wieczorowe i uruchamiali dzwonek numeratory świetlne w pentrach, tak że migotały lampkami jak elektryczne automaty do gry, podczas gdy w palarni pierwszej klasy barman Scottie, z uśmiechem i włosami troskliwie unieruchomionymi, grzechotał sygnał zbiórki kostkami lodu skaczącymi w mikserze. Pasażerowie spieszyli położyć kres chorobowej abstynencji. Nie była to już zmarznięta gromada, z wysiłkiem i wdzięcznością gramoląca się po trapie w Tilbury. Wygodnie siedzieli w tak dobrze reklamowanym luksusie Pole Star, zamawiając coraz bardziej wydłużające się kolejki i pozwalając swym indywidualnościom rozwijać się niby gąbkom w morskim powietrzu.

Wysoki mężczyzna z białym szpeciniastym wąsem wszedł do palarni, zatrzymał się w drzwiach, szybkim, niechętnym spojrzeniem otaksował towarzystwo i skłonił się w kierunku grupy siedzącej pod malowidłem ściennym, przedstawiającym trzy nagie kobiety pływające po morzu jak różowe gumowe kacuszki.

— Dobry wieczór! — zagrział podchodząc. — Państwo pozwolą, że się przedstawię? Nazywam się Broster. Brygadier Broster. Zdaże się, że wszyscy siedzimy przy kapitańskim stole?

Przed sobą miał trzy osoby: tłustego mężczyznę z twarzą koloru przekrojonej szynki, muskularną blondynkę w różowej sukni i bladą, przystojną kobietę w czerni.

— Bardzo mi miło, brygadierze! — tłusty mężczyzna wyciągnął rękę. — Nazywam się Coke, dla pana Bill. Jestem z Sydney. A to najśłodsza kobietka na świecie, moja żona Gwenny.

— Daję słowo, czyż to nie piękne? — powiedziała blondynka, serdecznie ściskając mu rękę.

— A to pani Judd, nasza przemiła statkowa przyjaciółka.

— ■ Jestem oczarowany, madam — grubym głosem rzekł Broster.

— Niech pan zaparkuje, brygadierze — zapraszał Bill Coke. — Napij się pan z nami grogu.

— Ależ nie, ależ nie! — Broster zajął miejsce. — Zapewniam państwa, że lepiej będzie, kiedy ja sam się tym zajmę. Steward! — Starszy steward palarni pospieszył doń, zrećźnie wymijając stoły. — Ciągle, widzę, jeszcze ci sami stewardzi, Mutt i Jeff — zauważył zdawkowo. — Steward! Proszę podać tę kolejkę jeszcze raz i powiedzieć Scottiemu, że dla mnie to co zawsze.

— Tak jest, proszę pana. W tej chwili. Czy w imieniu personelu wolno mi pana znowu powitać?

— Zdaje się, że pan dobrze zna statek, brygadierze — powiedziała pani Judd.

— Zna? — roześmiał się Broster. — Praktycznie rzecz biorąc, madam, to jest mój statek.

Zamilkli pod wrażeniem tych słów.

— Steward! zawołał Broster, jak tylko skosztował trunku.

— Służę panu.

Słuchajcie no! Scottiego stać na coś lepszego. Ani śladu jego zwykłego poziomu. Nie zdziwiłbym się, gdyby w ogóle zapomniał o cointreau. Właściwa recepta na przyrządzenie „White Lady” — ciągnął z mocą, zwracając się do towarzystwa — to dwa kieliszki dzynu, kieliszek świeżo wyciśniętego soku z cytryny i pełny kieliszek cointreau. W każdym razie ja tak robię przez całe życie. W Anglii — kontynuował w stronę Coke'ów, kiedy steward w chmurze przeprosin zabrał napój stanowiący dla niego obrazę — często sami mieszamy cocktaile. Czasami lubimy podejmować przyjaciół bez obecności służby w pokoju. W naszych domach utrzymujemy piwnice, często bardzo kosztowne piwnice, i jesteśmy z nich bardzo dumni. Przypomniało mi to bardzo interesującą historyjkę o cocktailach. Pamiętam, że miałem na kolacji w moim domu jakiegoś faceta. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska... ten czy inny członek parlamentu... i powiedziałem mu, że potrafię zrobić każdy cholerny cocktail, jaki mu tylko przyjdzie na myśl. Każdy. No i powiedział mi, że chce „chińskiego smoka”. I zrobiłem mu „chińskiego smoka”. Kiedy wypił, powiedział: Ha! Ale to nie był prawdziwy „chiński smok”. Robi się go

wyłącznie z arakiem destylowanym w pewnym specjalnym, znanym mi przypadku, miejscu w Hongkongu. Więc pokazałem mu butelkę i na honor! to był oryginalny arak i pochodził właśnie z tej specjalnej gorzelnii. Co państwo na to?

Nikt się nie odezwał.

— Muszę uważać na tych ludzi — ciągnął Broster, wskazując na bar. — Dyscyplina chyba się rozprzęgnie... nowy kapitan, wiecie państwo.

Ależ myśmy chyba jeszcze nie widzieli kapitana, Bill! — wykrzyknęła Gwenny, jakby zwracając uwagę na jakiś interesujący szczegół w budowie „Charlemagne”.

— Ach, daj mu spokój, Gwenny — mruknął jej mąż. — Tkwił na mostku w tym sztormie.

— To chyba młody człowiek? — spytała pani Judd.

Gwenny zachichotała. — A przystojny?

— Czy muszę paniom przypominać — powiedział Broster — jacy są marynarze? — serdecznie się roześmiał i mrugnął do pani Judd. — To przypomina mi bardzo interesującą historyjkę o tym statku...

Tymczasem Ebbs podczas golenia pororował do lusterka: — Był kiedyś kapitan, z którym pływałem jako kadet. Zawsze nalegał, żeby używać ołowianki przy wprowadzaniu statku do portu, tak jak go uczono, kiedy sam jeszcze był kadetem. Wtedy nie było na mostku żadnych z tych waszych współczesnych instrumentów naukowych... och, cha... cha!... Ach, Burtweed — odezwał się, kiedy „tygrys” wszedł do łazienki niosąc srebrną tacę. — Zdecydowałem się opowiedzieć tę waszą historyjkę w pierwszej osobie. To doda jej koloru.

— Bardzo słusznie, panie kapitanie.

— Co to? — spytał Ebbs.

— Duży dżyn, panie kapitanie. Myślałem, że będzie go pan potrzebował.

— Jestem niepijący, Burtweed, ale muszę przyznać, że są chwile, kiedy podnieta się przydaje. — Wytarł pianę z warg i wypił zawartość szklaneczki. — Żadnego z tych waszych współczesnych instrumentów naukowych na mostku — ciągnął między pociągnięciami brzytwy. — Żeglowaliśmy według naszych pięciu zmysłów i byliśmy z tego dumni... A starszy mechanik... brygadierze Broster, jestem pewien że pan jako shippingowiec oceni to należycie... — zrobił dygresyjkę do wieszaka na ręczniki — powziął niechęć do kapitana i powiedział... — przerwał zawieszając brzytwę w powietrzu. Z namysłem wytarł pianę w ręcznik. Czy powinien starszego mechanika zrobić Szkotem? — ...i powiedział: „Hej, stary, ty nam z tego ołowiu przecież nie możesz powiedzieć, gdzie jesteśmy?”\* Cholera! — krzyknął. Zupełnie opuścił najważniejszą część z tym mułem. — Burtweed! — zawołał. — Poproszę jeszcze jeden dżyn.

W chwili kiedy Burtweed pomagał mu włożyć ciężki, sztywny mundur galowy, błyszczący nowymi złotymi galonami, Ebbs zaczynał się przyjemnie unosić na powierzchni niezwyklej dla niego ilości alkoholu.

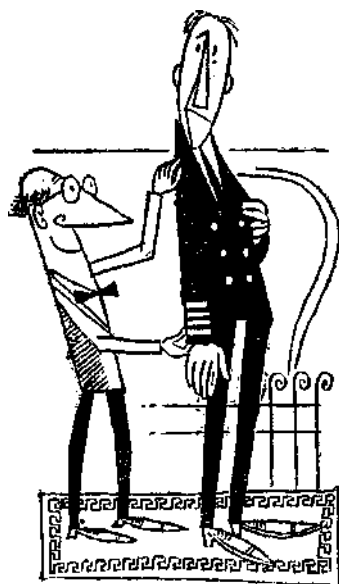
— Wyglądam trochę jak reklama papierosów — powiedział z niespotykaną u niego szczerością, oglądając się w dużym lustrze. — Ale przypuszczam, że efekt końcowy jest z grubsza taki, jak zaplanowano. Dobrze leży?

— Doskonale, panie kapitanie.

\* W oryginale dialekt szkocki, trudny do oddania po polsku.

— A teraz ta historyjka, Burtweed —  
Ebbs zdecydowanym ruchem obciągnął klap-  
py. — Trochę ją rozbuduję: wyjaśnię, co sta-  
tek robił, dokąd płynął, dlaczego starszy me-  
chanik nie lubił kapitana i tak dalej.

— Kapitan Buckie czasami tak ją rozciągał,  
że starczała na cztery dania.



— Będę całkiem zadowolony, jeśli się uda  
rozciągnąć ją na zupełną. Nie wiem o czym, u dia-  
bła, będziemy potem gadali. Mam nadzieję,  
że Bóg pomoże.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Spodnie w porządku?

— Mogłyby być troszeczkę dłuższe, panie  
kapitanie.

— No to teraz niemożliwe. Muszę sobie  
w Sydney kupić inne.

Z dołu dobiegł słaby głos statkowego gongu. Dla Ebbsa brzmiał jak stąpania kata.

— Czy krawat dobrze leży? — spytał nerwowo.

— Zaraz poprawię, panie kapitanie.

— To jest wielka chwila, Burtweed — włożył palec za sztywny kołnierz koszuli i przeciągnął nim dokoła szyi. — Bardzo wielka chwila. A jednak los dopuszcza takie rzeczy, żeby nas doświadczyć. Nie ma co zwlekać. Idę na dół.

Burtweed zatrzymał go. — Tylko jedna rzecz, panie kapitanie.

— Tak?

— Pańskie podwiązki.

— Co z nimi?

— Pan ich nie ma, panie kapitanie.

— Nigdy nie noszę — powiedział wyzywająco. Po wielu kłótniach z siostrą ciągle jeszcze cieszył się wygodną miękkością skarpetek.

— Och, panie kapitanie! — zasmucił się Burtweed.

— Przecież to śmiechu warte! Akurat czas, żeby zaczynać gadanie o podwiązkach... człowieku, czyście zwariowali? Na miłość boską, kto będzie o tym wiedział?

Burtweed spuścił oczy. — Ja, panie kapitanie.

— W każdym razie — rzekł Ebbs twardo — nie mam żadnych.

— Czy zechciałby pan wziąć moje, panie kapitanie? — błagał Burtweed. — Tylko na ten wieczór? Panie kapitanie! Proszę! To ogromna różnica, zapewniam pana... — podciągnął nogawki spodni, ściągnął dwie zatłuszczone fiołkowo-różowe elastyczne podwiązki z chudych łydek i zapiął je dokoła uległych goleni Ebbsa.

— No, panie kapitanie — stwierdził z tri-

umfem. — Teraz jest pan ubrany jak należy. Od stóp do głów.

— W każdym razie dziękuję za troskliwość — niechętnie odrzekł Ebbs.

— Powodzenia, panie kapitanie! — powiedział Burtweed ochryłym głosem. — I proszę się nie martwić. Ją tam będę.

Przez chwilę jaśniejąca nić sympatii łączyła tych dwóch ludzi. Potem Ebbs poszedł na kolację.

## 6

Salon jadalny pierwszej klasy na „Charlemagne” sprawiał przyjemne wrażenie i był największym atutem reklamowym Pole Star Linę. Stoły błyszczały srebrem, kredensy obramowano pozłacanymi koszami pełnymi troskliwie wypolerowanych owoców, uprzedzając grzeczni stewardzi w lśniących bluzach stali gotowi na każde skinienie, z boku łagodnie grała orkiestra, a zimny bufet, zajmujący całą długość jednej ściany, wyglądał jak barwny kwietnik.

Okazały stół Ebbsa dominował nad całym salonem, a starszy mechanik, starszy oficer, intendent i doktor dowodzili statkami narożnymi. Byli oni jedynymi przedstawicielami załogi „Charlemagne” na tym terenie; cała chmara młodszych oficerów, którą obowiązywał surowy zakaz przebywania na pokładach pasażerskich, jadło osobno, w mesach głęboko na dole, w bezpretensjonalnej atmosferze emaliowanych dzbanków na herbatę i korniszonów.

Gdy tylko w palarni rozległ się melodyjny dźwięk gongu, brygadier Broster natychmiast



wstał. — Musimy przejść — oświadczył. Ostatecznie my, siedzący przy kapitańskim stole, powinniśmy dawać przykład. W Anglii — wyjaśniał Billowi Coke'owi, jakby się zwracał do jakiegoś Azteka — staramy się zachowywać niektóre z zanikających dobrych manier. Na kolację parami wchodzimy do jadalni. Cieszę się widząc, że tych form przestrzega się w Pole Star Linę. W pierwszej klasie oczywiście. Madam — skłonił się przed panią Judd. — Czy mogę służyć pani ramieniem?

— Jest mi niezmiernie miło, brygadierze.

— Chodź, Gwenny — odezwał się Bill Coke wystawiając łokieć. — Zaczep się.

Kiedy Ebbs dotarł do drzwi jadalni, przy jego stole wszyscy już siedzieli. Zawahał się. Z kieszeni wyciągnął kartkę otrzymaną od intendenta i wbił w pamięć rozmieszczenie gości. Potem dwóch zgiętych w ukłonie stewardów rozwarło szklane drzwi i Ebbs poprawiwszy krawat pomaszerował wśród trajkotania biesiadników na swoje miejsce.

Zatrzymał się przy swoim krześle.

— Dobry wieczór — powiedział.

Przemknął wzrokiem dokoła stołu. Po lewej stronie zobaczył kobietę o włosach koloru miodu i obnażonych ramionach, po prawej mężczyznę w grubych okularach i sflaczałej muszce, niewątpliwie pijanego, a pomiędzy nimi przerażający krąg nieznajomych twarzy. Oni mieli przed sobą wysokiego, strapionego mężczyznę o rozwichrzonych włosach, w galowym mundurze, przekrzywionym krawacie i spodniach robiących wrażenie, że raptownie wyrwano je z czyszczenia, żeby wyprasować.

— Dobry wieczór, kapitanie — niezgrabnie zabrzmiało od stołu.

Ebbs usiadł. Powoli sięgnął po stojącą przed nim w kształcie stożka sztywną serwetkę,

a goście przypatrywali się temu, jakby miał wyciągnąć spod niej parę żywych królików.

— Ciekaw jestem, czy słyszeliście państwo tę zabawną historyjkę... — zaczął. W tym samym momencie wszyscy równocześnie zaczęli mówić:

— Czy to nie cudowne, że morze takie spokojne...?

— Nie uważa pan, że menu...?

— Czy zachód słońca nie był...?

— Gdzie my teraz...?

— Czy mogę podać...?

— Czy nie istna samica z...?

Wszyscy naraz przestali, patrząc po sobie. Powróciła cisza.

— Czy można podać zupę, panie kapitanie? — szybko spytał Burtweed.

— Dziękuję, Burtweed. Tak. — Ebbs wytrząsnął chusteczkę z rękawa i otarł czoło. Pierwsze danie zostało podane i zjedzone jak na stypie.

— Może państwo słyszeli tę zabawną historyjkę... — ponownie zaczął Ebbs z determinacją człowieka, który całe życie spędził na morzu.

— Nie. Niech pan opowie — wykrzyknęli wszyscy. Wbili w niego oczy niczym uczniowie w nowego nauczyciela.

— No to... to nie jest takie zabawne — wymamrotał czując, że zawodzą go nerwy.

— Prosimy! Prosimy, niech pan mówi, kapitanie!

— Widzicie państwo — Ebbs przełknął ślinę. — Kiedyś znalazłem jednego kapitana, jeszcze z czasów żaglowców, jednego z tych starych wilków morskich.

Po jego lewej stronie pani Porteous wybuchnęła gwałtownym chichotem.

— Jednego z tych starych wilków morskich — ostrożnie powtórzył Ebbs, nie spuszczać z niej oka. — Z czasów żaglowców. Kiedy statki były napędzane... eee... żaglami.

Widząc, że to jeszcze nie pointa, pani Porteous natychmiast się uciszyła i z przesadną uwagą słuchała jego słów.

— Więc ilekroć wprowadzał swój statek do portu, kapitan ten zawsze kazał sternikowi rzucać ołowiankę. Na staroświecki sposób, rozumiecie państwo? Jako że był staroświeckim kapitanem.

— Dla kogo turbot? — spytał Burtweed.

Kiedy podano drugie danie, szczęk sztuców podział na Ebbsa jak grzechotanie instrumentów u dentysty. Modlił się, żeby jedzenie oderwało uwagę pasażerów od jego anegdotki, ale zwrócili się do niego ze straszliwą uprzejmością:

—• Prosimy mówić dalej, kapitanie! Tak, prosimy o dalszy ciąg —■ nalegali. — Umieramy z ciekawości! Panie kapitanie, wszyscy słuchamy.

— Więc — kontynuował Ebbs ożywiając się nieco — kazał rzucić sternikowi ołowiankę, żeby się dowiedzieć, ile wody było pod statkiem...

— Jak? — spytał Billy Coke.

— Słucham?

— Jak się mógł dowiedzieć, ile było wody pod statkiem?

— Szszsz, Billy! — zawołała doń żona poprzez stół. — Nie paskudź kapitanowi jego historii.

— Ależ nie. Jestem ciekaw, kochanie — odparł niecierpliwie. — Niech mi pan powie, kapitanie. Jak ta ołowianka mogła pokazać, ile było wody pod statkiem?

— No widzi pan...

— Nie gniewa się pan, kapitanie, że pytam?  
— Nie, nie, skądże — zapewnił go Ebbs. — Zasada jest naprawdę bardzo prosta. Ołowianka dotyka dna i... pokazuje, jak jest głęboko.  
— Tak. Ale jak się ją wyciąga?  
— Jest na lince.  
— Och, na lince. Teraz kapuję.  
— ■ Jesteś straszny baran, Billy — stwierdziła żona.

— Proszę, niech pan opowiada dalej, kapitanie — szybko wtrąciła pani Judd.

— Więc — ■ wy trwale ciągnął Ebbs — ten kapitan lubił się chwalić. Twierdził, że w każdej części świata może powiedzieć dokładnie, gdzie się jego statek znajduje jedynie na podstawie oględzin mułu z dna morskiego, przywartego do ołowianki po jej wydobyciu.

Towarzystwo przy stole pewne, że to już pointa, wybuchnęło zdumionymi okrzykami: — Nie! Chyba nie? Naprawdę? Niemożliwe!

— Tak — ciągnął Ebbs ponuro. — Gdziekolwiek *by statek nie był*.

— *Steward!* — *krzyknął brygadier Broster* na cały salon.

— Słucham pana?

— Mam zwyczaj zawsze sam sobie przyprawiać sałatę. Ponieważ sałatę jadam do każdego posiłku, lepiej więc przywyknijcie do tego od razu. Będę potrzebował trochę octu... tarragońskiego octu. Macie ocet tarragoński? Najlepszą oliwę nicejską, białko z jednego jajka, ząbek czosnku, jeden pęd pietruszki, ogórek, drobno siekane migdały. I koniecznie srebrny półmisek, żeby to wszystko wymieszać. To szalenie ważne, żeby na morzu jeść dużo surowizny — ciągnął, zwracając się do siedzących przy stole. — Nic dziwnego, że tyle wypadków obstrukcji spotyka się na statkach. Już kilkadziesiąt razy podróżowałem do-

koła świata i mogę. chyba mówić na podstawie pewnego doświadczenia. W Anglii, jak państwo wiecie, sami hodujemy własne jarzyny. Przy domach mamy duże ogrody i zatrudniamy wielu ogrodników. Od czterdziestu lat nie tknąłem obcych jarzyn. Ani razu! Proszę sobie wyobrazić! Chciałbym, żeby każda osoba na statku była zmuszona przynajmniej do jednorazowego spożycia w ciągu dnia domowego chowu sałaty zawierającej witaminy A, B, C, i D oraz pewne sole i minerały.

Brygadier Broster przez dobrych kilka minut tratował konwersację przy stole i kiedy wreszcie przerwał na chwilę, żeby zamówić kurozę „en casserole”, Ebbs odezwał się: — Ale pewnego dnia starszy mechanik wytarł w nią buty, a wówczas kapitan rzekł: „No, panowie, wygląda na to, że statek jest na rogu ulic Sauchiehall i Argyll”.

Natychmiast zapanowała cisza. Wszyscy spoglądali na niego ze zdumieniem.

— Nie bardzo rozumiem, kapitanie — zawołała stara pani Lomax, potrząsając swoim aparatem słuchowym.

— Nie szkodzi — odparł żałośnie Ebbs. — To drobiazg.

— Czy pozwoli pan przystawkę? — grzecznie spytał Burtweed.

W tym samym czasie Shawe-Wilson zakasował Ebbsa pod względem konwersacji. Rozdział miejsc przy stelach należał do intendenta, a że administracja statku w wielkim stopniu polega na wzajemnym świadczeniu uprzejmości, siedział więc w towarzystwie pięciu ładnych dziewcząt.

— Ależ pan zdobył mnóstwo medali — uważała blondynka z prawej.

— Och, te — spojrzał na baretki odznaczeń wojennych, jakby je zauważył po raz pierwszy. — Jeden mniej czy więcej... tego nie dało się uniknąć na korwetach.

— Korwetach... —■ dziewczętom zapało dech, a „Okrutne morze”\* ponuro zaszumiało w ich pamięci.

— Tak, oczywiście — powiedział lekceważąco. Prztyknął palcami. — Steward! Jeszcze kurczęcia! — Na morzu cieszył się dobrym apetytem.

Pięć dziewcząt patrzyło nań z nieukrywanym uwielbieniem. Mundur galowy leżał niezagannie na jego barkach, krawat był zawiązany z geometryczną precyzją, przód koszuli jaśniał jak porcelana, zęby błyszcząły, policzki promieniały, a włosy wydzielały delikatny, męski zapach. Potrzeba na to było tyle czasu, co na przygotowanie całej kolacji.

—■ To musiało być okropnie niebezpieczne — westchnęła inna dziewczyna.

— Och, były takie momenty — przyznał. — Ale przeważnie było okropnie nudno. Tak, tak — powiedział uśmiechając się lekko. — Trzeba się było przyzwyczaić do spania na mostku, do życia na sucharach i kakao, do sztormów, torped, min i tego tam wszystkiego. To po prostu była Bitwa o Atlantyk. Konwój musiał się przedrzeć przez to wszystko. Ale chodziło • o ludzi, wiecie, panie... mieć życie każdego z nich na swoich barkach. Szalona odpowiedzialność.

— Proszę nam opowiedzieć coś więcej z pańskich przeżyć — nalegała jedna z dziewcząt z szeroko otwartymi oczyma.

Obdarzył wszystkie uśmiechem. — Jestem pewien, że to by pań nie interesowało...

\* Nawiązanie do powieści N- Monsarrata pod tym tytułem.

— Ależ tak, bardzo!

— No właściwie to nie brałem udziału w niczym nadzwyczajnym poza atakiem na „Bismarcka”...

Dziewczętom zabrakło tchu.

— Nasz okręt był pierwszym, który go zauważył jednego popołudnia w atlantyckim sztormie. Prawie natychmiast otworzył ogień. Mieliśmy pecha, bo pierwszy strzał trafił w mostek. Dobrze, że podmuch tylko mnie odrzucił z połamaną kością czy dwoma. Resztę oficerów zmiotło... urządzenie sterowe uszkodzone... załoga bliska paniki. Szczęściem w porę odzyskałem przytomność. Przedarłem się na rufę do steru awaryjnego. „Co pan zamierza zrobić?” — ■ pyta mnie sternik, biedaczysko był zupełnie roztrzęsiony. — „Pytanie! Zaatakować i zatopić!” — odparłem. Myślał, że żartuję. Jego jedna salwa burtowa mogła nas zamienić w opilki żelaza. Ale miałem plan. Maszynownia, dzięki Bogu, pozostała nie tknięta, zrobiłem więc zwrot pod wiatr i położyłem zasłonę dymną. Kładła się przed nami niesiona sztormem i już miałem załatwić go naszymi torpedami, kiedy nadeszły duże okręty i wykończyły go ostatecznie.

— Och! — westchnęły dziewczęta. Jedzenie stało przed nimi nie tknięte.

Shawe-Wilson nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina podanego przez jedną z dziewczyn. Przez chwilę widział się dowódcą rozbitej korwety zamiast czwartym oficerem na umęczonym trampie Pole Star Linę, oczekującym wyzwolenia z pęt doczesności przez jakąś torpedę.

— ■ Na pewno otrzymał pan potem urlop — z szacunkiem odezwała się Australijka.

— Lekarz rzeczywiście kazał mi zejść z korwet — odpowiedział sięgając po menu. —

Poprosiłem o przeniesienie i resztę wojny spędziłem na wysadzaniu min.

Przy stole Ebbsa rozmowa ustała. Jedli jak dziesięć nie znających się wzajemnie osób przy kontuarze baru samoobsługowego.

Kiedy w milczeniu zabierał się do kurczenia, Ebbs poczuł, że rozpięła mu się lewa podwiązka. Po cichu przeklął Burtweeda. Nagle znalazł się w sytuacji niemal bez wyjścia. Jeśli zostawi podwiązkę odpiętą, będzie się za nim wlokła przy opuszczaniu salonu jak żelazna kula na łańcuchu u nogi. Z drugiej strony było rzeczą nie do pomyślenia, żeby pod czujnym okiem pasażerów dać nura pod stół dla zapięcia klamerki.

Po paru minutach desperacji Ebbs znalazł świetne rozwiązanie: będzie się nieznacznie schylał i ukradkiem wpychał odpiętą gumkę do skarpetki.

Ostrożnie ogarnął spojrzeniem stół. Wszyscy byli pochłonięci jedzeniem, jakby spełniali męczący obowiązek. Powoli opuścił lewą rękę wzdłuż nogi i zaczął macać w okolicach buta. Niechcący niezgrabnie musnął pończochę pani Porteous. Odpowiedziała natychmiastowym mocnym przytknięciem nogi i posłała mu spojrzenie oznaczające, że został między nimi zainicjowany nierozzerwalny związek.

— Po kolacji zechce pan przyjść do mnie na kieliszek likieru, prawda? — szepnęła kładąc mu rękę na ramieniu. — A może woli pan swój rum?

— Muszę iść na mostek — wymamrotał przerażony Ebbs. Rozpaczliwie zaczął szukać tematu do rozmowy. Na drugim końcu stołu Annette Porter-Williams i młody Dancer spożywali kolację w beztroskiej, intymnej ciszy. — Jak się państwu podoba podróż? — krzyknął do nich z zapalem.



Zdziwiona Annette podniosła wzrok. Była w tym wieku, kiedy wszystkie dziewczęta wyglądają ślicznie i zupełnie jednakowo.

— Szalenie cudownie — odparła zdecydowanie.

Ebbs próbował się uśmiechnąć. — A jak się pani podoba statek? — zapytał.

— Szalenie miły! — Annette miała niewielki rezerwuar konwersacji i opróżniała go po kropelce.

— Kapitanie, przypomina mi pan bardzo, bardzo drogiego przyjaciela — zamruczała mu pani Porteous do ucha.

— Gibraltar! — krzyknął Ebbs. Była to jedyna myśl, jaka mu przyszła do głowy. — Tak, Gibraltar — z zapalem zacierał ręce. — Kto z państwa był już w Gibraltarze?

— Chciałbym, żeby pan tam zawinął, kapitanie — wesoło odezwał się Bill Coke. — Zawsze chciałem zobaczyć te małpy na Skale

— Mogę państwu opowiedzieć coś bardzo ciekawego o przesądzie łączącym brytyjskie władanie Skalą z małpami — natychmiast zaczął brygadier Broster. — Wydaje się, że początki legendy...

— Ach, przestań Bill! — przerwała Gwenny Coke — przecież wszystkie małpy, jakie chcesz, możesz zobaczyć w ogrodzie zoologicznym w Taronga.

— Tak, ale te małpy tutaj różnią się od wszystkich innych małp.

— Nie mogę pojąć, czym jedna małpa może różnić się od drugiej?

— No wiesz, Gwenny — gniewnie odezwał się jej mąż — od kiedy zrobił się z ciebie taki ekspert od małp?

— Odkąd weszłam do twojej rodziny, Billu Coke.

Poderwał się z miejsca. Jego krzesło prze-

wróciło się na ruchomy stolik zastawiony deserem. — Byłbym ci wdzięczny za nieznieważanie mojej rodziny wobec obcych! — ryknął.

— Zdaje się, że przestałeś się znać na żartach — odparowała Gwenny.

— Nie widzę tu żadnego żartu!

— A ja nie widzę u ciebie żadnego poczucia humoru!

— Idę z powrotem do baru. Dobranoc! — grzmotnął pięścią w stół, aż zabrzęczały sztucce.

— Tylko nie wracaj do kabiny w płaczącym nastroju, jak się w trupa zalejesz! — wrzasnęła.

Milczący do tej pory Willy Boast krzyknął z podnieceniem: — Tak należy z nimi postępować! — i przewrócił dzbanek z wodą na panią Lomax. Pani Lomax krzyczała, Bill Coke hałaśliwie przekroczył drzwi salonu, przy wszystkich stołach przerwano rozmowy, orkiestra beładnie urwała w pół taktu.

Ebbs siedział obejmując głowę rękami.

— Panie, panowie... — wstał nieprzytomnie. — Proszę wybaczyć... proszę...

Przygnębiony oddalił się szybkim krokiem. W samych drzwiach potknął się nastąpiwszy na podwiązkę.

## 7

Ebbs siedział samotnie w swojej kabinie, czując się, jakby go wrzucono do basenu z lodowatą wodą, w której boleśnie zaczynał odmarzać. Jego mundur galowy, nieporządnie rzucony, leżał na sofie, krawat i kołnierzyk wały się po podłodze, buty kopnięte były w kąt, a podwiązka wciąż jeszcze nie zapięta.

Po długiej chwili sięgnął po ołówek i arkusz papieru ze swego biurka. Zaczął układać rezygnację. Chciał wysłać ją z Suez, żeby bodaj uprzedzić niewątpliwe zwolnienie, jakie czekało go we Fremantle. To, co Sir Angus przypuszczał, co oficerowie podejrzewali i czego sam się obawiał w skrytości ducha, było prawdą. Po tak długim włóczeniu się w pływającym wozie meblowym po surowych oceanicznych bocznych drogach świata tak samo nie nadawał się do kierowania życiem towarzyskim „Charlemagne”, jak maszyny „Martina Luthera” do poruszania statku. Przez dwadzieścia cztery lata zachował na morzu zdrowe zmysły dzięki wyobrażeniu sobie, że prezyduje przy kolacji w salonie pierwszej klasy jakiegoś liniowca Pole Star. No i co z tego wynikło? Największe morskie fiasko od „Wraku Hesperusa”\*

Rozległo się delikatne stuknięcie do żaluzjowych drzwi i wszedł Burtweed z tacą.

— Trochę herbaty i kanapek, panie kapitanie — zaproponował samorzutnie. — Niewiele pan jadł w salonie.

— ■ Która godzina? — ponuro spytał Ebbs.

— Dochodzi jedenasta, panie kapitanie.

Ebbs przypatrywał się w milczeniu, jak Burtweed ustawiał naczynia.

— Obawiam się, Burtweed, że dzisiejsza kolacja nie była zbyt wielkim sukcesem.

— Na pańskim miejscu, panie kapitanie, nie przejmowałbym się takimi drobiazgami — odparł z wesołością kontrolowaną szacunkiem. — Ludzie na morzu zachowują się czasami naprawdę dziwnie.

— Trudno to nazwać drobiazgiem — żałós-

\* „Wrak Hesperusa” — poemat II. W. Longfellowa, pisarza amerykańskiego, o samotnym marynarzu-rozbitku.

nie rzekł Ebbs. — Bardzo mnie to martwi. Mój autorytet na statku otrzymał dotkliwy cios. Jak myślicie, co powiedzą pasażerowie? Czy wyobrażacie sobie, co pomyślą w biurze? Burtweed, koniec ze mną, jak się tylko o tym dowiedzą w Londynie.

— Na litość boską, panie kapitanie, przecież oni o tym do jutra zapomną! — Burtweed uśmiechnął się do Ebbsa jak matka do dziecka, które się potłukło. — Na morzu ludzie mają krótką pamięć, panie kapitanie. Za dzień czy dwa będą mieli tyle nowych plotek, że więcej o tym nie pomyślą. Tyle razy już to widziałem. Na północ od Suezu wszyscy są najlepszymi przyjaciółmi, a kiedy dopłyniemy do Sydney, to już zapomną nazwisk tych, co wysiedli w Melbourne. Zawsze mówię, że statek jest jak niebo — ciągnął Burtweed promiennie. — Pasażerowie wchodząc na statek mogą być kimkolwiek. Opuszczając nas w Australii — mogą odchodzić dokądkolwiek. W czasie podróży zaczynają coś w rodzaju nowego życia, panie kapitanie, zachowują się tak, jak zawsze chcieli się zachowywać. No i dlatego ta cała zgrywa.

— Wcale nie mam ochoty pokazywać się więcej w salonie — przerwał mu Ebbs, który nie słuchał. — Przypuszczam, że nic podobnego nie zdarzyło się kapitanowi Buckie?

— Och, coś znacznie gorszego, panie kapitanie! — rzekł Burtweed z entuzjazmem. — Pamiętam dwóch włoskich śpiewaków, których wieźliśmy do Melbourne na występy. Obaj poczuli pociąg do tej samej młodej pani, a kiedy na Morzu Czerwonym zrobiło się porządnie gorąco, próbowali przy obiedzie porzucić się nożami do masła.

— U nas przynajmniej obeszło się bez ot-

wartej bójkę — zamruczał Ebbs z nutką pocieszenia w głosie.

— Niech pan nie zapomni, panie kapitanie, że jutro jest u pana cocktail party.

Ebbs jęknął.

— Ja bym się tak szybko nie załamywał, panie kapitanie — powiedział Burtweed, ostrożnie dodając ostatniego bodźca. — W końcu to przecież też należy do obowiązków kapitana, prawda, panie kapitanie? Tak samo jak zapisanie pijanego marynarza do dziennika okrętowego. Może pan tego nie lubić, ale musi pan to zrobić, skoro już do tego doszło. Bardzo przepraszam, panie kapitanie, z całym szacunkiem.

Ebbs westchnął. — ■ Macie trochę racji, Burtweed. Oczywiście, że w połowie rejsu nie mogę opuścić swego posterunku ani na mostku, ani w salonie. — Przez kilka chwil dumiał z miną, jakby miał zastrzelić ulubionego psa. — Zdaje się, że mogę przespać całą tę sprawę — obwieścił.

— Jak najśluszniej, panie kapitanie.

— ■ W każdym razie muszę pójść na mostek i napisać polecenia nocne — ze znużeniem zaczął wkładać kołnierzyk. — Jakkolwiek by się układało życie towarzyskie na statku, nawigacja musi być prowadzona ciągle. Potem pójde się położyć. Mam przynajmniej tę jedną pociechę, że dzisiejsze kłopoty minęły.

Ebbs posiadał kapitański dar natychmiastowego zasypiania i budzenia się przy najmniejszym zaburzeniu spokojnego rytmu statkowej nocy. Kiedy parę razy pod rząd śniło mu się, że zupełnie nago biega z Lady McWhirrey po pokładzie łodziowym „Charlemagne”, nagle usiadł w łóżku. Usłyszał hałas w swoim salo-

niku. Namacał zegarek, było tuż po trzeciej. Krótkie, trwożliwe pukanie rozległo się u zewnętrznych drzwi. Wygramolił się z łóżka, sięgnął po podziurawiony przez mole wełniany szlafrok i opryskane mydłem pantofle, zapalił światło w saloniku i otworzył drzwi. W korytarzu, trzymając się za ręce, stali Annette Porter-Williams i Dancer. Patrzyli nań nieśmiało.

— Więc... — odezwał się Dancer. Zaśmiał się nerwowo. — Zastanawiam się... to jest, czy może nam pan dać ślub?



Ebbs ze zmieszaniem patrzył na nich przez kilka sekund. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni szlafroka i wysiąkał nos.

— ■ Czy mam rozumieć, że państwo chcecie,

bym dokonał... ceremonii ślubnej? — zapytał, jakby chodziło o jakąś chirurgiczną operację.

— Właśnie — powiedział Dancer. — Zaraz, teraz. — Nieśmiało spojrzeli na siebie i zachichotali.

— Proszę wejść — zaprosił Ebbs.

Wciąż trzymając się za ręce stali na środku kabiny.

— Dlaczego nie pobraliście się państwo przed wejściem na statek? — spytał zaintrygowany.

— Aież myśmy się wtedy nie znali.

—■ To znaczy... na podstawie kilku dni znajomości macie państwo zamiar...

—■ Nawet nie kilku dni, kapitanie — znowu roześmiał się Dancer. Był to szczupły, przystojny młody człowiek o wyblakłych włosach i ładnych zębach. — Naprawdę tośmy się spotkali dziś wieczór przy kolacji — wyjaśnił. — Przy pańskim stole, wie pan. Aleśmy tak przypadli sobie... widzi pan... i... i... czy pan wierzy w przeznaczenie, kapitanie?

Ebbs przyglądając włosy zniechęcająco pokręcił głową.

—■ Właśnie tam, na pokładzie łodziowym — ciągnął Dancer — z gwiazdami i księżycem, wie pan, i morzem szumiącym w dole, i włosami Annette błyszczącymi w świetle księżyca... — nagle pochwyciło go wspomnienie potężnego wzruszenia. — I raptem zdałem sobie sprawę... oboje zdaliśmy sobie sprawę, to znaczy... prawda, kochanie? — ścisnął jej rękę łapiąc powietrze.

— Aniele! — zamruczała. Padli sobie w ramiona.

Ebbs dużo słyszał o romansach statkowych, ale szybkość tego tutaj wydała mu się raczej stosowna na farmie hodowlanej.

— Obawiam się, że zastaliście mnie państwo

trochę nie przygotowanego na taką sytuację — powiedział, zastanawiając się, co począć dalej. — Od lat jestem zaprzysiężonym kawalerem i niewiele się znam na tych rzeczach. Niemniej jednak przypuszczam, że moim obowiązkiem jako kapitana jest dostosować się do żądań państwa. Oczywiście o ile są całkowicie poprawne i uczciwe.

Nie zwracali na niego uwagi, sięgnął więc po ciężki Regulamin Kompanii stojący w bibliotece tuż obok ozdobionej flagami Biblii statkowej. Otworzył tom, mając nadzieję, że autorzy mieli szeroki wzgląd na nieszczęścia, jakie mogą spaść na morzu na kapitana. Ebbs był człowiekiem o dobrym sercu, chętnie dającym spore składki na prezenty weselne dla swoich kolegów, ale w tej chwili chciał iść do łóżka i myślał, że nigdy jeszcze nie spotkał tak wstrętnej pary.

— Obawiam się, że nie będę się mógł państwu na wiele przydać — obwieścił, błyskawicznie przeglądając strony. — To tylko rozpowszechniony przesąd, że kapitan może udzielić na morzu ślubu. Nic więcej. Proszę, tu stoi czarno na białym — z wielką ulgą wskazał paragraf.

Wydłużyły się im twarze.

— O nie, kapitanie!

— Ależ to nieludzkie!

— Ha! — z ożywieniem odezwał się Dancer wpadłszy na świetny pomysł. — A może by tak zbudzić kóregoś z tych duchownych, co są na statku? Albo wszystkich sześciu, jeśli to miało stanowić jakąś różnicę?

— Obawiam się, że to również nie dałoby absolutnie żadnego rezultatu, panie Dancer. Po prostu nie wolno dawać ślubów na morzu na pokładach statków handlowych. Bardzo szczegółowo studiowałem przepisy, zapewniam



pana. Statek musiałby mieć coś w rodzaju licencji. Tak jak świadectwo odszczurzenia — wyjaśnił.

Wyglądali jak para dzieci, którym odmówiono słodyczy.

— Prawdopodobnie byłoby rzeczą możliwą ogłoszenie w morzu zaręczyn — dodał Ebbs wertując dalsze kartki w nadziei udzielenia im jakiejś pociechy. — A wtedy dałoby się może coś zrobić w Port Saidzie czy Adenie. Zdaje się, że w obu tych miejscach wprost się roi od angielskiego duchowieństwa.

— Ale ja chcę wyjść za mąż dziś! — zawołała Annette i trysnęła łzami.

— Boże dopomóż! — stęknął Ebbs. Nagle pomyślał z czułością o „Martinie Lutherze”: tam wprawdzie bez mała co noc wyciągano go z koi z powodu jakiegoś mechanicznego czy nawigacyjnego feleru, ale przynajmniej wykluczona była o trzeciej rano inwazja hysterizujących kobiet na jego kabinę.

— Ależ, moja droga młoda pani — rzekł cierpliwie. — Przecież to tylko kwestia paru dni. Dlaczego chce pani akurat koniecznie dziś w nocy wyjść za mąż?

— Jak pan śmie! — warknął Dancer ku zdumieniu Ebbsa. — Niech pan przyjmie do wiadomości, że Annette jest z gruntu porządną dziewczyną!

— Mój drogi panie! Mój drogi panie! — wykrzyknął Ebbs, rumieniąc się po szyję. — Zapewniam pana, że nie zamierzałem sugerować... tylko myślałem, że... — przetknął ślinę. — Ja tylko chciałem powiedzieć, że narzeczeństwo było nieco za krótkie i że jeden czy dwa dni namysłu...

— Ach więc to tak? — Dancer wypuścił Annette z kojącego uścisku i stanął gotów do walki z Ebbsem. — Zdaje się, że pan imputuje,

kapitanie, że Annette i ja chcemy zrobić błąd? Pan chce powiedzieć, że jutro rano stwierdzimy, że się nie kochamy? Ach, rozumiem... W rzeczywistości mówi mi pan, że najśłodsza i najwspanialsza kobieta na świecie...

— Nie, nie, nie! — krzyknął Ebbs. — Zapewniam pana, że nic takiego nie miałem na myśli...

— Niech pan wie, kapitanie — wojowniczo ciągnął Dancer — że nie ma, nie było i może w ogóle nigdy nie będzie dla mnie innej kobiety jak Annette! — Annette, która zesła już na pochlipywanie, zaczęła znowu głośno płakać. — Insynuacja, że nasza miłość nie jest prawdziwa, mocna i trwała, jest obrazą dla najdroższej mi w świecie kobiety. Zdaję sobie sprawę, że jest pan kapitanem tego statku i że nawet jako pasażer muszę okazywać panu pewien szacunek. Ale, na Boga! Komukolwiek innemu byłbym skłonny rozkwasić pięścią nos...

— Panie Dancer! Czy pan zwariował? — zawołał Ebbs. — Co znaczą te wszystkie brednie? Przychodzi pan w środku nocy do mojej kabiny z najbardziej nierozsądnymi, delikatnie mówiąc, żadaniami, ja się staram, jak mogę, żeby panu pomóc...

— Nie chciałem pana obrazić — powiedział Dancer, uspokojony powrotem Annette na wilgotny przód jego koszuli. — W końcu — ciągnął już bardziej tolerancyjnie — gdyby nie pan, gdybyśmy nie siedzieli przy pańskim stole i tak dalej, prawdopodobnie nigdy byśmy się nie spotkali. Prawda, najdroższa? Całe moje przyszłe szczęście byłoby absolutnie stracone. Strach pomyśleć.

—■ Właśnie. Więc musicie się państwo pogodzić z faktem, że w tej chwili nie mogę was połączyć świętym związkiem małżeńskim. Dla-

tego musicie... no, uzbroić swe dusze w cierpliwość. A teraz, jeśli państwo pozwolą, chciałbym wrócić do łóżka — przerwał. Po raz pierwszy przypomniał sobie ostatnią rozmowę w Londynie. McWhirrey chciał romansów i prozę, właśnie były. — Myślę, że powinienem zawiadomić statek jakoś bardziej oficjalnie — ■ ciągnął łaskawiej. — Jutro wieczorem jest u mnie cocktail party i wydaje mi się, że to będzie wspaniała okazja. Oboje państwo jesteście na pewno zaproszeni, prawda? Dobrze. Potem zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby zaaranżować ślub, z chwilą gdy tylko wejdziemy do Port Saidu. A teraz proszę pozwolić mi skorzystać z okazji i złożyć państwu, może nieco spóźnione, moje najserdeczniejsze gratulacje i najlepsze życzenia.

Stali przed nim trzymając się za ręce i już zaczęli się uśmiechać.

— Na pewno — ciągnął Ebbs starając się możliwie jak najbardziej dostosować do wymogów chwili — będziecie państwo potrzebowali pierścionka. Prawdopodobnie można je dostać w statkowym sklepiku... oni tam sprzedają najprzeróżniejsze rzeczy.

— Jeden mam! — bez tchu powiedziała Annette. Ściągnęła pierścionek z prawej ręki i rzuciła go na Regulamin Kompanii, który Ebbs trzymał otwarty przed sobą.

— Teraz, panie Dancer — powiedział Ebbs czując się trochę onieśmielony — zdaje się, że musi go pan włożyć na trzeci palec lewej ręki.

— O, proszę! — ■ wykrzyknął Dancer. Uszczęśliwiony spojrzał na Ebbsa i wziął pierścionek. — Przecież to prawie jak ślub, prawda? Myślę... no, pan, pierścionek, księga... Wszystko, czego nam teraz brakuje, to tylko pańskiego błogosławieństwa.

Ebbs z trzaskiem zamknął Regulamin Kompanii. — Nic z tego, panie Dancer — rzekł surowo. — Nie chcę przyjmować na siebie odpowiedzialności za pańskie czyny. Dobranoc!

## 8

— Módlmy się — powiedział kanonik Swingle.

Ebbs z uszanowaniem pochylił głowę i spod brwi zaczął bacznie przeglądać szeregi pasażerów.

Było to następnego ranka, w niedzielę. Przez statek, niczym alarm pożarowy, przebiegła wieść, że Ebbs jest w najgorszym humorze. Zbudził się w niepewnej atmosferze między minionymi chmurami burzowymi wczorajszej kolacji a nadchodzącą zawieruchą cocktail party: sen przerwała mu para zakochanych idiotów, zaciął się przy goleniu, przy obliczaniu rannej pozycji statku zrobił głupi błąd i za schowkiem na flagi znalazł na mostku stertę niedopałków. Ebbs był łagodnym człowiekiem, ale jedno z takich zajść na morzu zwykle zupełnie wystarcza do zaburzenia delikatnej równowagi kapitańskiej wątroby.

Ponieważ w ciągu ubiegłych dwudziestu pięciu lat brał do rąk modlitewnik tylko z okazji morskiego pogrzebu kolegi zmarłego na statku, duchową nawigację „Charlemagne” porучzył kanonikowi Swingle. Kanonik stał teraz między nim a Shawe-Wilsonem za pokrytym flagą stołem w salonie pierwszej klasy, nadając nabożeństwu zawodowy szlif wypracowanej monotonii. Był to szczupły, niepozorny mężczyzna typu zmumifikowanego, często spotykanego w angielskich katedrach,

którego otoczenie i szerokie, fascynujące zgromadzenie wiernych pobudzało do ozdabiania suplikacji z hojnością wiktoriańskiego architekta.

— Tak jak ten, jakże kruchy stateczek, który unosi nas wszystkich — podkreślił — niepewnie nawigujemy po prądach tego żywota. Z trudem udaje się nam uniknąć niebezpiecznych półwyspów i skalistych przylądków, lekomyślnie ocieramy się o rafy i mielizny i bezsilnie sztormujemy w nawałnicy i burzy, drząc o kruchy kadłub i słabe pokłady. Jesteśmy ślepi na latarnie morskie, głusi na róg mgłowy, zagubieni, niezdolni do sterowania, szukając jak cudu szczęśliwego portu...

Ten idiota nie robi reklamy mojej nawigacji — pomyślał Ebbs splatając ręce.

Wstali, żeby zaśpiewać „Za' tych, co są w niebezpieczeństwie na morzu"\* (Ebbs zaprotestował przeciw „Bliżej, mój Boże, do Ciebie"\*\*, jako zarezerwowanej wyłącznie na okazję tonięcia statku), podczas gdy Mutt i Jeff, ze specjalnie przybieranymi w niedzielę pobożnymi minami, zbierali kolektę, krążąc z tacami cocktailowymi. Pasażerowie zawsze chodzą licznie na niedzielne nabożeństwa nie tyle ze względu na szukanie ucieczki w religii wobec niepewnego, niebezpiecznego otoczenia, ile w braku innych towarzyskich rozrywek w niedzielne przedpołudnia i możliwości pozostania w łóżku. Ebbs zerknął ponad swoim śpiewnikiem „Stare i nowe pieśni kościelne", starając się wypatrzeć siedzących przy jego stole. Annette i Dancer splekli palce na modlitewniku, Coke'owie śpiewali harmonijnie jak

\* „For Those in Peril on the Sea" — angielska pieśń kościelna.

\*\* „Nearer My God to Thee" — angielska pieśń kościelna.

dwa anioły, a pani Porteous przerywała troskliwie utrzymywany na swej twarzy wyraz świętobliwości, żeby rzucać płomienne spojrzenia na Shawe-Wilsona i na niego. Panią Judd poproszono do akompaniowania na pianinie, a brygadier Broster z niezadowoloną miną stał w pierwszym rzędzie. Kanonik Swingle wygłosił kazanie trwające dwadzieścia pięć minut, po czym odśpiewano hymn narodowy i wszyscy pospieszyli na dół, żeby blask cnoty wzmocnić porannym dżynem. Na rufie „Charlemagne” opuszczono banderę, przeliczono kolektę, prawie w całości oddano ją intendentowi i jeśli chodziło o statek, zainteresowanie niedziela wygasło.

Nalożywszy czapki Ebbs i Shawe-Wilson opuścili salon i udali się do hallu położonego przy drzwiach wejściowych do pierwszej klasy, gdzie mieściły się biura intendenta i salon fryzjerski. Było to miejsce stające się na morzu jak gdyby rynkiem, punktem centralnym życia statkowego, gdzie można było wywiesić ogłoszenia, zebrać wiadomości, obejrzyć dziewczęta i wymienić plotki.

— Po nieco zakłóconym spoczynku nocnym nie przeprowadzę zwykłej niedzielnej kapitańskiej inspekcji statku — obwieścił Ebbs, ziewając. — Zamiast tego sam, nieoficjalnie obejdę statek po południu.

— To nie przysporzy panu, panie kapitanie, popularności wśród załogi — natychmiast odparował Shawe-Wilson. — Oni nie bardzo lubią, kiedy kapitan wtyka nos w ich sprawy.

— Jeżeliby pan zechciał wysłuchać reszty tego, co\* mam do powiedzenia — cierpliwie mówił Ebbs — może by mi pan oszczędził dobrodziejstw pańskich porad dotyczących dowodzenia moim statkiem. Chcę, żeby pan powiadomił wszystkie działy o moich zamiarach, tylko

dlatego, żeby ktoś nie pomyślał, że „wtykam nos”, jak pan to określa.

— Kapitan Buckie zwykle inspekcję i tak dalej zlecał mnie, panie kapitanie.

— Kapitan Buckie, niechętnie to panu przypominam, niestety nie jest już z nami.

— Och, oczywiście, panie kapitanie. To była tylko propozycja. Myślałem, że w tym momencie pan kapitan będzie wolał skoncentrować się na nauce postępowania z pasażerami.

— Panie Shawe-Wilson — Ebbs opanował się i wysiąkał nos. Po czym kontynuował: — Mam całkowite zaufanie do swoich umiejętności kierowania statkiem i ludźmi na nim... niech pan to sobie wbije w głowę i tam to zatrzyma.

— Tak jest, panie kapitanie.

—■ Skoro już jesteśmy przy tym... jak tam z alarmem łodziowym? Według Regulaminu Kompanii to należy do pańskich obowiązków. Dlaczego nie było alarmu łodziowego? Od tygodnia jesteśmy na morzu.

— Pogoda była zbyt sztormowa, panie kapitanie.

— Ta odpowiedź, panie Shawe-Wilson, śmiesznie zabrzmiała w Izbie Morskiej. Dziś o czwartej przeciwiczymy załogę i pasażerów na miejscach zbiórki alarmowej.

— Ależ to niedziela, panie kapitanie.

— Nie wiedziałem, panie Shawe-Wilson, że pańskie zasady religijne sięgają aż tak daleko.

— Nie możemy mieć w niedzielę alarmu łodziowego, panie kapitanie. Dziś jest pasażerski popołudniowy turniej wista.

— A żeby to było nawet pasażerskie pranie popołudniowe! Alarm łodziowy o czwartej!

—■ Mogę tylko panu powiedzieć, panie kapitanie, że pasażerowie będą ogromnie rozczarowani — rzekł starszy oficer.

—■ Do diabła, panie Shawe-Wilson. Bezpieczeństwo statku przede wszystkim, prawda? Jestem kapitanem czy nie?

— Tak jest, panie kapitanie...

— Alarm łodziowy więc, panie Shawe-Wilson. O czwartej. A co pan tu robi, u diabła?

Ostatnia uwaga zatrzymała Jaya, czwartego oficera, niczym łąso. W niedzielnym mundurze zstępował po schodach z pokładu nie zauważwszy Ebbsa.

— Czy pan wie, że Regulamin Kompanii zabrania młodszym oficerom wstępu na pokłady pasażerskie? — zagrział Ebbs.

Jay otworzył usta. Stał przygarbiony, kurczowo ściskając brzeg marynarki, lewą kostkę pocierając prawym obcasem. Był w tym wieku i stopniu, że naprawdę bał się wszystkich kapitanów.

— Szedłem zaznaczyć popołudniową pozycję na mapie dla pasażerów, panie kapitanie — wymamrotał. W rzeczywistości po nabożeństwie, w prasowni prawej burty, miał mieć z rudowłosą dziewczyną randkę umówioną po niesłuchanie trudnej, a pomysłowej wymianie bilecików.

— Teraz jest jedenasta piętnaście, panie Jay.

Jay usiłował wydobyć z siebie głos.

— Proszę natychmiast wracać do swoich pomieszczeń. Intendent! — ciągnął Ebbs, kiedy Jay pomknął na górę jak spłoszona wiewiórka. — Chciałbym przejrzeć pańskie księgi kasowe z baru.

— Z największą przyjemnością, panie kapitanie. — Prittlewell wiedział, że każdy kapitan, ile razy budził się w złym humorze, zawsze chciał przeglądać kasowe księgi barowe. — Natychmiast przyniosę je do pańskiej kabiny.

— To jest ogólny bilans bieżący — wyjaś-



niał Prittlewell w kilka minut później, pokrywając biurko Ebbsa otwartymi księgami rachunkowymi. — Jak pan widzi, te liczby tutaj są prawidłowe według systemu zaliczkowego tylko wobec zysków i strat, ale pozycje ponad linią będą przeniesione na dół między wpisy dotyczące rachunków bieżących, ponieważ możemy sporządzić tylko bilans średni...

—■ To wygląda raczej skomplikowanie — markotnie rzekł Ebbs. — Na „Lutherze” prowadziliśmy to wszystko w szkolnym zeszytcie i trzymałem go u siebie w szufladzie.

— Tutaj to jest trochę większy problem, panie kapitanie — powiedział Prittlewell polewając monokl.

— No, muszę przyznać, że te liczby niewiele mi mówią — wyznał Ebbs. Zawsze czuł się niewygodnie w obecności intendenta, który zaczynał przypominać mu siostrę. —• Lepiej zawierzę panu na słowo, że wszystko jest w porządku.

Prittlewell uśmiechnął się. — Zapewniam pana, panie kapitanie, że od lat nie okradłem żadnej kasy...

— Na pewno nie miałem zamiaru rzucać pot warzy na pańską uczciwość.

— Jestem pewien, że nie, panie kapitanie. Może pan podpisze stronę, jak tego wymaga Regulamin Kompanii...

Ebbs ujął pióro.

— Gdyby pan zechciał podpisać też te czyste strony, panie kapitanie, to nie musiałbym pana fatygować aż do końca podróży. Dziękuję, panie kapitanie — powiedział, kiedy Ebbs bi-bułą osuszył swój ostatni podpis. — To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Spotkamy się więc dziś wieczorem, panie kapitanie? Jestem pewien, że pańskie cocktail party będzie jednym wielkim sukcesem.

— Miejmy nadzieję, że będzie lepsze od ostatniej kolacji — odparł Ebbs. — Będę się starał dać z siebie wszystko.

— Jestem tego pewien, panie kapitanie. Pan jest najbardziej chętny do współpracy ze wszystkich kapitanów, z jakimi ostatnio pływałem. Do widzenia, panie kapitanie.

Większą część dnia spędził Ebbs w kabinie. Postanowił nie podawać się do dymisji bez rozegrania rewanżowego meczu z pasażerami podczas cocktail party, ale był zbyt zawstydzony, żeby spotkać któregoś z nich osobno. Oni tymczasem dostosowywali się do zwykłych form życia towarzyskiego na statku. Przyjaźń wykuwała się we wszystkich gradacjach temperatury: od białego żaru namiętności do ledwie letnich przypadków wynikających z mieszkania na przeciwległych krańcach tego samego angielskiego hrabstwa, a ludzie jednakowych poglądów szybko zlewali się w kliki: plotkarze zasiedli w fotelach i zaczęli codzienne spekulacje na ożywionej giełdzie statkowych skandali, sportowcy rozpoczęli wydeptywanie swoich z góry przewidzianych i ustalonych mil, a brydżyści zajęli swój suwerenny kąt w salonie i wytrwale grali sobie na nerwach.

Z kompletu pasażerów „Charlemagne” najważniejszą kliką była grupa pijaków: pięciu czy sześciu zahartowanych mężczyzn, często podróżujących i patrzących na statki głównie jako na hojne punkty wydawania bezcłowego alkoholu. W samotnych kąciach palarni dowodził nimi Willy Boast, towarzyski człowiek, którego długie letnie sezony krykietowe utrzymywały w stanie trwałego pragnienia. O dziesiątej rano odnajdowali swoje wybite skórą gniazdo koło baru w palarni, oczekując na

grzechot żaluzji Scottiego, wieszczący im świt ich dnia. Najpierw wymieniali kilka uważnie żartobliwych słów o stanie zdrowia i wątroby, ale były to tylko puste formułki, tak jak modlitwa w parlamencie. Wkrótce nie wzywani pojawiali się Mutt i Jeff ze zwykłymi kolejkami otwieraczyoczu, po których następowały zawschodysłońca, napokrzepienia, nawzmacniacze, nadrzemkacze, aż pijący zmuszeni byli niepewnie rozproszyć się do swoich kabin, kiedy o trzeciej, zgodnie z przepisami statkowymi, zamykano bar. Wtedy Boast obwijał głowę mokrym ręcznikiem i do furii doprowadzał sąsiadów wyklepywaniem kilku stron swojej nowej książki „Zupełnie spalony” na przenośnej maszynie do pisania w taki sam sposób, w jaki komponował swoje słynne artykuły o krykcie podczas przeznaczonych na to długich popołudni w letniskowych pawilonach. Pisał nieprzerwanie do piątej, kiedy ponownie otwierano bar i jego koledzy znowu się spotykali, żeby nałogowo i systematycznie opróżniać kieliszki aż do wieczora, kończąc go ostatecznymi podzachódslóncami, nadobranocami, odstraszaczami-tygrysów, postrachamirekinów i ścigaczami-morświnów, aż o północy żaluzja Scottiego gilotynowała ich radość.

O czwartej po południu ta leniwa rutyna statkowa została przerwana przez syrenę dającą sygnał do opuszczenia statku, i pasażerowie w kamizelkach ratunkowych zaczęli potulnie ukazywać się na schodach, dążąc na swoje miejsca zbiórki przy łodziach. Jedynymi wyjątkami byli: Willy Boast, bo się zamknął w kabinie, i stara pani Lomax, która nie dosłyszała zapewnień stewardesy i z krzykiem wybiegła na pokład, łysa, bezzębna i w gorsecie.

Pasażerowie zbierali się na pokładzie spa-

cerowym pod dowództwem Shawe-Wilsona przechadzającego się wśród nich z czapką nasuniętą na jedno oko, z kciukami wystającymi z bocznych kieszeni marynarki: alarmy łodziowe były ulubioną częścią jego morskich obowiązków służbowych.

— Przez minutę proszę mnie posłuchać — zaczął surowo zwracając się do zgromadzonych. Zapadła cisza pełna szacunku. — Jeżeli by się coś przydarzyło naszemu statkowi — ciągnął z pełną ekspresji nonszalancją — nie życzę sobie żadnej paniki. Znacnie zasadę: kobiety i dzieci naprzód. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, jak długo nikt nie straci głowy. Możecie mi wierzyć. Widziałem to jasno przy storpedowaniu. Za każdym razem. — Surowo spoglądał na wskroś posłuszne audytorium. — Wszyscy mają czekać na rozkazy. W żadnym wypadku nie życzę sobie szturmowi na łódzie. Pamiętajcie, że jesteście Brytyjczykami. Albo Australijczykami — dodał szybko. — A teraz... — wskazał na najładniejszą dziewczynę w zasięgu wzroku. — Czy pani wie, jak w pięć sekund włożyć kamizelkę ratunkową?

Zarumieniła się i potrzęsnęła głową, jakby ją publicznie oskarżył o niemoralność.

— No to lepiej zademonstruję. Proszę się skupić dokoła mnie. Można palić, jeśli ktoś ma ochotę. Pokażę nasz służbowy sposób nakładania kamizelki ratunkowej. Teraz, młoda pani, proszę stanąć tutaj, tuż przede mną i podać mi obie ręce...

Na wyżej położonym pokładzie łodziowym Brickwood wszedł na trap wiodący na mostek, zsalutował i zameldował Ebbowski: — Łódzie zamocowane, panie kapitanie.

— Bardzo dobrze, panie Brickwood. Zdaje się, że cała załoga wie, co do niej należy.

Jestem zupełnie zadowolony ze sposobu przeprowadzenia alarmu.

— Dziękuję, panie kapitanie. Czy mam dać syreną sygnał „koniec alarmu“?

— Chyba lepiej zaczekajmy, aż pan Shawe-Wilson skończy z pasażerami, prawda?

— Tak jest, panie kapitanie.

Ebbs przemierzał mostek rozmyślając o cocktail party. Z podobną awersją nie oczekiwał jeszcze pełnienia żadnej funkcji od czasów morskiej inicjacji, kiedy praktykanci urządzili kabinową uroczystość, której on sam był głównym punktem programu. Polegało to na wypiciu kubka wody morskiej, doprawionej gorzką solą i syropem, stojąc nago na jednej nodze i śpiewając „Rule Britannia“\*. Postanowił nie powtarzać błędu z ostatniej kolacji, którym było wykreślanie kursu z góry. Do sprawy podejździe jak do tajfunu i będzie tak manewrował, jak tego będzie wymagało grożące w danej chwili niebezpieczeństwo. A gdyby wyglądało na to, że goście wymykają się z cugli, to zawsze jeszcze może wycofać się do łazienki i zamknąć się tam, aż sobie pójda.

— Czy pan Shawe-Wilson jeszcze nie skończył? — spytał niecierpliwie w dziesięć minut później.

— On jest bardzo skrupulatny, panie kapitanie — odparł Brickwood.

Następne pięć minut spędził Ebbs na niespokojnym badaniu horyzontu przez lornetkę, aż wykrzyknął. — Cholera jasna! Co ten facet tam robi? Nie możemy tak trzymać całego statku. Panie Brickwood!

— Słucham, panie kapitanie.

— Niech pan obejmie dowodzenie.

\* „Rule Britannia” — „Władaj, Brytania”, rodzaj nieoficjalnego hymnu brytyjskiego, jak nasza „Rota”.

— Tak jest, panie kapitanie.

Ebbs podszedł do schodów prowadzących na pokład spacerowy, z wściekłością spojrzął w dół i ujrzał Shawe-Wilsona demonstrującego węzeł refowy w okolicach pępka blondyny, aż płonącej chęcią współpracy.

— Panie Shawe-Wilson —■ powiedział później, kiedy taktowne wezwanie przez sternika sprowadziło starszego oficera na mostek. — Czy jest rzeczą konieczną przeszkalanie pasażerów podczas alarmu łodziowego w sposób tak... hm, intymny?

— Wydaje mi się, panie kapitanie, ważne pokazać im, jak się nakłada kamizelkę ratunkową — odparł uprzejmie Shawe-Wilson.

— Właśnie. Czy nie mógłby pan tego z równym efektem zademonstrować na sterniku?

— Chciałbym powiedzieć, panie kapitanie, że Sir Angus McWhirrey osobiście" gratulował mi sposobu postępowania z pasażerami podczas alarmu łodziowego.

— Panie Shawe-Wilson —> rzekł Ebbs z namysłem — ma pan nieszczęsny talent doprowadzania mnie co kilka godzin do granic wytrzymałości nerwowej. Czy mógłby pan coś z tym zrobić? Wiem, że uważa mnie pan za trzęsącego się, starego durnia, ale również powinien pan wiedzieć, że do obowiązków starszego oficera należy znoszenie starych, trzęsących się durni. Czy jest jakaś przyczyna, dla której nie moglibyśmy pracować razem doskonale harmonijnie?

Shawe-Wilson wysunął dolną wargę.

—■ Oczywiście nie ma — ciągnął Ebbs. — Miałem już dość kłopotów ze statkiem, o czym, jestem przekonany, pan wie aż za dobrze. Proszę, zagrzebmy topór wojenny. Dzisiejsze cocktail party wieczorem u mnie jest do tego

wymarzoną okazją. Nie ma powodu, dla którego pan i ja nie mielibyśmy wspaniale współżyć — wysiąkał nos. — Niech pan zacznie od nowa, panie Shawe-Wilson. Na razie nic więcej nie powiem. Proszę dać sygnał „koniec alarmu”.

## 9

Kapitańskie cocktail party oficjalnie puszczają w ruch wir życia towarzyskiego „Charlemagne”, a cenne zaproszenia wsuwane pod drzwi wybranych kabin miały na statku wagę wezwań do Pałacu Buckingham\*. Zgodnie z tradycją, przyjęcie odbywało się w salonie kapitana, co powodowało pewien konflikt między obowiązującymi Pole Star Linę przepisami budowy statków a jej względami towarzyskimi: w każdej podróży wzrastała liczba ludzi, których Linia poczuwała się do obowiązku zaprosić, a że dalsze powiększanie salonu kapitańskiego nadałoby statkowi wygląd pływającego domu, więc po pół godzinie gospodarzowi zwykle przypominał się kubryk liverpoolskiego parowca opalanego węglem, kiedy w cichą tropikalną noc palacze tylko co wynurzyli się z kotłowni.

O piątej tego popołudnia Burtweed, przybywając wraz z czterema asystującymi mu stewardami niosącymi półmiski kanapek, pasztetu sztrasburskiego i sandwiczów z kawiozem, jasno dał Ebbsowi do zrozumienia, że zostaje wywłaszczony ze swojej kwatery. Posłusznie wycofał się więc do sypialni, żeby się przebrać. W tym czasie jego uczucia co do party były

\*Buckingham Pałace — londyńska rezydencja królów Anglii.

mieszane: gorąco pragnął mieć już tych kilka godzin za sobą, ale po całym życiu ostro kwestionowanych rachunków za remonty i ograniczanych do minimum zamówień prowiantowych nawet najbardziej skąpy kapitan musiał uważać okazję do odgrywania roli hojnego gospodarza na koszt Kompanii za rzecz niesłychanie pociągającą.

Wynurzywszy się spod prysznicu zastał oczekujący go list.

— Od duchownego, panie kapitanie — wyjaśnił Burtweed.

„Drogi Kapitanie — czytał Ebbs. — Muszę pana prosić o wybaczenie, że nie przybędę na dzisiejsze cocktail party. Nie mogę znieść przebywania w jednym pomieszczeniu z brygadierem Brosterem. Nie bardzo odpowiada mi przebywanie z nim na jednym statku, ale na nie szczęście nie ma innego wyjścia. Przyznaję, iż jestem tylko kanonikiem kościoła anglikańskiego, ale nie mogę się z tym zgodzić, żeby dzisiejsze poranne nabożeństwo potrafił lepiej poprowadzić niż ja. A on w to właśnie wierzy. Poza tym spędził popołudnie na pouczeniu mnie o różnych aspektach zasad wiary. Prawdopodobnie praktyka taka jest dlań rzeczą oczywistą w jego rodzinnym miasteczku, którego duszpasterza obdarzam moim najgłębszym współczuciem.

Szczerze pański

A.R.T. Swingle

P.S. Bardzo nie lubię prosić o względy, ale czy nie można by przenieść mnie do innego stolika? W tę podróż zainwestowałem swój bez mała ostatni grosz, gdyż lekarz zalecił mi koniecznie całkowicie zmienić otoczenie."



Ebbs westchnął i wsunął list za lustro. Kończąca była świadomość, że inni ludzie też mieli kłopoty.

— Witam panów, witam — zagajał w chwilę później, ukazując się w mundurze galowym w swoim saloniku. — Bardzo się cieszę, że panów widzę i jestem wdzięczny za pomoc.

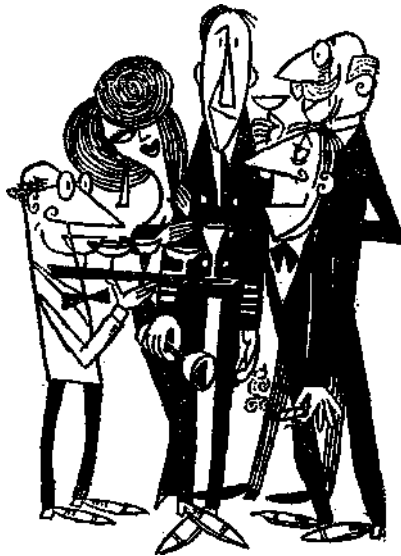
Jego zastępcy, wraz z nim dźwigający odpowiedzialność za party, stali już wśród szkła i srebra, kosztując pierwszych darmowych trunków. Byli tam Prittlewell i Shawe-Wilson, Earnshawe, czerwonicy starszy mechanik rodem z Yorkshire, o dłoniach jak uszy słonia, oraz doktor statkowy, czarujący starszy już lekarz-omnibus, który wycofał się do nie fatygującej praktyki na morzu po całym życiu równie spokojnego leczenia w Bengalskich Liniach Kolejowych.

— Wierzę, że ten wieczór upamiętni się początkiem bardziej owocnego koleżeństwa między nami — powiedział Ebbs z większą pewnością w głosie niż w sercu. — Wszystkie statki są takie same, panowie, ale trzeba trochę czasu, żeby się na nich zadomowić. Mają swoje napięcia i naprężenia, jeśli mogę zapożyczyć określeń z pańskiego działu, panie Earnshawe, ale wkrótce stworzymy bardzo szczęśliwy statek. Mam szczerą nadzieję, że tak będzie. Tymczasem obawiam się, że czeka nas dzisiaj coś w rodzaju próby. Będę na pewno potrzebował poparcia panów. Pomoże mi pan dawać sobie radę z paniami, co, panie Shawe-Wilson? — Shawe-Wilson skrzywił się. — Ależ pan się wysadził, intendencie, same smakołyki — ■ ciągnął Ebbs, przyglądając się z aprobatą sandwiczom. — • Co to są te małe tutaj? Przy okazji, intendencie, mógłby pan znowu przesadzić kanonika. Proszę umieścić go z tymi młodymi gimnastyczkami — bardzo

apetyczne te kanapki, naprawdę bardzo apetyczne!

— Powinny takie być, panie kapitanie. Kosztują Kompanię pięć szylingów sztuka.

— Naprawdę? Pięć szylingów? Intendencie, naprawdę jestem zdumiony! Kto by pomyślał, że kanapka może kosztować pięć szylingów! Co, u licha, może...



— Komandor i pani Barker — od drzwi zaanonsował Burtweed.

— Boże drogi, już goście! — krzyknął Ebbs dając susa przez kabinę z wyciągniętą dłonią.

Shawe-Wilson popatrzył na innych. — Kawior dla tego... ech, kapitana — zamruczał.

Komandor Barker serdecznie powitał Ebbsa. Zdawało mu się, że go skądś zna i pytał, czy nie spotkali się czasem w Bombay Yacht Club,

Royal Thames Yacht Club lub Royal Yacht Squadron. Ebbs wymamrotał, że nie należy do żadnego klubu, że nigdy nie był na jachcie i szybko podszedł do napływających nowo przybyłych. Tymczasem w korytarzu goście utworzyli już ogonek i wpuszczano ich pod regulującym ruch okiem Burtweeda, podczas gdy Ebbs stał w drzwiach rozdzielając drobne uprzejmości z coraz bardziej rosnącą szczodrobliwością. Ponieważ w salonie jadalnym prawie wyłącznie patrzył na pasażerów otaczających go przy jego stole, większość przybyłych witał jak obcych, ale wkrótce zaczął znajdować starych przyjaciół.

— Drogi kapitanie! — pani Porteous w obcisłej, głęboko wyciętej sukni wieczorowej ciepło ujęła jego rękę. — Jak to szalenie miło z pańskiej strony, że mnie pan zaprosił na swoje absolutnie wspaniałe przyjęcie.

— Zapewniam panią, madam, że przyjemność...

— Pan ma takie głębokie, głębokie szare oczy — mruzczała ściskając mu palce i spozierając z dołu na niego. — Pan chyba zawsze stoi na mostku wypatrując różnych rzeczy? Jakżeż pan musi być zmęczony!

W drugim końcu kabiny Shawe-Wilson uniósł brwi. Jej spojrzenie nic nie mówiące dla Ebbsa przez niego zostało mistrzowsko rozszyfrowane.

— Tak, naturalnie, oczywiście — mamrotał Ebbs, rozglądając się wkoło za ratunkiem. — Ach, intendent! Intendent postara się pani o coś pokrzepiającego — ciągnął przekazując mu panią Porteous. — Tu są naprawdę świetne kanapki i tak dalej. Mój drogi panie Boast! — niezwłocznie kontynuował poprzez drzwi. — Ach, jak to ładnie z pańskiej strony, że oderwał się pan od swoich prac literackich!

— Fajne stare kumple — rzekł uprzejmie Boast.

Kabina się wypełniała, paplanie rosło, oficerowie z wypraktykowanym wdziękiem podawali wkoło srebrne półmiski, a ze stewardów poczał się łać pot do martini. W krótkim czasie cocktail party stało się jak każde inne: ludzie zaczęli wołać nawzajem do siebie, ignorując słowa swoich partnerów, i głośno śmiać się z własnych dowcipów. Kobiety stały się zjadliwe, a mężczyźni przez całą szerokość kabiny ślali dziewczętom gorące, taksujące spojrzenia.

Shawe-Wilson wy dobył się wkrótce z hałaśliwej cizby gości i dzierząc swój różowy dżyn, zamyślony oparł się o ścianę. Noc kapitańskiego przyjęcia cocktailowego była dla niego krytyczna, gdyż dawała sygnał startu do jego miłosnych działań na statku. Był skrupulatnym galantem: pierwszych pięć czy sześć dni na morzu poświęcał na przegląd kandydatek do swoich względów, czyniąc tak od czasu swojej pierwszej, dziewiczej podróży na „Charlamagne”, kiedy bezmyślnie poderwał pierwszą z brzegu dziewczynę, jaka się pokazała na pokładzie po minięciu Dovru, i całą podróż do Sydney bez wytchnienia spędził w jej ramionach. Teraz wołał bardziej sportowy kontakt, zanim statek dotarł do Morza Czerwonego, kiedy dziewczęta leżały rzędami, ślicznie dojrzewając w słońcu, i mógł sobie wybrać następną towarzyszkę, która by starczyła aż do brzegów Australii. Ten rozkład zajęć można było natchmianem zmienić w momencie ukazania się celu rokującego większe korzyści, gdyż Shawe-Wilson należał do gatunku mężczyzn, którzy **nie** potrafili w myślach rozebrać dziewczyny, żeby przy tym równocześnie nie oszacować jej sukien. **Nie** miał zamiaru wydeptywać mostku

przez resztę swojego życia i powziął decyzję uzyskania zwolnienia z morza dzięki pierwszej dziedzicze milionów, jaka będzie podróżowała na „Charlemagne”. Już dwa razy wietrzył sukces, ale: ojciec pierwszej nagle zbankrutował i zastrzelił się, a druga, jedyna córka piwowara-milionera, nazywała go chłoptasiem i była tak pozbawiona wdzięku jak kombajn żniwny.

— Wszystko w porządku, panie kapitanie — szepnął Ebbsowi do ucha Burtweed.

Ebbs przytaknął skinieniem głowy. Do tej pory nie wynikło żadne uchybienie wobec protokołu i ostrożnie zaczął myśleć, że odniósł towarzyski sukces. — Wszystko dobrze? — spytał pełen nadziei.

— Bez zarzutu, panie kapitanie.

— No to przejdę się wśród gości. Chyba mam to zrobić, prawda?

Wcisnął się do salonu z intencją puszczenia się wkoło niczym żywy sandwicz. Przepychał się od ogrupy do grupy z nie napoczętym kieliszkiem w ręce, rozdając niezdarne uprzejmości, jak duchowny chcący w barze okazać swoją towarzyskość. Goście traktowali go z należytych szacunkiem, a rozmowę uprzejmie ograniczali do technicznych pytań związanych z morzem: Kto steruje, kiedy on je obiad? Czy sypia w hamaku? Ile razy przeżył rozbić statku? Czy szczury rzeczywiście opuszczają tonący statek? Czy to prawda, że marynarze mają dziewczynę w każdym porcie? Czy urodził się w czepku? Mężczyźni mówili do niego przez „sir” i gęsto się tłumaczyli, ile razy rozlewali trunki na jego mundur, a każdy ofiarowywał mu więcej uprzejmości niż należna mu miarka, jaką udawało mu się wydusić ze swoich oficerów na podstawie usta-

wy morskiej. Ebbs uważał to wszystko za skromnie zachęcające.

— Och, kapitan! — powiedziała Gwenny, kiedy oboje wraz z mężem, ruchliwi jak żywe srebro, zagnali go do kąta. — To jest najprzyjemniejsze przyjęcie, na jakim byliśmy od wyjazdu z Sydney. Czyż nie tak, Bill?

— Mam nadzieję, że rany ostatniego wieczoru — nieśmiało spytał Ebbs — zostały zaleczone?

Patrzyli na niego.

— To tylko sprzeczka zakochanych — wyjaśnił Bill Coke, mając usta pełne sandwicza. — Gwenny i ja jesteśmy trochę... no po-pędliwi. Ale ona jest najśłodszą dziewczyną, jaka kiedykolwiek przeszła przez most w Sydney, a to już coś mówi.

— Och, czy to nie śliczne? Wie pan co, kapitanie? - zachichotała Gwenny. — Dla nas to jest drugi miesiąc miodowy.

— Wspaniale — rzekł Ebbs, zaczynając wierzyć, że na „Charlemagne” wspomnienia naprawdę rozpływają się równie szybko jak ślad statku na wodzie. — To właśnie jest to, o co naszej Kompanii chodzi.

— Uważamy także, że pan jest morowy chłop, kapitanie.

Ebbs skromnie się skłonił w uznaniu dla najwyższego australijskiego komplementu.

—• Chociaż pierwszy raz, jak pana zobaczyliśmy — mówił dalej jej mąż, gracko ściągając kieliszek z przenoszonej tacy — myśleliśmy, że z pana jakaś niemrawa sztuka. Prawda, Gwenny?

— Naprawdę tak było! Powiedziałam do Billa: „Co myślisz o kapitanie?” A on odpowiedział: „Gwenny, on wygląda jak chora krowa w koszuli ze sztywnym gorsem”. Nie tak, Bill?

— Dokładnie tak właśnie powiedziałem, Gwenny kochanie.

— No właśnie — mruknął Ebbs.

Niespodziewanie krucha tratwa pewności siebie, na której się unosił, zaczęła pod nim tonać.

— W Anglii — usłyszał za sobą — podróżujemy dla przyjemności. Nie jedziemy po to, żeby po prostu dotrzeć do jakiegoś miejsca w możliwie najkrótszym czasie. Mamy swoje samochody, bardzo duże i wygodne samochody, i swoich szoferów. My Anglicy jesteśmy urodzonymi podróżnikami. Zimą odwiedzamy południe Francji albo Maderę czy Maltę. W lecie objeżdżamy Szkocję albo zachodnie hrabstwa, albo Walię, Właśnie znam bardzo ciekawą historyjkę o Walii. Ja... ach, kapitan! — ciągnął Broster, kiedy perwersyjny wir przyjęcia ułokował Ebbsa o niecałe sześć cali od czubka jego nosa. — Chciałbym zamienić z panem słówko.

— Słucham, brygadierze?

— Nie domagam się żadnych specjalnych przywilejów na statku. Pan to wie. Jestem po prostu zwykłym pasażerem, tak jak reszta. Fakt, że jestem właścicielem połowy Linii, nie robi najmniejszej różnicy. Rozumie pan?

— To bardzo ładnie z pańskiej strony.

— Niesłychanie jednak mnie dziwi, że nie zostałem zaproszony do statkowej komisji sportowej. Mam szczególnie obfite doświadczenia w sprawach tego rodzaju i znam się na ringach bokserskich. Każdy kapitan, z którym dotąd pływałem, wprost biegał za mną, jeśli o to chodzi. Oczywiście, to pańska sprawa i jestem ostatni, który by się mieszał do pańskiego dowodzenia statkiem, ale żeby być tak zupełnie pomijanym... mogę to tylko określić jako...

— Postaram się, by przy najbliższej okazji skorzystano z pańskich doświadczeń — zapewnił Ebbs. — Uprzejmie z pańskiej strony, że pan to zaproponował — dodał sztywno.

— Jeszcze jedną sprawą. W mojej kabinie kurek do wody cieknie kap kap kap przez całą cholerną noc. Od Tilbury nie zmrużyłem oka. A sądząc po zapachu z mojego wentylatora coś tam musiało wleźć i zdechnąć. To nie znaczy, że się skarżę...

— Obie rzeczy zostaną naprawione podczas kolacji.

— Chciałem jeszcze panu powiedzieć — rzekł Broster unieruchamiając Ebbsa znaczącym spojrzeniem — że McWhirrey prosił mnie, żebym miał na pana oko.

— Doprawdy? — uśmiech Ebbsa był dzielny, choć słaby. — Głęboko wierzę... mam szczerą nadzieję... zapewniam pana, że nie będzie żadnej... no, przyczyny, jakiegokolwiek przyczyny...

Chciał się wycofać do tyłu, trafił na dwójkę gości i znalazł się wkliniowany między panią Porteous a ścianę.

— Wiedziałam, że pan się do mnie przedrze — powiedziała z zachwytem. — Jak to miło z pańskiej strony, kapitanie! — Kiedy Ebbs dostrzegł oko Brostera ponad jej nagim ramieniem, zniżyła głos: — Kochanie — szepnęła. — Przyjdź do mnie z wizytką dziś w nocy, dobrze? Kabina A 25, będę na ciebie czekała o północy.

Ebbsowi kieliszek wypadł z ręki.

Chwyciła go za ramię. — Przrzekasz? — dyszała.

— Wykluczone! — zasyczał. — Absurdalne! Dobry Boże, kobieto!

— No obiecaj, kochanie!



— Pani Annette Porter-Williams! — Burtweed zagrzmiał od drzwi.

Ebbs z trudem chwycił powietrze.

— Proszę, przyjdź, kochanie!

— Puść! Puść mnie! — wyszarpnął rękę i przepchnął się przez kabinę. Bez tchu dotarł do drzwi. — Pani Porter-Williams... ee... pani... ee... moja droga — powitał ją. — Ja... ach, jak się pani czuje?

— Urocze przyjęcie — powiedziała, uśmiechając się wkoło. — Czyśmy się strasznie spóźnili?

—■ Burtweed! — porywczo zawołał Ebbs. Opanował się siłą woli. — Proszę o ciszę.

— Panie i panowie! — krzyknął Burtweed, jakby obwoływał z bocianiego gniazda. — Proszę o ciszę dla kapitana!

Kiedy rozmowy zamarły, Ebbs z drzeniem wyciągnął z kieszeni siatkową widokówkę, na której czerwonym atramentem napisał sobie krótkie, pełne godności przemówienie.

— Panie i panowie! — zaczął zakrywając kartkę. — W czasie podróży kapitan ma wiele obowiązków, jedne przyjemne, inne nie tak przyjemne. Niniejszy należy do tych bardzo przyjemnych. Jest mi ogromnie miło, że mam... och, przyjemność, to jest... zaręczyny, które teraz ogłaszam z wielką przyjemnością, znaczy panny Annette Porter-Williams z... — podniósł wzrok. Anette głąskała policzek marchewkowowłosego młodzieńca, którego pierwszy raz widział na oczy. — Gdzie jest Dancer?

— On był okropny — wyjaśniła.

— Pani chce... Pani chce... — Ebbs wskazał z obawą — zaręczyć się z...

—■ Nazywam się Muggs — powiedział młodzieniec, dziarsko wyciągając rękę. — Dicky Muggs z Brisbane. Dziś po południu wyskoczyłem z tym pytaniem. O tam, na pokładzie

tenisowym. Słowo. Czulem się, jakbym dostał pałką w łeb, kiedy Annette się zgodziła. To duże dziecko — szczerze wyjaśnił słuchającym. — Duże małe dziecko. Ale się moi starzy zdziwią zobaczywszy, co im przywiozłem do domu!

— Ach, ty śliczny, śliczny mój! — wykrzyknęła Annette wichrząc mu włosy.

Ebbs zakrył ręką oczy. A teraz — pomyślał — następny kłopot przy kolacji.

## 10

Kiedy Ebbs na krótko przed północą powrócił do swojej kabiny, był skromnie zadowolony. Cocktail party, jako całość, okazało się sukcesem. Późniejsza kolacja była pogodnym posiłkiem, w czasie którego z ulgą stwierdził, że prawie zupełnie o nim zapomniano. Potem zaszczycił swą obecnością graczy w palarni i z dumą wygrał dziesięć szylingów.

— Teraz to mi się naprawdę zdaje, że dam sobie radę z tymi pasażerami — pogodnie oświadczył Burtweedowi, zbierającemu wśród mebli, z gnmtnością opartą na wieloletnim doświadczeniu, torebki, kredki do warg, zapalniczki, pojedyncze, osierocone kolczyki. — Pomimo mego trochę nieszczęsnego początku możemy żywić nadzieję, że odtąd wszystko pójdzie gładko.

— Bardzo się cieszę, panie kapitanie — ciepło odparł Burtweed. — Nikomu tak bardzo nie życzę sukcesu jak właśnie panu. Powiedziałem do moich koleśków tam na dole: „Nowy kapitan jest prawdziwym dżentelmenem — powiedziałem — nie użył ani jednego ordynarnego słowa i ani razu się nie zalał od wyjścia z Tilbury”.

— Dzięki, Burtweed — ziewnął Ebbs. —

Teraz muszę pójść na mostek napisać polecenia nocne. Proszę otworzyć resztę bulai. Pachnie tu jak w damskim buduarze.

—■ Tak jest, panie kapitanie. Dobranoc panu.

— Dobranoc, Burtweed.

Gdy wspinał się po schodach do zaciemnionej kabiny nawigacyjnej z tyłu poza sterownią, czuł jak przepływa przezeń głęboki nurt spokoju. Wyposażenie nawigacyjne „Charlemagne” było dobrze utrzymane i nowoczesne: automatyczny ster, zmalale koło sterowe, elektryczne telegrafy maszynowe o melodyjnym głosie. Wszystkie mostki przechowują zaczarowane połączenie mosiądzu i drzewa tekowego, ciemności i przyćmionego światła, spokoju i nieustannej czujności — zdolne na całe życie odciągnąć mężczyznę od lądu. Tutaj Ebbs czuł się spokojny, pewny i najważniejszy: gwar pasażerów został zredukowany do mało znaczącego skrzeku mew krążących nad portem.

Podszedł do mapy leżącej w plamie przysłoniętego światła i z namysłem pociągnął palcem po nakreślonej ołówkiem cienkiej linii wytyczającej drogę „Charlemagne”. Potem otworzył niewielką zielonoprawną książkę z napisem: „Nocne polecenia kapitana”, co nocy zastępującą go podczas snu. Przepisowo wpisał pozycję statku i kurs, wypełnił stronę mniej ważnymi poleceniami i przypomnieniami, a, zakończył błogosławieństwem: „Należy ściśle przestrzegać wszelkich przepisów Regulaminu Kompanii”. Podpisał: „W. Ebbs, kapitan”.

Zamknął książkę i wkroczył do ciemnej sterowni, pełnej cichych trzasków. Zatrzymał się. Pociągnął nosem. Jeszcze raz pociągnął. Na prawym skrzydle mostku mógł rozróżnić dwugłowy zarys postaci Bowlesa i Jaya, dwóch

oficerów wachtowych. Kiedy patrzył na nich, czerwona poświata na krótko oświetliła ich twarze i stanowiący dowód winy stożek iskier nagle wystrzelił w stronę morza.

Ebbs dużymi krokami przemierzył sterówkę. Jeśli mogło go coś bardziej zirytować niż źle zatemperowane ołówki w kabinie nawigacyjnej, to tylko palenie podczas wachty.

— Panie Jay — surowo powiedział w ciemności. — Uchronię pana od niebezpieczeństwa podpalenia sobie spodni.

Jay nerwowo wyciągnął rękę z kieszeni i zapalony papieros wyrzucił za burtę.

— Czy został pan poinformowany o tym — ciągnął Ebbs — że Regulamin Kompanii wyraźnie zabrania palenia na mostku? Nie da się to również pogodzić z etykietą obowiązującą na brytyjskim statku na morzu. Chyba nie przesadzam ze służbistością, panowie, ale są pewne normy zachowania się, których przestrzegania będę wymagał. Od palenia na mostku jest już tylko jeden mały krok do... no... pustych butelek po piwie w nawigacyjnej i do partyjki oka w sterówce. Tego, moi panowie, nie ścierpię. Nie zniosę. Proszę to łaskawie przyjąć do wiadomości.

— Kapitan Buckie... — zaczął Bowles, trzeci oficer.

— Panie Bowles, czy znowu muszę panu powtarzać, że w najmniejszym stopniu nie interesuję się tym, w jaki sposób kapitan Buckie dowodził statkiem? Na przyszłość: na mostku palić nie wolno. Nikomu i nigdy. Zrozumiano?

— Tak jest — odparł Bowles. Ze smutkiem zdał sobie sprawę z tego, że wszyscy dobrzy kapitanowie są tacy sami, a dziwacy są dziwaczni na swój własny, im tylko właściwy sposób.

— A pan także, panie Jay, mam nadzieję, przyjął to do wiadomości?

Jay nie dorósł jeszcze do umiejętności swego kolegi przybierania filozoficznej postawy wobec rozgniewanych kapitanów i wciąż na nowo doświadczał tego, że w ich obecności język odmawiał mu posłuszeństwa. Z całego serca usiłował wyrazić swą zgodę i wydał krótki pisk.

— Co pan powiedział? — spytał Ebbs. Jay znów zapiszczał.

— ■ Proszę do mnie nie ćwierkać, panie Jay\* — rzekł Ebbs gniewnie. — Nie ma się z czego śmiać. Proszę pamiętać, kim pan jest. Teraz nie będziemy o tym więcej mówili. Staram się traktować swoich oficerów jak dżentelmenów, ale jeśli Regulamin Kompanii będzie stale łamany, będę zmuszony do... no... do podjęcia kroków. Niech pan prowadzi wachtę dalej, panie Bowles.

— Tak jest, panie kapitanie.

Rozległo się osiem szklanek\*\*. Ebbs powrócił do kabiny nawigacyjnej, ponownie otworzył książkę poleceń nocnych i do ostatniego zdania dodał: „a w szczególności dotyczących palenia na mostku”. Właśnie wtedy Brickwood ukazał się na szczycie schodów, żeby objąć psią wachtę. Ubrany był w zielone spodnie sztruksowe, w wojskową bluzę mundurową koloru khaki, szkocki szalik i zamszowe buciki. Ukłonił się Ebbsowi z uprzejmie pogodnym: — Dobry wieczór, panie kapitanie — i nabijając fajkę przemaszerował do sterówki.

Ebbs wysiąkał nos.

— Panie Brickwood!

— Słucham, panie kapitanie.

\* Nazwisko Jay znaczy sójka.

\*\* W czasie każdej 4-godzinnej wachty dzwon statkowy wybija w odstępach półgodzinnych tzw. „szklanki”, czyli 1–8 uderzeń.

— Niech pan tu pozwoli na chwilkę.

Drugi oficer powrócił do kabiny nawigacyjnej.

— Spóźnił się pan na wachtę cztery minuty — rzekł Ebbs, a słowa padały miarowo jak uderzenia dzwonu pogrzebowego.

Brickwood rzucił pełne winy spojrzenie na zegar w kabinie nawigacyjnej. — Rzeczywiście, panie kapitanie. Ale nie zdaje mi się, żeby trzeci oficer...

— To nie jest sprawa trzeciego oficera ani nikogo innego, panie Brickwood — przerwał mu Ebbs. — Jeżeli Regulamin Kompanii mówi, że ma pan być o północy na mostku, to punktualnie o północy ma się pan tam zjawić. Poza tym wydaje mi się, że jest pan ubrany w strój nadający się bardziej na bal kostiumowy niż do poważnego zadania, jakim jest pełnienie wachty na morzu. Czy mogę spytać jaki jest powód pańskiego oburzającego i jak najbardziej niemarynarskiego wyglądu?

Zaskoczony Brickwood zerknął na swoje ubranie.

— Ten ubiór, panie kapitanie? Kapitan Buckie mówił, że oficer psiej wachty może ubierać się wygodnie...

Ebbs z irytacją grzmotnął nagle pięścią w stół z mapami, strącając ołówki na podłogę.

— Nic mnie to nie obchodzi, jeśli u kapita-na Buckie zjawiał się pan nawet goły na mostku! — ryknął. Nie pozwolę, żeby moi oficerowie włączyli się jak po jakimś statku rybackim z Grimsby. Panie Brickwood, proszę zejść na dół i włożyć mundur, i to zaraz!

Ebbs powrócił do książki poleceń nocnych i dopisał: „oraz noszenia munduru”, potem zdanie podkreślił dwa razy, przyjrzał się, jak Bowles i Jay postawili swoje parafki i zniknął na schodach prowadzących na pokład.

Był wtrząsnięty. Zadowolenie z wieczoru zostało zniszczone przez jego własnych oficerów, którzy teraz bez wątpienia poza zasięgiem jego słuchu klęli go w żywe kamienie. Był wrażliwym człowiekiem, u którego trudne lata służby na stanowisku młodszego oficera pozostawiły wyjątkową niechęć do karcenia podwładnych; ale równie dobrze zdawał sobie sprawę ze swej odpowiedzialności wobec Kompanii za utrzymanie dyscypliny. Aby rozproszyc gniew, zdecydował się pospacerować po pokładzie łodziowym przed powrotem do kabiny, a jako dodatkowy środek uspokajający wydobyl z zewnetrznej kieszeni cygaro ofiarowane mu przy kolacji przez Billa Coke w wybuchu alkoholicznej hojności.

Przez chwile stal oparty plecami o reling, patrzac na mgielke spalin z komina co chwila zamazujaca gwiazdy i sluchajac lagodnego protestu wody przeciwko wpierajacemu sie w nia kadlubowi. Noc byla lagodna, poklad łodziowy pusty i oswietlony tylko niewielu lampami troskliwie oslonietymi od strony mostku. Ebbs zdał sobie sprawę, że pasazerowie wczesnie poszli do łozek. Bez celu zaczął isc w strone rufy pykajac cygaro, podazajac za kaprysami dymu wahajacego sie w powietrzu, zanim porwala go bryza. Wkrotce odzyskal spokój i zaczął nucić parę taktów jakiejś swojej własnej intymnej piosenki.

Ledwo słyszalny chichot, jak ukradkowo przemykajacy szczur, dobiegl go z ciemnego kącika nadbudówek. Przystanął. Natężajac wzrok zajrzal do wnęki i dostrzegl połysk damskiej pończochy. Oddalil się wielkimi krokami, kierujac spojrzenie wyłacznie na morze.

Zatrzymal się na rufowej części pokladu łodziowego, tam oparl się o reling i z przesadną gorliwością ssal cygaro.

Z przestrzeni pomiędzy dwoma łodziami dobiegł go odgłos wymierzonego policzka. Nagły, wyraźny i niewątpliwy. Ebbs skrzywił się z niesmakiem. Kontynuował swój spacer, ale nieco wolniej. Pobieżnym, nieśmiałym rzutem oka w zacieniony kąt przy rufowym wentylatorze dostrzegł blisko stojącą, nieostrożną parę. Podobne pary zauważył pomiędzy łodziami prawej burty, w niszach koło luku maszynowego, u podstawy komina i chowające się pod schodami wiodącymi do jego własnej kabiny. Nagle uprzytomnił sobie, że pokład jest pełen życia, jak spokojna letnia łąka wypełniona królikami.

Kiedy powrócił na dziobową część pokładu, poniechał dyskrekcji. Szybkimi i głośnymi krokami zmierzał do trapu wiodącego na mostek, mając zamiar dokończyć cygara w kabynie. Zatrzymał się z ręką opartą o poręcz. Z cienia pod trapek dobiegł go głos zdyszanego westchnienia. Dostrzegł błysk białej koszuli i trzech złotych oficerskich pasków na rękawie.

— Uhm — mruknął.

Pospieszył na mostek cygarem skrupulatnie wyrzucając za burtę. Brickwood, w swoim najlepszym mundurze, w białym pokrowcu na czapce i w sztywnym kołnierzyku, zgrabnie zsalutował i dziarsko zaczął: — Panie kapitanie, ściśle przestrzega się wszystkich przepisów Regulaminu Kompanii.

— Tak, tak — odparł Ebbs. — Gdzie jest sternik wachtowy?

— Na noku skrzydła.

— Proszę mu polecić, żeby wyraził starszemu oficerowi moje uszanowanie i zakomunikował, że ma natychmiast zgłosić się na mostek. Znajdzie go przy zejściówce na prawy pokład łodziowy.



Shawe-Wilson pojawił się na mostku wściekły. Podczas przyjęcia bardzo starannie wyselekcjonował wysoką, chudą ekstrawertyczkę, drugi puzon orkiestry wędrownego zespołu gimnastycznego. Pieniądze wydawał rozsądnie i z namysłem, ale od kolacji ulokował w tej dziewczynie prawie funta w postaci mieszanych likierów. Udało mu się wywabić ją na spacer po pokładzie łodziowym i dalsze pertraktacje doprowadził już do punktu propozycji wśliznięcia się do jego kabiny, kiedy ten Ebbs ośmielił się wyrwać go z ramion kobiety, którą kochał lub do której kochania z całą pewnością się przygotowywał.

— Pan mnie wzywał? — zapytał sztywno. Zdecydował się sprawę załatwić z godnością.

—> Panie Brickwood — rozkazał Ebbs — uprzejmie proszę wyjść na skrzydło mostku.

— Tak jest, panie kapitanie.

Ebbs zamknął drzwi kabiny nawigacyjnej. — Co pan robił, panie Shawe-Wilson, jeśli wolno zapytać?

Byłem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

— Naprawdę? Przychodzi pan tu umazany kredką do warg, śmierdząc dżynem i tanimi perfumami...

— Panie kapitanie!

— ...wyglądając, jakby się pan przed chwilą wytoczył z sypialni jakiejś kurwy...

— Jestem zmuszony prosić pana, panie kapitanie, żeby się pan uspokoił...

— Do cholery ze spokojem! — Ebbs znowu grzmotnął w stół do map, płosząc Brickwooda stojącego tuż za drzwiami. — Idę sobie na spacer przed snem i co widzę? Ależ to przypomina Grant Road w Bombaju\*! To niesłychane!

\* Grant Road w Bombaju — miejsce wolnej miłości jia świeżym **powietrzu**.

— Nie do nas należy troska o moralność pasażerów, panie kapitanie.

— Ale do mnie należy troska o moralność starszego oficera, panie Shawe-Wilson. Czy zdaje pan sobie sprawę, że przekroczył pan najważniejszy przepis Regulaminu Kompanii? No? Zdaje pan sobie?...

Shawe-Wilson wzruszył ramionami. — Starszy oficer ma pewne obowiązki towarzyskie...

— Obowiązki towarzyskie! Dobry Boże!

— Za kapitana Buckie...

— Nie... — Ebbs opanował się. Przerwał, trzymając zaciśniętą pięść na stole do map. — Jestem rozczarowany, panie Shawe-Wilson — ciągnął już spokojnie. — Miałem nadzieję, że od dzisiejszego wieczoru pan i ja zaczniemy wszystko od nowa. Nie pozostaje mi nic innego, jak przemyśleć sprawę jeszcze raz. Jest już późno i miałem dziś bardzo męczący dzień. Nie mam ochoty dyskutować w tej chwili o tak delikatnych sprawach. W gniewie zawodzi zdolność osądu, można powiedzieć rzeczy, których się później żałuje. Byłbym zobowiązany, gdyby się pan zechciał udać do swojej kabiny. Ale sam.

— Jak pan sobie życzy — odparł Shawe-Wilson w sposób możliwie jak najbardziej irytujący.

— I proszę przyjść rano o dziewiątej do mojej kabiny.

— O dziewiątej? Tak jest, panie kapitanie.

— Dobranoc, panie Shawe-Wilson — rzekł Ebbs oficjalnie.

Starszy oficer nic nie odpowiedział.

Przez jakiś czas Ebbs samotnie stał w kabini nawigacyjnej. Nie miał zamiaru pozwolić lekceważyć się przez nikogo. Ponieważ jednak nie mógł wylać oficera przed powrotem statku do Londynu, z całego serca zapragnął,

żeby Shawe-Wilsona spotkał jakiś nie krzywdzący wypadek, czyniący go niezdolnym do pracy. Westchnąwszy, w ślad za starszym oficerem krokami ciężkimi od poczucia odpowiedzialności zszedł po schodach do swojej kabiny. Zapalił światło i zamknął drzwi. Z niechęcią pociągnął nosem: zapachy przyjęcia wciąż jeszcze wisiały w powietrzu. Z ulgą zrzucił ciężki mundur — jak to dobrze, gdy sen zwalnia z obowiązków dowodzenia! Po namyśle podszedł do barku, nalał sobie małą whisky z wodą sodową i zabrał ją ze sobą do sypialni. Zapaliwszy światło, ujrzał panią Porteous leżącą w jego łóżku.

— Boże wszechmogący! — powiedział.

Zachichotała. — Myślałam, że pan już nigdy nie przyjdzie, drogi kapitanie.

Ebbs stanowczym ruchem postawił szklanke na toaletce.

— Moja droga pani — powiedział — naprawdę muszę panią prosić o natychmiastowe opuszczenie tej kabiny.

— No, no, kochanie — nadała się z żartobliwym wyrzutem. — To tak się wita dziewczynkę?

— Proszę pani!...

— Elżunia mi na imię, kochanie — szepnęła.

— Zechce pani natychmiast wyjść!

— Ani mi się śni, wiesz? — zwinęła się w kłębek w głowach łóżka, ofiarowując mu widok sporej części nogi: — Co teraz zrobisz? Wezwiesz służbę?

— Ja!... — Ebbs przerwał. Zastanawiał się, co właściwie, u diabła, powinien zrobić.

Zaśmiała się. — Skarbie, podaj mi ogień.

Ebbs na gwałt wysiąkał nos. Z zawodową zdolnością do podejmowania szybkich decyzji w niebezpiecznych momentach uznał, że jedyną dźwignią mogącą ją ruszyć z jego łóżka jest

takt. Posłusznie więc wziął pudełko zapalek z toaletki i jedną zapalił. Mocno przytrzymała przegub dłoni, kiedy podawał jej ogień, i spytała: — A jakby tak jednego małego? Co?

— Jeszcze pani nie ma dość?

Spojrzała nań nieśmiało. — Dzisiaj są moje urodziny.

— Może się pani napić, oczywiście — rzekł przebiegle. — Napoje są w saloniku.

— Wabienie kota miseczką mleka, co? — zaśmiała się znowu. — Przynieś jednego tu, kochany. Tu jest znacznie przytulniej.

W przypływie irytacji Ebbs wybuchnął: — Ależ, do licha...

— Ciii... — przyłożyła palec do ust. — Ależ jesteś hałaśliwy, kochanie. Chyba nie chcesz, żeby cię wszyscy na statku słyszeli, prawda? A teraz bądź "aniołkiem i przynieś mi jednego małego. Potem sobie pójdę.

— Naprawdę?

— Ależ oczywiście, skarbie.

— Może się pani napić z mojego, jeśli pani chce — podał jej szklanekę, a ona poklepała kołdrę.

— Podejdz, usiądź i chwilkę pogawędzimy. No chodźże, kochanie — nalegała. — Za minutkę pójdę sobie.

Ebbs przysiadł na krawędzi łóżka, jak człowiek wchodzący do wanny pełnej zbyt gorącej wody.

— Ależ jesteś nieśmiały! — przymilała się. — Nie miałeś nigdy przyjaciółki?

— Muszę panią prosić, żeby pamiętała pani o moim stanowisku — zaczął Ebbs ostrożnie. W "desperacji zdecydował się zaapelować do jej rozsądku i serca. — Jestem kapitanem tego statku i mam dawać dobry przykład swoim oficerom i, pozwolę sobie dodać, pasażerom. Najmniejszy cień skandalu zrujnowałby mój

autorytet. Karierę prawdopodobnie też. I dlatego naprawdę panią proszę, jeśli ma pani choć trochę dobroci i rozwagi, żeby opuściła pani moją kabinę jak najszybciej.

— Co to jest? — spytała, wyjmując z zacisku ponad koją coś w rodzaju mosiężnego kubka.

— Na miłość boską! Proszę to położyć — Ebbs wyciągnął rękę chcąc jej przeszkodzić i rozlał whisky. „Charlemagne”, podobnie jak inne zelektryfikowane statki, ciągle jeszcze zachowywał na mostku tak niezawodne urządzenie jak teleskop i rura głosowa. Pani Porte-



ous wyciągnęła zatyczkę z krótkiej rury prowadzącej do sterówki i z gwizdka znajdującego się na górze wydobyła krótki świst.

— Połóż! — zasyczał Ebbs. Starał się zatkać rurę ręką, a ona chichocząc przycisnęła ją do

dekoltu. Gdy zdążył chwycić tubę, niespodziewanie puściła ją i w zamian jego objęła gorącym uściskiem. Wilgotną dłonią zatykał ustnik, kiedy zaczęła pokrywać jego twarz niepohamowanymi pocałunkami.

— Puść mnie! — wymamrotał przerażony Ebbs. — Na miłość boską, puść! — posłyszał już spieszne kroki po trapie wiodącym z mostku i prawie zaraz potem rozległo się stukanie do drzwi saloniku.

— Ani pary z ust! — przykazał jej srogo. Zamknął za sobą drzwi sypialni, pamiętając o wytarciu twarzy chusteczką, i otworzył drzwi na korytarz. Stojący na baczność Brickwood sztywno zasalutował.

— Czy coś się stało, panie kapitanie?

— Eee... nie, panie Brickwood. Nic... nic się nie stało...

— Zdawało mi się, że pan kapitan użył rury głosowej.

— Miałem zły sen, panie Brickwood. — odparł Ebbs bez tchu. — Wołałem przez sen, wie pan. Taka moja słabostka. Bardzo smutne. Przykro mi, że zaniepokoiłem mostek.

— Pan już spał? — Brickwood wyglądał na zdziwionego. Ebbs zerknął w dół na sztywny gors swej koszuli i na spodnie.

— Chyba zdrzemnąłem się na koi. Męczący dzień. Dziękuję panu, panie Brickwood. Cieszę się, że pan tak czujnie pełni wachtę.

Brickwood znowu zasalutował. — Dobranoc, panie kapitanie.

— Dobranoc, panie Brickwood.

Ebbs zamknął drzwi i przez sekundę stał oparty plecami o ścianę. Potem zdeterminowany skoczył do drzwi sypialni.

— ■ Proszę pani!... — zaczął z naciskiem.

Przerwał. Zdążyła tymczasem zdjąć suknię.

— Co pani wyrabia? — spytał. — Zwario-

wała pani? Czy pani postanowiła mnie zrujnować? Nie ma pani poczucia wstydu? Nie może pani pójść gdzie indziej?

— Ciii — odparła. — Bo narobię szumu. Przez to.

— Niech pani nie rusza tej rury głosowej, błagam panią! — prosił Ebbs żarliwie.

— No to chodź i siadaj przy mnie, skarbie. Nie dokończyliśmy naszej pogawędki prawda?

— Czy pani w ogóle nie myśli o swoim mężu? — słabo spytał Ebbs.

— Oczywiście, kochanie. Jest strasznie miły. Polubisz go, jak go poznasz we Fremantle.

Ebbs zadrzał.

— No, kochanie, dlaczego się trochę nie zreleksujesz? — nagie toczone ramię sięgnęło po niego.

— Ależ to niemożliwe! — krzyknął. — Absolutnie niemożliwe! Daję pani równe dwie minuty do opuszczenia tej kabiny.

— Przecież nie możesz wyrzucać dziewczyny bez sukni, słodziusi, prawda?

— Pani będzie ją miała na sobie!

— Nie, skarbuniu — odparła twardo. — Jestem tu, i tu zostaję.

— Nie, madam. Nie zostanie pani.

— Kochany, nie mów do mnie, proszę, madam.

— Jazda! — wskazał na drzwi.

Zaczęła zdejmować biustonosz.

Ebbs wpadł na mostek bez tchu i natychmiast złapał ustnik rury głosowej.

— Czy coś się stało, panie kapitanie? — spytał Brickwood dziarsko salutując i starając się okazać brak zainteresowania.

— Chciałem tylko zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

— Ooo... rozumiem...

— Niech pan dalej pełni wachtę. Proszę na mnie w ogóle nie zwracać uwagi.

— Tak jest, panie kapitanie, lecz czy nie będzie panu trochę chłodno? Pan jest roze... niezupełnie ubrany, panie kapitanie.

— Było mi za gorąco w mundurze galowym. Chyba mam trochę gorączki. Rano pójde do lekarza.

— Przykro mi, panie kapitanie. Nie za dobrze pan wygląda.

— Dziękuję, panie Brickwood. E... jeśli ma pan ochotę, proszę zdjąć marynarkę. Przepisy można... nieco złagodzić. Niech pan pełni wachtę. Zostanę tutaj.

— Tak jest, panie kapitanie.

Kiedy Brickwood się odwrócił, rura głosowa zabrzmiała pierwszymi słowami piosenki „Nie mogę ci dać nic oprócz miłości”\*. Ebbs zatkał rurę łokciem.

— Przepraszam, panie kapitanie? — brwi Brickwooda były uniesione aż pod daszek czapki.

— ■ Nic, panie Brickwood. Po prostu nuciłem sobie.

— Tak jest, panie kapitanie.

Brickwood pomaszerował na skrzydło mostku i pogrążony w myślach oparł się na prawej lampie pozycyjnej. Zastanawiał się, czy od razu zawołać doktora i kazać sternikom obezwładnić Ebbsa, zanim narobi poważniejszych szkód, czy też zaczekać do brzasku, kiedy zmniejszą się jego możliwości wyrwania się i sterroryzowania statku. Przysunął się do marszpikla\*\* tkwiącego w relingu i z namysłem wsunął go do rękawa. Ebbs stał w sterówce z nieszczęśliwą miną, wpatrując się

\* „I Can't Give You Anything but Love".

\*\* Marszpikiel — marynarskie narzędzie z żelaza w kształcie stożka, służące do splatania lin. Ciężkie!



w ustnik rury głosowej, jakby oczekiwał, że wypełni z niej jadowity wąż.

Tkwiał tam jeszcze o czwartej, kiedy wachta się zmieniała. O szóstej nerwowym krokiem poszedł do swojej kabiny, gdzie z niestychaną ulgą stwierdził, że pani Porteous poszła sobie.

Następnego dnia rano Shawe-Wilson przyszedł do kabiny Ebbsa przygotowany do walki o swoje stanowisko. W świetle dziennym stwierdził z goryczą, że Ebbs miał rację. Chociaż kapitan Buckie uśmiechem kwitował dyskretne wyskoki swoich oficerów, raport o przyłapaniu starszego oficera na pokładzie łodziowym na miłostkach z pasażerką zgubnie wyróżniałby się spośród papierów na biurku McWhirreya. Podczas golenia skrupulatnie obmyślił obronę: po pierwsze — przypuszczał, że to jest dozwolone; po drugie — wypełniał tylko swój obowiązek, podsycając życie towarzyskie na statku; po trzecie — biedna dziewczyna była samotna; po czwarte — kochał ją; po piąte — taki błąd więcej się nie powtórzy, jak długo będzie miał zaszczyt pozostać pod rozkazami Ebbsa; no i w końcu — to wcale nie był on, tylko drugi mechanik.

Zapukał do drzwi Ebbsa, zaszalutował, z gracją wsunął czapkę pod lewe ramię i wszedł.

Ebbs podniósł wzrok. Z zaczerwienionymi oczami i bladą twarzą siedział posepny nad resztkami śniadania, co było u niego rzeczą niezwykłą.

— Pan kazał mi się zgłosić, panie kapitanie.

— Tak?

— Tak jest, panie kapitanie. — Shawe-Wilson był zaskoczony. — Ostatniej nocy. Na mostku.

Ebbs załośnie wpatrywał się w resztki grzanek. — Po panu, panie Shawe-Wilson — rzekł z silniejszą dozą podziwu niż potępienia — spodziewałem się większej dyskrecji. Do widzenia!

Shawe-Wilson gapił się na niego.

— To wszystko — odezwał się Ebbs, odsyłając go gestem dłoni.

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie. Do widzenia, panie kapitanie. — Nałożył czapkę, zasalutował z roztargnieniem i potykając się wyszedł z kabiny.

W korytarzu zapalił papierosa. Do drzwi pukał będąc przygotowany na każdą karę, z natychmiastowym zwolnieniem włącznie, a Ebbs potraktował go mniej surowo, niż gdyby zgubił gumkę z kabiny nawigacyjnej albo poplamiał dziennik okrętowy. Z dezaprobatą spojrzął w głąb korytarza. Chociaż czuł, że może spokojnie zdyskontować poczucie miłosierdzia Ebbsa, zastanawiał się, co skłoniło kapitana do zmiany decyzji.

Spoza drzwi swojej kabiny Brickwood wystawił głowę.

— Chief! — zasyczał. — Widział pan starego?

— Właśnie byłem u niego. A co?

— Czy toczy pianę z ust? — Brickwood puknął się w czoło. — Zbikował!

— Eee... to to ja dawno wiem — odrzekł Shawe-Wilson z roztargnieniem. Zastanawiając się nad wszystkim kroczył w kierunku swojej kabiny, a jego myśli zaczęły krążyć po starych, utartych szlakach. Ponieważ przede wszystkim musiał odzyskać szacunek dla sa-

mego siebie, kazał wachtowym posprzątać w łodziach ratunkowych.

Ebbs nadal siedział nad wystygłym śniadaniem dumając nad tym, jaką też może mieć opinię na statku. Miał gorącą nadzieję, że świt był dostatecznie zaróżowiony wstydem, aby panią Porteous zmusić do milczenia. Gdyby mu się teraz jeszcze udało przekonać Brickwooda, że miał wtedy atak wysokiej gorączki, niedawne naruszenie przepisów, jakie miało miejsce w jego kabinie, mogło ująć nie zauważone. Przez chwilę rozważał pomysł, czy nie posłać po lekarza statkowego, by pogłoskami o wizycie doktora podbudować swoją wersję, a nawet możliwość położenia się do łóżka i sfabrykowania szalonej gorączki pod kurkiem z wodą w łazience.

Podniósł wzrok. Obok stał Burtweed trzymając tacę.

— ■ Słucham, Burtweed? — spytał bez zainteresowania.

— ■ Przepraszam, panie kapitanie. Gdyby mi pan zechciał powiedzieć nazwisko damy, której własnością jest ta bransoleta, mógłbym ją wsunąć do jej kabiny.

Ebbs spojrział na grubą złotą bransoletkę leżącą na środku tacy.

— Jakim cudem mogę wiedzieć? — spytał zirytowany. — Połóżcie to razem z innymi gratami, jakie zostały po przyjęciu. Właściciel na pewno sam się zgłosi.

Burtweed zakaszłał. — Pardon, panie kapitanie. Znalazłem ją w pańskiej sypialni.

Ebbs językiem zwilżył wargi. — Być może przypadkiem się tam dostała.

— Możliwe, panie kapitanie.

Ebbs ujrzał stojącą na tacy swoją szklanę od whisky grubo umazaną kredką do warg

i oskarżycielsko splamiony czerwienią niedopałek papierosa.

— Przepraszam bardzo, że zabieram głos, panie kapitanie — ciągnął Burtweed — ale myślę, że byłoby dyskretniej, gdybym tę właśnie bransoletkę odniósł osobiście.

Ebbs wstał. Otworzył drzwi kabiny, wyjrzał na korytarz, troskliwie je zamknął i założywszy ręce na plecach zaczął chodzić tam i z powrotem.

— Burtweed — rzekł podjąwszy decyzję. — Byliście już „tygrysem” niejednego kapitana...

— Nigdy tego nie żałowałem, panie kapitanie.

— Właśnie. Na pewno zaobserwowaliście dosyć, żeby ocenić trudności, z jakimi się borykają. Czuję się upoważniony do uczynienia wyjątkowej rzeczy. Burtweed, muszę wam coś wyznać. Nie powiecie nikomu? — obleciał go nagły strach.

— Ależ nie, panie kapitanie! — pytanie wyraźnie zaszokowało Burtweeda. — Słowo honoru! — dodał i mocno walnął się w lewą pierś.

— Dobrze. A więc macie zupełną rację. Ostatniej nocy była kobieta w mojej kabine.

— Gratuluję, panie kapitanie.

— To nie powód do gratulacji. Odwiedzająca przyszła nie proszona i wyszła... eee... nie usatysfakcjonowana.

— Rozumiem, panie kapitanie.

— Czy to znaczy — pytał Ebbs rozpalając się — że mam być celem ataków każdej podstępnej kobiety na statku? Ze wszystkich właśnie • ja, którego stanowisko zależy od nieskazitelnej opinii? Czy każda baba, której na morzu zechce się towarzystwa w łóżku, musi rzucać się na kapitana? Czy one nigdy nie mają chrapki na starszego mechanika?

— Na Boga, tak, panie kapitanie — odezwał się Burtweed. — To zawsze musi być kapitan. To dla nich największy cymes, proszę wybaczyć wyrażenie.

— Czy nie można temu jakoś zapobiec? Przecież to jest śmieszne! Jak można się po mnie spodziewać, że potrafię utrzymać w karcach dyscypliny swoich oficerów, skoro oni myślą, że prowadzę życie... rozpustnika.

— Kapitan Buckie wysoko cenił stolarkę. Mawiał, że żadna kobieta nie może wpaść w romantyczny nastrój w pokoju, gdzie stoi tokarka.

Zapanowała cisza. Ebbs usiadł i niespokojnie wyglądał przez iluminator.

— Panie kapitanie. Czy mógłbym spytać — odezwał się Burtweed — czy los obdarzył pana małżonką i maleństwami?

— Nie, Burtweed, nie.

— Mnie także nie, panie kapitanie. Ale to mogłoby być pewną ochroną.

— Trudno, żebym się w jednej podróży ożenił i doczekał dzieci — zdenerwował się Ebbs.

— Tylko tak na lipę — wyjaśnił Burtweed. — Proszę wybaczyć wyrażenie. Tam na dole wśród chłopaków pełno jest takich, co tylko zmyślają, że są obarczeni rodzinami. To się im przydaje, kiedy się zadają z dziewczynkami na lądzie. Ba, połowa załogi udaje przed Australijkami, że jest żonata, żeby je trzymać z daleka, a druga połowa zgrywa kawalerów, żeby je przywabić.

Ebbs chrząknął.

Burtweed grzebał pod białą bluzą. — Z całym szacunkiem, panie kapitanie. Mam tu przy sobie fotografię mojej siostrzenicy z Południowej Afryki i jej dwóch chłopaczysków. Jeśli pan chce, mogę panu pożyczyć to zdjęcie do

końca podróży. Mógłby je pan postawić na biurku, żeby odpędzało muchy, że tak powiem.

Wręczył Ebbsowi porysowaną, z pozaginanyymi narożnikami fotografię. Siostrzeńcy Burtweeda robili dziwne wrażenie, bo zdawało się, że ich oczy są bliżej uszu niż siebie. Zdjęcie było kolorowe, niesłychanie ostro podkreślające blond włosy i liliową suknię matki oraz niebieskość jednego dziecka, i czerwoność drugiego, wyglądającego jakby przechodziło właśnie szkarlatynę.

Ebbs oparł fotografię o drewnianą wypalaną podstawkę na fajki. — Bardzo sobie cenię waszą uprzejmość,- Burtweed — rzekł. — Mam nadzieję, że to okaże się wystarczająco mocnym środkiem odstraszającym. W każdym razie wieczorami będę zamykał kabinę. A teraz zabierzcie tę błyskotkę i odnieście do kabiny A 25. Czy na pewno nikt was nie zauważy?

— Żadna żywa dusza — zapewnił go poważnie Burtweed. — Co ja za rzeczy wynosiłem już w swoim czasie od kapitanów! Zdziwiłby się pan!

— No — powiedział Ebbs do siebie — teraz trzeba uzbroić się w męstwo, żeby znieść obiad.

Ale pani Porteous była łaskawa nabawić się bólu głowy.

## 12

„Charlemagne” zbliżał się do gorącego, egipskiego zakątka Morza Śródziemnego i wpadł pomiędzy wracające do domu statki rozproszone na północ od Kanału Sueskiego. Ten ruch statków zobowiązywał Ebbsa do ponownego objęcia osobistego dowodzenia na mostku i kapitan cieszył się, że ma oficjalną

wymówkę, by trzymać się z daleka od pasażerów i zniknąć z oczu pani Porteous. Przystąpił w ciężkim płaszczu, opatulony w dwa szaliki; zażądał zamknięcia wszystkich drzwi i okien w sterówce, ciągle kichał i żuł formalinowe pastylki przeciwko bólowi gardła, chcąc wyrzucić na oficerach wrażenie, że przychodzi do siebie po jakiejś gwałtownej infekcji.

Następnego popołudnia statek zwolnił i wśliznął się na szarą, zaoliwioną wodę między dwa długie, cienkie ramiona falochronów Kanału Sueskiego. Kotwice ze wspaniałym chlupnięciem spadły do wody, motorówki gorliwie złapały za liny i zacumowano go między dwiema bojami na samym końcu długiej kolejki statków. Po prawej burcie znalazł się Port Said, rzeczywisty i baśniowy zarazem, zgrzytliwy zawias we wrotach między Wschodem i Zachodem, na trwale obdarzony blaskiem przez Kiplinga. Odkąd po raz pierwszy parowce McWhirreya rozpoczęły przerzucać sahibów i żołnierzy pomiędzy Plymouth a Bombajem w uspokajającym skórzanym półmroku swoich wnętrz rodem z dobrych londyńskich klubów, statek Pole Star Line, z poczerniałymi lukami stojący przy nabrzeżu węglowym, stał się częścią składową pejzażu Port Saidu na równi z piaskiem i świeżo wzniesionymi minaretami. Wyziębnięci starsi panowie, którzy w kanale La Manche opatuleni w płaszczu popijali rosółek na zalanych deszczem pokładach, tutaj majestatycznie kroczyli w niepokalanej bieli i rozkazująco wołali o swoje „burra”\*, a różnice klasowe Brytyjskich Indii zaznaczały się coraz wyraźniej, jak statkowy mosiądz rozblaskujący coraz jaśniejszym blaskiem pod coraz intensywniejszym słońcem.

\* Burra — rodzaj napitku.

Kiedy „Charlemagne” leniwie przepłynął koło statui posepnego de Lessepsa, ukazującego drogę do Indii, i widać już było bogato zdobione mauretańskie sklepienia Urzędu Celnego, pasażerowie wylegli na pokłady, by z takim samym podnieceniem, jak ich wiktoriańscy przodkowie, po raz pierwszy rzucić okiem na Wschód. Wyężając wzrok starali się odczytać czerwono wypisany bojowy zew Islamu, widniejący ponad domami o obcej architekturze na wysokiej ścianie koło Simon Arzt Bazaar. W miarę zbliżania się napis rósł, był coraz bardziej klarowny, aż stał się czytelny; głosił: COCA-COLA.

Ebbs zszedł z mostku, jak tylko zamocowano cumy, i w swojej kabinie zastał biurko zawalone kopertami. Natychmiast otworzył list od McWhirreya.

„Drogi Kapitanie! — przeczytał.

Czy mam każdemu z naszych kapitanów przypominać przed każdą podróżą, że nie zależy nam na rozgłosie niby jakimś aktorkom filmowym? Raz jeszcze podkreślam znaczenie, jakie powinien pan przykładać do czytania Regulaminu Kompanii, a zwłaszcza do paragrafu 1005, który wyraźnie zabrania udzielania reporterom wywiadów bez uprzedniego uzyskania zgody Dyrekcji. Może dojść do skandalicznego zniekształcenia faktów. Skoro, jak się wydaje, zdecydował się pan nadać rozgłos swej nominacji, muszę panu przypomnieć warunki, na jakich ją pan otrzymał.

Pański, itd.

Angus McWhirrey”

Ebbs oszołomiony podrapał się w głowę. Wywiady reporterom? Na' tyle był staroświecki,



że dziennikarz działał na niego jak szpilka na ślimaka. Nieprzytomnie otworzył następny list:

„Kochany Billy! — pisała siostra.

Nareszcie jesteś więc sławny. Mój sąsiad pan Trouncer pokazał mi wycięty z gazety reportaż Willy'ego Boastą pod tytułem „Jeszcze jeden bohaterski angielski kapitan — serwis radiowy”. Pisz o tym strasznym sztormie, który mieliście szczęście cało przetrzymać, jak prowadziłeś statek przez to wszystko nie mrugnawszy nawet okiem (on powiada, jak Bradman\* w spotkaniu z początkującymi graczami w krykieta). Wyobrażam sobie, jak się Sir Angus ucieszy, kiedy to przeczyta! Rozpisuje się też o kolacji przy twoim stole i mówi, że jesteś dowcipnym pływającym dyplomatą. Nie mogę wywabić czerwonej plamy z twoich białych spodni. To pewnie z soku owocowego. Uważaj przy jedzeniu. Zawsze jadłeś nieporządnie. W nocy dobrze się przykrywaj, pogoda i temperatura są zdradliwe, a ty masz słabe piersi. Nie zapominaj co piątek zażywać tego swego środka na przeczyszczenie.

Twoja kochająca Cię siostra

Maria"

Ebbs z westchnieniem położył oba listy na biurku. Tego było już za wiele, żeby się rozłościć. Po tygodniu walki z draniami, kłótnikami, natrętnymi nastolatkami i dojrzałymi nimfomankami do ruiny doprowadzał go jakiś dureń, co od wyjazdu z Londynu zdawał sobie tylko sprawę z otwierania i zamykania baru na statku.

Rześkie: — Halo, halo, halo! — rozległo się od drzwi. Ebbs wolno podniósł wzrok. Był to

\* Bradman — słynny angielski mistrz gry w krykieta.

Rerris, agent Kompanii w Port Saidzie, wesoły londyńczyk, którego nie znosił od szeregu lat. — No? Czyż to nie stary Ebbs? Co? — ciągnął rzucając kapelusz na sofę. — I co za zmiana dekoracji, że tak powiem! Jak dostałem depeszę z Londynu, aż mnie zatkało. Założę się, powiedziałem, że stary Ebbs sam sobie daje kopa, że to przyjął. Przecież z niego jest już za stare psisko, by uczyć się nowych sztuczek — powiedziałem. Ej? — szturchnął Ebbsa pod żebra. — Jak się panu podoba ten pański pływający pałac dżynu?

— Wszystkie statki są takie same — odezwał się Ebbs, ale przekonanie wykruszyło się z jego głosu.

— Pozwoli pan, że się poczęstuję kieliszkiem? Muszę przyznać, że ten barek trochę się różni od starej flachy trzymanej w szafce na buty. — Nalał sobie pół szklanki whisky. — Za parę tygodni będzie tędy przepływał „Luther”. Co mam powiedzieć pańskiej dawnej załodze? Że jak się pan czuje?

— Jeśli dobrze znam moją poprzednią załogę — rzekł Ebbs ponuro, wracając do pozostałej poczty — to oni już dawno dobrze wiedzą o tym, co się ze mną stało.

— Powiedziałem do mojej żony — ciągnął agent, wygodnie sadowiąc się wraz ze szklanką na krawędzi biurka — „Założę się, że stary Ebbs już tam coś sobie wynajdzie”. Żartowałem oczywiście. „Już go widzę — powiedziałem — jak siedzi przy kolacji odświętnie wypucowany, z miną, jakby pękła znów któraś z płyt poszycia starego „Luthera”. Aleśmy się śmiali! — przez parę chwil rechotał na samo wspomnienie. — „Założę się, że chciał im opowiedzieć jakąś anegdotkę” — powiedziałem. — Wytarł oczy. — „I założę się, założę, że ją położy!” — Odstawił szklankę

i trzymał się za boki. — Aleśmy się ubawili, mówię panu. „I spodziewam się, że będzie miał cholerny kłopot, kiedy połowa babek na statku będzie się za nim uganiać!” — powiedziałem. Boże! Śmieliśmy się godzinami. A najzabawniejsze ze wszystkiego...

— Słucham, panie Brickwood? — przerwał mu Ebbs.

—■ Jeden z pasażerów robi szum przy trapie, panie kapitanie.

— Pasażer? Który?

— Brygadier Broster. Nie może pojąć, dlaczego nie wolno mu zejść na ląd.

— Powiedzcie mu, że wybuchła cholera — rzekł Ebbs. — I że Egipcjanie wypowiedzieli wojnę. A teraz panie Berris, zabierzemy się wyłącznie do spraw statkowych.

Pasażerowie „Charlemagne” zatrzymani na statku, ponieważ postój miał trwać tylko kilka godzin przed ruszeniem w dół kanału z nocnym konwojem, wkrótce znudzili się nowym otoczeniem, jak małe dzieci w ogrodzie zoologicznym. Niezdecydowanie i bez celu włóczyli się po pokładach usiłując odnaleźć w sobie entuzjazm do gry w kółka, jaki przepelniał ich na oceanie, coraz bardziej tracili humory, w końcu opierali się o relingi i zaczęli targi z przekupniami na mrowiących się łodziach — rozrywka równie ekstrawagancka jak hazard na automatach do gry.

Jedyną zadowoloną duszą na statku był Burtweed. Otoczenie „Charlemagne” nigdy go nie interesowało. Ponieważ rzadko wychodził na ląd, a pod pokładami zawsze było gorąco, dla „tygrysa” nie stanowiło żadnej różnicy, czy statek stał w Londynie, w Port Saidzie czy w Sydney. Spokój znajdował w mieszczącej się na poziomie lustra wody smutnej kabiny, którą dzielił z pięcioma innymi ste-

wardami. Na morzu starał się być zawsze do dyspozycji kapitana, ale w porcie przerywał służbę na cichą godzinę, żeby oddać się jedynej przyjemności jaką miał w życiu.

Zdjął białą marynarkę i na ostry kant zaprą sowane serżowe spodnie i troskliwie powiesił je na wieszaku **nad** koją. Pozostał w wełnianym podkoszulku i długich wełnianych kalesonach, stroju, jaki sumiennie nosił w chłodnych szerokościach, zamykając w nim zdrowie i blask słońca tropików. Z pomalowanego w marmurkowy wzorek blaszanego kuferka schowanego pod koją wyciągnął dużą emaliowaną miednicę, zaniósł ją do mesy stewardów i napełnił wrzącą wodą. Wróciwszy do kabiny zdjął buty i skarpetki, z kuferka wyjął nową paczkę pachnącej soli do nóg, wsypał ją do wody i z rozkoszą zanurzył stopy. Burtweed miał chore nogi, bolały go i przebywając na morzu masował je, nacierał zielonym olejkim sprzedawanym wyłącznie przez pewnego fryzjera na Dock Street i codziennie watą wkładał buty. Ale tylko w porcie, kiedy życzenia kapitana były łatwiejsze do przewidzenia, a technika kąpieli nóg łatwiejsza, pozwalał sobie na tę niezwykłą przyjemność, o której marzył na morzu z takim samym utęsknieniem, jak jego koledzy o bardziej typowych przyjemnościach związanych z zejściem na ląd.

Wkrótce zrobiło się ciemno i zgodnie z wymogami przepisów kanałowych na dziobie umieszczono reflektor i obsługującą go załogę, o narodowości niemożliwej do ustalenia. Niedługo potem „Charlemaghe” ruszył w drogę w procesji zbiornikowców trzymających się na wodzie jak celuloidowe kacuszki i płynących pusto pod balastem, do Basry i Kuwejt. Ebbs poddał sterówkę pilotowi kanałowemu, Francuzowi, który oparty o drzwi kabiny nawi-

gacyjnej palił papierosy gitanes i nie odzywał się przez całą noc, z wyjątkiem wydawania rozkazów dla sternika i żądań gorącej kawy. O świcie statek wciąż jeszcze poruszał się między brzegami z nieograniczonego szarego piasku, pasażerowie już wstali i byli rzadko rozsiani po pokładach, kiedy konwój nagle i niespodziewanie spomiędzy jaskrawych domów Port Taufiku wypłynął na morze. Pole Star Linę nie uznawała opóźnień, toteż pilota, reflektor i grupę dokerów wrzucono do motorówek bez tchu dobijających do burt „Charlemagne”, i zaraz potem Ebbs polecił, żeby telegrafy maszynowe rozdzwoniły się „całą naprzód”. Przyjrzał się termometrowi i obwieścił:

— Znosi się dzisiaj na upał, panie Brickwood.

— To by mnie nie zdziwiło, panie kapitanie.

— Wobec tego od dzisiaj ubieramy się w białe mundury. Proszę powiedzieć panu Shawe-Wilsonowi, niech dopilnuje żeby wszyscy kierownicy działów zostali o tym powiadomieni przed śniadaniem.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Miejmy nadzieję, — powiedział Ebbs patrząc z niepokojem na świeżo wypucowane pokłady pasażerskie — że pogodniejsze słońce wróży pogodniejszą podróż.

W ciągu godziny załoga była w sztywnych, nie przepoconych białych mundurach, a pasażerowie zaczęli grzebać w walizkach w poszukiwaniu okularów słonecznych i zdzierać z siebie ostatnie europejskie powłoki. Szybko oddalając się od towarzyszy konwoju po jednej burcie mając niegościnnie afrykańskie urwiska, a po drugiej biblijny stożek Synaju, „Charlemagne” wbił się w rozpalone Morze Czerwone i dla Ebbsa zaczęły się prawdziwe kłopoty.

W plamie cienia na rufowej części pokładu łodziowego siedziała Annette ze swoim najnowszym narzeczonym, chudym, smutnym, okularnikiem, który miał wykładać botanikę na uniwersytecie w Sydney. Zajmowali dwa leżaki i popijali cocktail „John Collins”, szybko rozcieńczany przez topniejący lód. Annette nosiła zgrabny czerwony kostium kąpielowy, on zaś był odziany tylko w stare krótkie spodnie koloru khaki, podwinięte na udach. Skórę mieli czerwoną i kruchą jak łuski na świeżo ugotowanym łososiu.

— Taki żar — jęknęła Annette.

— ■ Słynne Morze Czerwone — powiedział on.

— Nigdy sobie nie wyobrażałam, że może być aż tak potwornie gorąco. Z wariuję, jeżeli szybko nie nadejdzie wiatr. Kompletnie oszaleję.

— W tych szerokościach ludzie wariują dość często — powiedział z namysłem. — To rzecz powszechnie wiadoma.

Na niższym pokładzie z tuzin par chlapało się uwięzionych w kwadracie wody basenu kąpielowego. Za statkiem kilwater spieniał się w pustce błękitnego morza unoszącego się ku bezchmurnemu niebu, zamykając statek w parnej kopercie.

— • Ile jeszcze do obiadu? — spytała Annette 7. nadąsaną miną.

Spojrzenie na zegarek było wysiłkiem równym przesunięciu fortepianu. — Pół godziny.

— Nigdy nie myślałam że jedzenie może być tak potwornie ważne. Zupełnie jak kiedy leży się chorym w łóżku.

Ponieważ nic nie odpowiedział, ziewnęła. — Ależ nudy! Może byśmy się jeszcze napili?

Uniósł okulary słoneczne. — Nigdzie nie widać stewarda pokładowego.

Zahipnotyzowani upałem oboje zamilkli.

— Powiedz coś — zazała.

Rozejrzał się dokoła za tematem i podniósł jeden z folderów Pole Star Linę, szczerze rozdzielanych na statku. — „Bilet gwarantuje ci słońce i wyśmienitą obsługę — czytał głośno. — Trzy tygodnie luksusu i zapas wspomnień na całe życie. Promienność tropikalnego poranka na morzu wita się przez iluminator, kiedy się budzisz. Słońce pieści cię przez cały dzień luksusowego próżnowania. W nocy łagodne światło księżyca tropikalnego i delikatny szmer fal kołyszą cię do snu na głębinie...” — Upuścił folder na pokład i jęknął.

— Żałuję, że nie poleciałam samolotem — powiedziała.

— Ja też.

— Ile jest teraz do obiadu?

— Dwadzieścia pięć minut.

Resztkami lodu podzwoniła w szklance. — To potworne.

— Nie podnoś oczu — odezwała się nagle — nadchodzi kapitan.

— O Boże! Jeśli zaczniesz rozmowę, z w a r i u -  
ję!

— Udawajmy, że śpimy.

— Popatrz na jego kolana — szepnęła. — Takim ludziom powinno się zabronić noszenia krótkich spodni.

Było to Ebbsa towarzyskie „pół godziny”. Kiedy statek pozostawił Suez poza sobą, zrozumiał, że jego obowiązkiem jest bliżej poznać się ze swoimi pasażerami i zasięgnął porady Burtweeda. — Jak to zrobić? Trudno mi przerywać prywatne rozmowy — wyjaśniał. — Ale z drugiej strony prawie wcale nie zwracają na mnie uwagi. Proszę sobie wyobrazić —

ciągnął oburzony, dziś rano przez dwadzieścia minut stałem przy basenie pływackim i jedynym zauważeniem mojej obecności było oblanie mnie od stóp do głów wodą przez którąś z młodych gimnastyczek. Wydaje mi się, że zrobiła; to celowo.

—• Jeśli można coś zaproponować — rzekł Burtweed uprzejmie — to radziłbym panu kapitanowi pojawiać się o regularnej porze. Tak jak stewardzi z rosółem czy lodami.

— I myślicie, że to pomoże?

— Och, na pewno! Wtedy pasażerowie wiedzą, że pan ma się o tej godzinie ukazać i już nie muszą się zastanawiać, czy czasem nie ściga ich pan za jakieś tam wykroczenie, wiedzą, że nie chodzi o zbiórkę na tacę ani o żadne wyścigi.

— Rozumiem — powiedział Ebbs z powątpiewaniem. — Słowem, kapitan Buckie był towarzyski z zegarkiem w ręku, tak?

— O właśnie. Codziennie o wpół do pierwszej mawiał do mnie: „Burtweed, podajcie mi czapkę. Idę się teraz przypochlebić tym cholernym skurwysynom, co mi płacą”. Przepraszam za wyrażenie, panie kapitanie.

Od tej rozmowy punktualnie o dwunastej trzydzieści Ebbs opuszczał kabinę i obchodził pokład łodziowy z zimną jowialnością kandydata podczas wyborów. Zauważył jednak, że jego zbliżanie się dawało efekt podobny do ukazania się faceta wypożyczającego krzesła na promenadzie: pasażerowie albo zmykali, albo jak strusie zagrzebywali głowy w książkach, albo też natychmiast zapadali w głęboki sen.

Pełen nadziei, kontynuując spacer, Ebbs minął Annette i natknął się na kanonika Swingle siedzącego w skromnym, leez w dobrym



guście, płóciennym ubraniu i czytającego książkę.

— No, kanoniku — odezwał się pogodnie. — Dziś już nie jest tak chłodno, co?

Kanonik zastanowił się głęboko i po chwili odparł: — Nie, dziś już nie jest tak chłodno, panie kapitanie.

Ebbs rzucił spojrzenie na wodę gładką jak szklana tafla. — ■ Wzburzone morze — zaryzykował.



Po wielosekundowym troskliwym badaniu morza aż po krańce horyzontu kanonik ogłosił: — Łaskawie spokojne.

— Hmm — rzekł Ebbs. Zasalutował. — Hmm — powtórzył.

Kanonik Swingle kiwnął mu głową i powrócił do zaznaczonego palcem miejsca na stronie.

Następnym celem uprzejmości Ebbsa stała się pani Lomax siedząca za narożnikiem nadbudówki.

— Dzień dobry, madam! Rozkoszuje się pani kojącą bryzą morską?

Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej troski i zaczęła manipulować przy aparacie słuchowym.

— Chwileczkę, kapitanie — powiedziała nerwowo.

— Proszę się nie niepokoić! Proszę się nie niepokoić! — krzyknął Ebbs. — Pytałem tylko, czy rozkoszuje się pani kojącą bryzą morską.

— Co się stało, kapitanie? — spytała. Wyobraziła sobie, że każe jej skakać za burtę do wody, żeby ratować życie.

— Powiedziałem tylko: „Czy rozkoszuje się pani kojącą bryzą morską!” — zagrział Ebbs. Dwie dziewczyny na sąsiednich leżakach, pozornie pogrążone w letargu, zaczęły chichotać.

— Och, kojąca bryza? Tak, tak! — powiedziała pani Lomax z ulgą, kiedy nareszcie znalazła przełącznik. — O, tak. Bardzo. Dziękuję, panie kapitanie.

— Jak się pani dziś czuje? — ciągnął Ebbs tak, że prawie cały pokład go słyszał.

— Niedobrze. Bardzo niedobrze.

— Ale pani doskonale wygląda, madam! — krzyknął zachęcająco.

— Mój wygląd myli. Zawsze tak było. Od lat czuję się niedobrze. Od szeregu lat — westchnęła. — Już niczego nie oczekuję, jak tylko połączenia się z mężem.

— Tak — grzmiał Ebbs. — Będzie czekał z bukietem kwiatów na nabrzeżu we Fremantle. Ręczę!

— *Nie żyje* od wielu lat — odparła i wy-  
buehnęła płaczem.

Zakłopotany Ebbs niezręcznie cofnął się do tyłu, potknął się o nogę kanapy, przewrócił stos talerzyków do lodów i dał nura za nawiewnik.

— Kapitanie! — zagrzmiało tuż za nim.

Zamknął oczy.

— Chciałbym z panem zamienić kilka słów, kapitanie.

Broster w swobodnej pozie siedział na fotelu, w białych spodniach drelichowych, czapce jachtowej, krawacie klubu krykieistów z Marylebone i przerażających okularach przeciwsłonecznych. Wygodnie, pod ręką, ustawione były: flaszka mrożonego piwa, stos starych egzemplarzy „Financial Times”, pudełko cygar, flaszeczka sody oczyszczonej, lornetka na wypadek spotkania jakichś statków, packa na muchy, kupka powieści detektywistycznych i mały, prywatny dzwonek do przywoływania stewarda pokładowego.

— Muszę iść na mostek...

— Tylko na minutkę. Wyjaśniałem właśnie komandorowi Barkerowi cele Królewskiej Marynarki Wojennej...

— Muszę iść napisać parę listów — ogłosił komandor Barker wstając z krzesła i znikając w dogodnie położonym najbliższym korytarzu.

— Moje jajko na śniadanie — obwieścił brygadier Broster tonem, jakby rzucał wyzwanie — było dzisiaj zimne. W normalnych warunkach nie narzekałbym. Nie należę do skarżących się typów. Jestem tylko zwykłym pasażerem płacącym za przejazd. Ale jajko było zimne wczoraj rano. Poprzedniego ranka też. I niewątpliwie jutro też będzie zimne.

— Powiem o tym intendentowi.

— Poza tym jakieś piekielne coś tłucze się

drum-drum-drum przez całą noc w mojej kabini. Nie wiem, co to jest, ale trzeba się z tym uporać. Może to pana zainteresuje, że od wyjazdu z domu nie zmrużyłem oka na dłużej niż pół godziny.

— Zaraz powiadomię starszego mechanika.

— I jeszcze woda statkowa. Gdzie pan brał wodę, kapitanie?

— Dopiero co braliśmy wodę w Port Saidzie.

— Na Boga, cholera! — wykrzyknął Broster. — Mam nadzieję, że kazał ją pan zbadać?

Ebbs nagle zaczął się zastanawiać, czy powinien był ją kazać poddać analizie.

— Ależ, proszę pana, nie może mnie pan czynić odpowiedzialnym...

— No to mamy cholere. Na pewno. Od Suezu mam rozwolnienie. Błyskawicznie rozniesie się to po statku. A pan będzie miał kolosalne szczęście, ja to panu mówię, jeśli pan połowę pasażerów dowiezie żywych do Adenu. Zabójstwo, kapitanie! Może nawet morderstwo! W każdym razie odpowiada pan za swoje szaleństwo. — Złożył ręce, jakby na złość zdecydował się zaraz umrzeć. — A poza tym — dodał — w chlebie są szczury.

— Jeżeli pan naprawdę uważa, że to są szczury, postaram się żeby je wytępiono. A teraz już proszę mi pozwolić pójść na mostek. Muszę wydać polecenia. Między innymi co do pańskiej kabiny i pańskich jajek.

— Proszę nie zapomnieć, kapitanie — Broster ostrzegawczo podniósł palec. — Mogę być po prostu zwykłym pasażerem, ale w stosunku do Kompanii mam pewne obowiązki. Chcę pana powiadomić, że z Adenu obszernie napiszę do Sir Angusa. Bardzo obszernie.

— Mam nadzieję — rzekł Ebbs z powagą — że już nie będzie pan miał powodów do narzekania.

—■ Zobaczymy, kapitanie. Zobaczymy. Ach, Ojciec Hennessy — wykrzyknął, kiedy mały tłusty człowieczek w tenisowym flanelowym ubraniu usiłował się przemknąć za plecami Ebbsa do korytarza. — Pozwoli pan na minutkę? Chcę panu powiedzieć swoje zdanie o kościele rzymsko-katolickim.

Ebbs umknął na przednią część pokładu łodziowego. Jego pesymizm pogłębił się. Wyruszył z bukietem kwiatów konwersacji, które zwiędły mu w dłoniach. Rozmowa z Brostrem była denerwująca i czując potrzebę uporządkowania myśli przelazł pod liną czasowo odgraniczającą mały kwadrat pokładu do przealowania. Pokład ten był pusty z powodu przerwy obiadowej dla załogi, wyszukał więc suchy kawałek relingu i oparł się na nim ze znużeniem.

W Adenie minie połowa podróży. Po stronie aktywów księgował: więc jeszcze dowodzi statkiem; pani Porteous, pewnie ze wstydu milczy; Shawe-Wilson teraz w ogóle nic nie robi, ale trzyma się z daleka; i chociaż oficerowie uważają go za wariata, to przynajmniej nie mają podejrzeń, że był w jednym i tym samym łóżku z jakąś pasażerką. Ale kiedy worki poczty statkowej, pełne listów z zażaleniami, zostaną wyładowane w Adenie... Sztynny kadłub „Martina Luthera” pojawił się na horyzoncie niby Latający Holender.

Poczuł lekkie niezdecydowane szarpnięcie za rękaw koszuli. Obejrzał się ze zdziwieniem. Małe, wielkookie, słomianowłose dziecko płci żeńskiej patrzyło na niego z zadartą głową.

— Halo — odezwał się Ebbs. Już przedtem zauważył grupy dzieci brykających po pokładach niczym dzikie kucyki z Dartmoor, ale był zbyt nieśmiały, żeby się z nimi przywi-

tać. — Co, jesteś sama? — spytał pod działaniem impulsu.

Poważnie przytaknęła główką.

Małe dziecko, opuszczone przez przyjaciół, samotne i niezrozumiane — to natychmiast roznieciło w nim iskrę sympatii.

— No, jak masz na imię, mała panienko? — spytał łaskawie.

— Priscilla — odparła rezolutnie.

— To ładne imię, prawda?

— Nie — obwieściła. — Wcale mi się nie podoba. Ohydne.

— Gdzie jest mamusia z tatusiem?

— W barze.

— A gdzie są twoje koleżanki?

— One są strasznie nudne.

— Ile masz lat? — spytał Ebbs podejrzliwie. Nie miał żadnego doświadczenia w obchodzeniu się z dziećmi i przez chwilę się zastanawiał, czy czasem nie rozmawia z jakimś żeńskim karzełkiem.

— Dziewięć. A ty?

— To nieważne.

Zaczęła mu się przyglądać z rosnącym zainteresowaniem.

— K t o ty jesteś? — spytała.

— Jestem kapitanem.

— A co ty robisz?

— Różne rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— Ano takie, jak na przykład ustalenie, dokąd statek płynie i tak dalej.

— A jak to robisz?

— Za długo by to było wyjaśniać, moja droga mała pani — powiedział. Wyciągnął rękę i delikatnie poklepał ją po głowie niby dużego, dziwnego psa.

— Jak jesteś kapitanem, to powiedz: jeszcze ciągle jesteś zimny? — spytała.

— Zimny? Ależ, kochana dziewczuszko, zapewniam cię, że w tej chwili jestem bardzo gorący.

— Wcale nie jesteś. Słyszałam, jak jedna pani mówiła. Powiedziała, że kapitan jest zimny jak bryła lodu.

— Co? A gdzie to słyszałaś?

— Dziś rano. Jak byłam w toalecie.

— Uważaj no, moja panno — rzekł Ebbs z powagą. — To bardzo nieładnie chodzić i powtarzać rzeczy usłyszane w... w... no w takich miejscach. — Surowo pogroził jej palcem przed buzią. — Rozumiesz? W żadnym wypadku nie wolno ci tego powtarzać komukolwiek. Jestem kapitanem i jak mi się spodoba, to mogę kazać rzucić małe dziewczynki rekinom na pożarcie — ciągnął, szczerze żalując, że tego zrobić nie może.

Zawstydzona spuściła oczy i dwie łzy spłynęły na policzki. Ebbs natychmiast poczuł wyrzuty sumienia.

—• No, no, kochanie. Nie płacz, mała pannie — powiedział. Nadal szlochała, sięgnął więc do kieszeni po pół korony\* przeznaczone na grę w bingo. — Masz. Kup sobie jakichś słodczy.

— Dziękuję — powiedziała skromnie, oburącz chwytając monetę.

Ebbs znowu się do niej uśmiechnął i obdarzył ją jeszcze jednym uprzejmym klepnięciem. Jak można było mieć do niej pretensje, że powtarza plotki, nie rozumiejąc ich znaczenia? Poczul, że jej wzruszająca niewinność nieco przywraca mu utraconą wiarę w ludzkość.

— No, biegaj, Priscillo — powiedział łagod-

\* Korona — 5 szylingów.

nie. — Pa, pa! — odwrócił się w stronę swojej kabiny.

Niespodziewanie coś uderzyło go między łopatkami. Klębek pucwoli przesycony czerwoną minią klapnął na pokład.

— Ty mała diablico! — wrzasnął Ebbs.

— Kapitan jest zimny! Kapitan jest zimny! Kapitan jest zimny! — podśpiewywała z przejęciem, nurkując między pasażerami niby popiskujący nietoperz.

Ebbs rzucił się za nią, ale po chwili stanął, straciwszy nadzieję dogonienia.

— Kobiety! — powiedział. Poszedł do kabiny i trzasnął drzwiami. Minią przesiąkła aż do pleców. Ostatnia, jedna jedyna czysta koszula musi starczyć do Adenu. A przy obiedzie Broster na pewno będzie gadał o swoim wyróżnieniu.

## 14

Po południu było jeszcze goręcej.

Nerwy pasażerów były teraz tak samo wrażliwe jak ich skóra. Wydawało im się, że od uradzenia żyją na „Charlemagne” i stracili nadzieję, czy kiedykolwiek żywi go opuszczą. Każdy dzień był taki sam: za długi, żeby go znieść, i za krótki, żeby go zapamiętać. Życie mijało znaczone milowymi słupami posiłków i pomniejszych znakami drogowymi porannych lodów, popołudniowej herbaty i wieczornych kanapek. Chociaż statkowe plotki wciąż jeszcze każdy uśmiech podczas gry w krążki i każdy trzask nocą w kabinie w czarodziejski sposób przemieniały w nowy romans, namiętne związki rodem z Morza Śródziemnego



teraz ledwie się tliły i zaczynały gasnąć, a do-  
zgonne więzy przyjaźni zawarte na północ  
od Suezu zrywano co godzina wskutek ta-  
kich drobiazgów, jak użycie poza kolejką su-  
szarki do włosów czy zabranie czyjegóż ulu-  
bionego ciastka. W tenisa pokładowego grywa-  
no z zajądlnością godną Wimbledonu, brydżyści  
otwierali usta wyłącznie podczas licytacji i tyl-  
ko pijacy byli szczęśliwi, unosząc się w swoich  
zamkniętych, miękkich, różowych, ochronnych  
alkoholowych kokonach.

Podczas kolacji zepsuło się urządzenie kli-  
matyzacyjne.

Jadalnię „Charlemagne” zaprojektowano w  
ścisłej zależności od systemu wentylacyjnego,  
była więc szczelna jak hełm nurka. Pasażero-  
wie przy stolikach pocili się obficie podczas  
przedzierania się przez statkowe, niezmiennie  
angielskie imenu, złożone z pieczonej wołowiny  
i yorkshire'skiego puddingu. Bbbs czuł, że  
przód koszuli iziwisa na nim jak arkusz mokrej  
bibuły. Siedział w milczeniu, szklane spojrze-  
nie wbijając w przybrany owocami półmisek  
stojący na środku stołu. Skwar uciszył nawet  
lubiących się klócić Coke'ów, a pani Porteous  
tylko raiz odezwała się do Ebbsa, prosząc o sól  
i pieprz tonem nakazującym się domyślać, że  
przedmioty te mają dla nich jakieś niesłycha-  
nie intymne znaczenie. Jedynie brygadier pro-  
wadził rozmowę brzmiącą jak solo na kontra-  
basie.

— W Anglii — mówił głośno w kierunku  
Billa Coke'a — mieszkamy w obszernych do-  
mach. Często iw bardzo starych domach. Ma-  
jących galerie obrazów — izjadł smażonego  
kartofla. — W moim domu mam naprawdę  
dużą galerię obrazów. Warta chyba kilkaset  
tysięcy funtów. W zeszłym roku sprowadziłem  
człowieka do odnowienia płócien. Tak trochę

żeby je oczyścić, wie pan. Steward! Proszę zabrać ten chrzan. I kiedy wróciłem z biura do domu — ciągnął — zastałem żonę bardzo podnieconą. Ona się w ogóle łatwo podnieca. „R. B. — powiedziała — ten człowiek znalazł Van Dycka w galerii”. „Dobrze — powiedziałem. — Pójdę i zobaczę, czy ma rację. Ale po kolacji”. W Anglii nie lubimy się podniecać ani zakłócać kolacji. Zjedliśmy więc kolację: wędzone pstrągi, przypominam sobie, i paszтет z dziczyzny. Butelka jakiegoś zwykłego burgunda. Po kolacji wzięliśmy świecę i kazałem lokajowi przynieść schodki. Szukaliśmy tego Van Dycka — był gdzieś wysoko pod sufitem, w ciemnościach. Dotąd go nie zauważyłem. Przyjrzałem mu się i powiedziałem do żony: „Moja kochana. To jest Van Dyck!”. Ale to nie był bardzo dobry Van Dyck. Zostawiliśmy go więc tam, gdzie był.

Przerwał i zaczął głośno żuć sałatę.

— I co pan na to? — spytał.

— Nie potępiam pana — z roztargnieniem odparł Bill Coke, wycierając głowę i kark żółtą chusteczką. — Nigdy nie lubiłem tych cholernych holenderskich likierów!

Następnego rana Ebbs obudził się pokryty wysypką.

— To ryba, panie kapitanie — oświadczył Burtweed. — Zaraz mówiłem kucharzowi, że ją czuć.

— Mniejsza z tym, co to było — odezwał się Ebbs — ale to jest diabelnie przykre.

— Mam posłać po doktora, panie kapitanie?

— Nie, nie! — Ebbsowi lekarz zawsze kojarzył się z własną siostrą. — Chyba to zniknie w ciągu dnia.

Usiadł do śniadania skrobiąc się zapamiętanie.

— Bardzo przepraszam, panie kapitanie. A może by się tak pan natarł octem. Miejsca eksponowane, ze tak powiem.

Ebbs coś mruknął.

— Był kiedyś pewien biedny dżentelmen, u którego byłem „tygrysem” — Burtweed ciągnął czułe wspomnienia. — Kapitan Pick na starym „Augustusie”. Dostał wysypki w piątek, pamiętam, że to był właśnie piątek, bo to był Wielki Piątek... a w Poniedziałek Wielkanocny już nie żył.

— Burtweed! — powiedział Ebbs grożąc mu nożem. — Wyjdźcie.

— Nic złego >nie miałem na myśli, panie kapitanie.

— Wyjść!

— Tak jest, panie kapitanie. Mam powiedzieć panom duchownym, żeby czekali?

— Jacy duchowni?

— Czekają *za* drzwiami od wpół do ósmej.

Sześciu pasażerów weszło do kabiny. Wszyscy mieli zakłopotane miny.

— No? — warknął Ebbs, zastanawiając się, jaki może być powód tej wizyty. Naraz przypomniał sobie, że zwraca się do pasażerów Kampanii i dodał tak uprzejmie, jak tylko potrafił: — Czym mogę panom służyć?

Kanonik Swingle odchrząknął i przeniósł ciężar ciała na jedną nogę. — Kapitanie — rzekł — obawiam się, że separacja, a może raczej rozwód, jest konieczny. Mówię jako ten, co oddalił się już od źródła zła, ale skład osób siedzących przy stole zajmowanym przez moich kolegów musi ulec zmianie. — Spuścił oczy. — Dziś rano pan Toddy rzucił talerzem owsianki w pana McBride'a.

— Niech pan spojrzy na mój plastron! — zawołał McBride, rozpinając lnianą marynarkę. — Zrujnowany!

— Na miłość boską! Czemu pan zrobił coś podobnego? — spytał Ebbs drapiąc się bez przerwy.

— On pierwszy rzucił we mnie dmuchanym ryżem — gorąco rzekł Toddy, blady, młody człowiek, o wyglądzie urodzonego wikarego.

— Panie Toddy! — odezwał się McBride. — Pan nie tylko nie jest dżentelmenem, ale jest pan w dodatku bezlitosnym mordercą prawdy!

— Panie McBride! Nie ma co się chować za napuszone wielkie słowa. Ojciec Hennessy widział, jak pan rzucał.

— Panie Toddy! Mówię panu, że nic podobnego nie zrobiłem. A poza tym *ma* pan ohydny zwyczaj mieszania płatków owsianych z marmoladą.

— To nic gorszego od pańskiego wywołującego mdłości zwyczaju maczania kawałków chleba w jajku.

McBride zacisnął pięści. — Panie Toddy, mam ochotę sprawić panu lanie!

— Panie McBride! Niech pan spróbuje zacząć!

— Panowie, panowie! — zawołał Ebbs, podczas gdy kanonik Swingle i pozostali podjęli interwencję, żeby zapobiec przerodzeniu się deputacji w bijatykę. — Naprawdę, nigdy bym się nie spodziewał takiego zachowania ze strony panów! Naprawdę! Proszę pamiętać, kim panowie jesteście. Oczywiście, mogę zmienić rozkład miejsc w salonie, jeśli to jest absolutnie konieczne, ale dla statku będzie to bardzo kłopotliwe.

— Za żadne skarby świata nie będę siedział z McBride'em przy jednym stole! Choćbym miał zdechnąć >z głodu! — piskliwie oświadczył Toddy.

— Szczerze mogę powiedzieć, że jestem naprawdę zadowolony z mojego nowego miej-

sca — wymruczał kanonik Swingle. — Naprawdę zadowolony.

Ebbs zatelefonował do Prittlewella, jak tylko Burtweed zamknął drzwi za wychodzącym klerem. — Do diabła, nic z tego nie rozumiem — mówił. — Czy na statku wszyscy 'powariowali?

— Och, to tylko" ezerwonomorskie nerwy, panie kapitanie — brzmiała beztraska odpowiedź. — Zawsze jesteśmy przygotowani na epidemię żażaleń podczas upałów. Niech ich pan poczęstuje porcją drętwej mowy, zalecanej przez Kompanię w takich wypadkach.

— Drętwej mowy zalecanej przez Kompanię... — mruzczał Ebbs. Wziął nóż i widelec i kiedy zaczął grzebać w wystygłej kielbasie, do kabiny wpadła ociężała kohieta z pochlipującą dziewczyną i rzuciła mu na 'biurko plik gęsto zapisanych arkuszy noszących nagłówkę statku.

— Jeden z pańskich oficerów przysłał to mojej córce!

Ebbs spojrzał na pierwsze linijki:

Pod tropikalnym księżycem na mostku  
Marzę o Tobie i Twym biuście, Kotku.  
Nie mogę się doczekać dwunastej godziny,  
By wśliznąć się ukradkiem do Twojej kabiny...

— Burtweed! Proszę polecić panu Jayowi — rozkazał nie czytając dalej — żeby zaraz po wachcie przyszedł do mnie.

Po matce przybył Dancer, który\* oskarżył swojego stewarda kabinowego o używanie pudru. Po nim wszedł emigrant, uczciwy angielski murarz, mieszkający w ośmioosobowej kabynie na pokładzie C, twarda sztuka, z uporem w tym 'klimacie odmawiający rozstania się z melonikiem i szelkami.

— Nie chciałbym, żeby pan pomyślał, że szukam dziury w całym — powiedział, z szacunkiem zerkając na złote galony Ebbsa. — Nie jestem taki. Żyj i daj żyć — to moje motto. Zawsze. Jeżeli ja i moja żona zostaliśmy zaparkowani w osobnych kabinach — cóż, trudno, w porządku. Chcieliśmy, żeby było taniej. Jestem człowiekiem liberalnym, panie kapitanie. Może mi pan wierzyć. Kiedy w mojej kabinnie chłopaki pobudzili się wczoraj rano i zobaczyli tego blackpoolskiego fryzjera z tą małą rud.\* w łóżku... No cóż! Powiedzieliśmy mit, żeby tego więcej nie robił i koniec. Kropka. Ale dziś rano moja żona budzi się i co widzi? Ten sam facet śpi jak dziecina z tą samą facetką. W samym środku, między siedmioma paniami!

— Burtweed — rzekł Ebbs, kiedy (murarz wyszedł z mglistą obietnicą ściślejszej segregacji płci — proszę nikogo nie wpuszczać do mojej kabiny. Nikogo! Czuję się bardzo źle, jeszcze nie tknąłem śniadania i nie jestem w nastroju do wysłuchiwania tych idiotycznych bzdur pasażerskich. Proszę mówić, że steruję statkiem.

— Dobrze, panie kapitanie.

— Tak, panie radio? — spytał, kiedy pierwszy radioficer, mały, nieśmiały człowieczek w grubych okularach, trwożnie stanął w drzwiach.

— Czy pan kapitan uważa, że to można wysłać? — zapytał, podając Ebbsowi blankiet telegramu. — Po tym co pan mówił w Suezie o depeżach, wolałem przynieść to na dół do pana.

Bbbs przeczytał:

MCWHIRREY BINNICLE LONDON  
CZERWONA BOLSZEWICKA WYWROTO-

WA ZARAŻA SZALEJE NA STATKU OBU-  
RZONY BROSTER

Przez jakiś czas Ebfas wpatrywał się w papier bez żadnego wyrazu twarzy. Ten cios znieczulił go. Czuł się, jakby dostał pałką po głowie.

— Proszę się kłaniać brygadierowi Brosterowi — zwrócił się do Burtweeda, ze znużeniem odsuwając nóż i widelec. — I poproś go, żeby *zaszedł* do mojej kabiny.

— To niesłychane! — krzyknął Broster, jak tylko się pojawił.

— Ależ, brygadierze, może by pan zechciał jeszcze raz rozpatrzyć ten telegram...

— A po co? Dlaczego?

— Może wywołać niepotrzebny alarm w centrali — [powiedział Ebbs, siłąc się na spokój. — Albo na statkach, które go przejmą. Mogą pomyśleć, że to bunt.

— Nie cofnę ani słowa.

— Mam oczywiście prawo (wstrzymać wysyłanie wszelkich depech ze statku — łagodnie powiedział Ebbs.

— Dodając tłumienie swobody głoszenia poglądów i innych pańskich występków godzących w konstytucję, co?

Ebbs westchnął, poskrobał się i zaapelował:

— A może by pan zechciał złożyć zażalenie przede mną? Zamiast porozumiewać się bezpośrednio z prezesem pomijając mnie?...

— Proszę, kapitanie! Tutaj! Pod samym pańskim nosem! Niech pan to zobaczy! Powąchaj to pan! Diabelska propaganda. Na pewno od początku do końca pisana pod dyktando Moskwy!

Palec Brostera oskarżycielsko wskazywał na plik kartek odbitych na powielaczu, rzuconych koło wystygłego, kapitańskiego śniadania.

Tytuł brzmiał:

THE CHARLEMAGNE TIMES  
GAZETKA STATKOWA  
DZIEŃ DOBRY

Ten jedyny dowód uznawania przez „Charlemagne” istnienia zewnętrznego świata był codziennie rano układany w radiostacji na podstawie aktualności szczerze nadawanych morską z Anglii. Że zaś osobisty kaprys był jedynym współredaktorem radiooficera, więc i ta gazetka statkowa, jak wszystkie inne, składała się z kontrastujących ze sobą wiadomości z ostatniej chwili i ciekawostek mogących godnie figurować na stronach „Daily Mirror”.

— Niech pan 'czyta! — zakomenderował Broster, z nienawiścią patrząc na radiooficera.

Ebbs zaczął od początku.

WYNIKI WYŚCIGÓW. Wyścigi w Newcastle. 1.30: Lucky Lucy (6/4), Highway (100/6), Pow-wow (3/1). 2.00: Boyo (10/1), Grantchester (6/4), William the Conk (100/8). 2.30: Lord Hornblowe (6/4), The Duke (5/1), Impasse (100/8).

PIŁKA NOŻNA. Gorringe, środkowy napastnik drużyny English International, który w ubiegłym tygodniu doznał kontuzji kolana w rozgrywkach o puchar, został poddany naświetlaniom i masażom. Oczekuje się, że stan jego zdrowia pozwoli mu w przyszłą sobotę na poprowadzenie ataku swojej drużyny w przyjacielskim spotkaniu z Arsenalem. Jego klub oficjalnie podaje do wiadomości, że stan jego wewnętrznego wiązadła stawu kolanowego, przez co nie brał udziału w rozgrywkach Internationalu w ubiegłym miesiącu, nie budzi obaw. Poniżej prawej krawędzi rzepekki kolanowej znajduje się głęboka rana cięta długości około jednego cala. Gorringe strzelił cztery gole, zanim zranił się w zeszłym tygodniu, tym samym uzyskując szesnaście goli w pięciu meczach.



Obecnie nie prowadzi oficjalnego treningu, ale jak donoszą, utrzymuje się w dobrej formie, kopiając w swoim ogródku. Gorringe jest zapalonym ogrodnikiem amatorem i sam zaspokaja swoje zapotrzebowanie na jarzyny.

LONDYN. Dziś gabinet podał się do dymisji.

KRYKIET, SYDNEY. Mecz o medal Sheffield rozgrywany pomiędzy Nową Południową Walią a Victorią, wchodząc w fazę końcową, wywołuje rosnące podniecenie. Dzisiejszy dzień pokaze, czy gracze Victorii potrafią wykonać pozostałych 214 gonitw do bramki. Raptownie obniżyli swój poziom podczas jednego z najbardziej niezwykłych letnich sezonów w Sydney. Wczoraj rzecznik Sydney określił pogodę panującą w ubiegłym tygodniu jako „największą katastrofę w historii Nowej Południowej Walii”.

NOWY JORK. Dziś po południu dokonano zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

PARYŻ. Rząd uciekł przed rewolucją, która wczoraj tam wybuchła.

BILARD. Harry Evershed, champion bilardowy, odzyskał zdrowie po łagodnym ataku grypy i -wkrótce, zgodnie z programem, będzie zdolny do wzięcia udziału w zawodach o mistrzostwo bilardu, organizowanych w przyszłym miesiącu w Thurston. Harry Evershed, który tytuł ten dzierży (po raz szósty, jest też zdobywcą światowego rekordu w grze w bilard z zawiązanymi oczami.

GOOLE. Ostatniej nocy, na zebraniu Partii Labourzystowskiej Harry Cropper powiedział: „Klasy chronione i uprzywilejowane znowu są przy władzy i zdają sobie z tego sprawę. Kryją się za barykadami rosnących kosztów utrzymania, ale uczciwie pracujący ludzie, jak wy i ja, nie będziemy znosić nonsensów i wyku-

rżymy je. Od chwili kiedy Partia Labourystowska doszła do władzy w 1945 roku, po tych strasznych latach złych rządów konserwatystów, iktóre tak dobrze pamiętamy, wy i ja, chociaż inni zaczynają o nich zapominać, kraj nasz poszedł za ludem po drodze postępu, a nie cofnął się na drogę wsteczności razem z bankierami (brawa i śmiech). Pozwólcie mi powiedzieć..."

Przemówienie wypełniało resztę strony.

— Za wiele informacji tu nie ma — rzekł Ebbs — ale chyba nie można uważać tego za zdradę. — Położył gazetkę na maszynie do grzanek. — Na morzu prowadzimy samotne życie i obawiam się, że świat oceniamy według nieco innych kryteriów.

— Piłka nożna, wyścigi, krykiet! — z furią wrzasnął Broster. — I co dzień od rana nic innego, jak tylko pół strony labourzystowskich frazesów. Można by sobie nawet nie wyobrażać, że istnieje coś takiego, jak Partia Konserwatystów! To jest czysta propaganda!

— Radio! Czy to pan odbiera prasę? — spytał E\*bbs.

— O nie, panie kapitanie. To ten młody, drugi radio.

— Czy to człowiek... tego... no... radykalnych poglądów?

— Och, on tam tylko dużo gada, panie kapitanie.

— Co jest z tymi wyścigami? Kogo to obchodzi?

— Załogę, panie kapitanie.

— Przecież, do diabła, oni widzą konia najwyżej raz na rok!

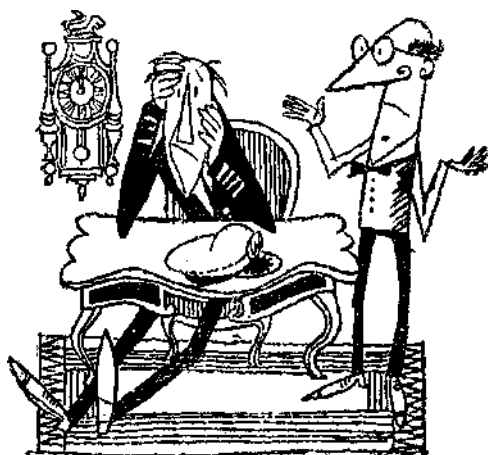
— Barman przyjmuje zakłady, panie kapitanie. Kapitan Buckie próbował temu przeciwdziałać, ale miał kłopoty ze Związkiem Zawodowym.

— Widzi pan? — Bbbs bezradnie spojrział na Brostera. — Dziękuję, panie radio. A na przyszłość niech pan sam bierze prasę. I proszę mi pokazywać przed powieleniem. Nawet gdyby trzeba było budzić mnie codziennie o szóstej!

— A co do mojego telegramu... — zaczął Broster, kiedy radio wyszedł.

Ebbs podniósł rękę. Wstał i 'zaczął przechadzać się po kabinie.

— Brygadierze Broster — zaczął. — Proszę tylko o bezstronność. Dobrze są panu znane



okoliczności, w jakich otrzymałem dowództwo tego statku. Pan wie, jakie trudności napotykam z każdej strony. A jeszcze nie ma połowy podróży. Potrzebuję szansy, żeby pewnie stanąć na nogach. Zapewniam pana, że robię, co tylko mogę.

— Mam obowiązki wobec udziałowców Kompanii.

— Proszę **tylko o** danie mi szansy. To wszystko.

— Kapitanie, Pole Star Linę nie stać na dawanie szans...

Ebbs przerwał mu: — Proszę. Niech pan zrozumie moje położenie. Przypuśćmy, że miałby pan ciągle przy sobie jakiegoś gościa z Ministerstwa Wojny, który by stale patrzył panu na palce, jaik też pan dowodzi swoim... swoim pułkiem. Rozumie pan, prawda?

Broster zawahał się. Miał tylko czasową szarżę w korpusie płatników, ale nigdy nie prostował komplementu sugerującego bardziej bojowe dowództwo.

— Dobrze — powiedział.

Ebbs chwycił go za ramię. — Jakżeż pan mógłby mi pomóc! Pańskie doświadczenie w kierowaniu ludźmi... pański geniusz handlowy... byłoby głupotą dać się temu zmarnować na statku.

— Ja...

— Tak, proszę pana — Ebbs korzystał z okazji. — Gdyby nie to, że /wahałem się, czy zwać na pana nowe kłopoty, już dawno byłbym pana prosił o zrobienie czegoś więcej dla statku. Wiem, że prowadzi pan zawody w tenisie pokładowym, w trafianiu krążkami do celu, prezyduje pan w codziennych zakładach o prędkość statku, w wyścigach konnych, że jest pan przewodniczącym kółka dyskusyjnego i bingo. Jeśli jest jeszcze jakieś pole działania...

Broster zawahał się. Chrząknął. — Myślałem o pogadance na temat moich przeżyć w Chinach.

— Powinien ją pan wygłosić. Powinien pan! Dziś wieczór. Będzie liczne audytorium. Już ja sam tego dopilnuję. Może *jeszcze* jakaś funkcja?...

Był zaskoczony widząc, jak brygadier Broster spłonął rumieńcem.

— Zawsze miałem chęć czytać lekcję podczas nabożeństwa.

— W najbliższą niedzielę! Pawiem kanonikowi.

— Już mu to proponowałem — przyznał się Broster. — Ale ten cholerny typ nie chciał się zgodzić.

— Niech pan zostawi to mnie. Ja sobie z nim poradzę. A pański telegram...

Broster zawahał się. — Tym razem jeszcze — powiedział, z ociąganiem się mnąc formularz — przymknę oczy. Ale to pańska ostatnia szansa, kapitanie.

— Nie będę potrzebował żadnej więcej.

— Trzymam pana za słowo, proszę uważać. — Machał mu palcem przed nosem. — To dotyczy także tamtych pańskich obietnic!

— Oczywiście, proszę pana. Dotrzymam słowa, proszę się nie obawiać. Do widzenia panu.

— Do widzenia panu, kapitanie.

Kiedy wyszedł, Ebbs usiadł przy biurku z głową ukrytą w dłoniach.

— Powiedźcie, reszcie czekających — rzekł głucho, słysząc, jak wchodzi Burtweed — że umarłem.

— Tak jest, panie kapitanie.

— I proszę przekazać kanonikowi Swingle, że w niedzielę lekcję będzie czytał brygadier Broster. Obydwa razy. Powiedźcie kanonikowi, że jeśli będzie się sprzeciwiał, posadzę go z powrotem przy dawnym stole. Z tamtymi pięcioma.

— A co z hymnami, panie kapitanie?

— Będziemy śpiewać te same co ostatnim razem, Burtweed. Obawiam się, że nie doświadczyliśmy jeszcze wszystkich niebezpieczeństw morza.

W Adenie, po raz pierwszy od opuszczenia Tilbury, cisza i spokój zagościły na statku.

Kiedy opuszczono na mostku żółtą flagę kwarantanny, pasażerowie zaczęli się tłumnie pchać na ląd, jak dzieci wypadające ze szkoły w słoneczne popołudnie. Stado motorówek, trzęsących jak stare dryndy, przewoziło ich przez zapaćkaną oliwą wodę do wąskiego miasta pod ostrymi skalnymi urwiskami, gdzie Europejczycy skwierczą w słońcu i ziewają przez cały okres swojej służby. Przy kruchych, maleńkich sklepikach nadbrzeżnych ugrzecznieni arabscy kupcy w jaskrawych, obszernych niby balony strojach stali wyczekująco nad stosami indyjskich sandałów, egipskich torebek, japońskich zapalniczek, niemieckich zegarków i amerykańskich aparatów fotograficznych. Podróżnicy pełni entuzjazmu i chęci zysku, od czasów „Eothena”\* z każdego angielskiego przewodnika wiedzący o znaczeniu wyklócania się o ceny w gorącym klimacie, wychodzili na brzeg gotowi targować się zawzięcie, ale kupcy po prostu kłaniali się im z godnością i gładzili swoje gęste czarne bokobrody, pewni, że pod wieczór uwolnią klientów od pieniędzy w sposób równie nie wymagający wysiłku i przyjemny, jak trawienie posiłków.

Na statku Ebbs leżał na różowej sofie usiłując rozerwać się czytaniem „Mgnienia oka”, książki o brykiecie, napisanej przez Willy'ego Boasta.

„Jakże dzielnie stali angielscy chłopcy, ramię przy ramieniu, w ciągu tego skwarne go dnia boju — czytał. — Powstając jak Feniks z popiołów po pierwszych okresach bronienia

\* „Fothena” — pierwszy starożytny przewodnik.

się i zdobywania punktów »gardząc rozkoszami, a żyjąc w trudzie-" zadawali wrogowi z antypodów sromotne klęski i całe szeregi tokańskie, będące po stronie dziecińca, nie mogły powstrzymać się od okrzyków radości. Ostatni angielscy gracze w krykieta, na których przyszła kolej bronić barw drużyny:

Dwa psy czarnej świętego Hubertusa rasy  
Niezrównanej odwagi, szybkości i krasy

na jeden moment przywołali sławą błyszczące dni wielkiego Victora Trumpera czy złotego wieku, kiedy nieporównany W. G. rozsypywał biegi ze swego palanciego rogu obfitości lub też nawet kiedy magicznym zaklęciem Anglii było "-Wykańczajcie ich pojedynczo!« Lecz niestety! Fatalne odchylenie palantem skierowało piłkę w »tę dwuręczną machinę« przy bramce. Sed fugit interea, fugit irreparabile tempus\*!"

Z uczuciem zawrotu głowy Ebbs zabrał się do drugiego tomu ze statkowej biblioteczki: „Koniec gazowni". Otworzył na chybił-trafił i czytał:

„Tego wieczora w powietrzu Ovalu\*\* unosiła się magia. Dotykała błyszczących ostrzy angielskich krykieciarzy, jak Ariel brykała dookoła podkradających się graczy drużyny atakującej, nawet same gazometry wydawały się gotowe do tańca na rozkaz Oberona. Angielski kapitan — prawdziwy rycerz bez trwogi i zmayı — przywoływał wielkie dni błyskotliwego Victora Trumpera czy szczodre czasy, kiedy nieporównany W. G. rozsiewał biegi ze swego palantowego siewnika, czy też kiedy bojowym hasłem Anglii było: >> Wykańczajcie

\* Sed fugit interea, fugit irreparabile tempus — Lecz tymczasem mija czas, mija bezpowrotnie (łac).

\*\* The Oval — nazwa londyńskiego boiska krykietaowego.

ich pojedynczo!\*' A wieczorem herbata i zwycięstwo pojawiły się razem. Fortes fortuna adiuvat\*!"

Ebbs rzucił książkę na podłogę i wstał. Zaczął się energicznie drapać. W nocy wysypka rozlała się, tworząc duże, różowe napuchnięte plamy. Czuł się, jakby nawą wełnianą kamizelkę włożył podszewką na zewnątrz.

Wziął czapkę i wyszedł na zalany słońcem pokład, zachowując się jak człowiek odprowadzający swe dzieciństwo na miejsce wiecznego spoczynku.

Statek był pusty. Pokłady rozbrzmiewały jedynie leniwymi krokami nie przywoływanych stewardów, wiecznie skaczące piłeczki ping-pongowe leżały unieruchomione, krążki do gier pokładowych porzucono w ściekach odpływowych, salony były puste, z wyjątkiem palarni, gdzie w swoim kąciku chrapał Willy Boast. Ebbs delektował się żałośnie przelotną chwilą spokoju. Pod nim hałaśliwie odbiła od burty ostatnia na wpół pusta motorówka: ujrział panią Porteous siedzącą na ruiie obok mężczyzny w eleganckim tropikalnym ubraniu, w którym po chwili rozpoznał Shawe-Wilsona.

— Uhm — mruknął. Miał nadzieję, że zajmą się sobą.

Starszy mechanik w zaoliwionym kombinezonie, z czerwoną twarzą pokrytą kroplami potu, ciężko dysząc, powoli wchodził po trapie.

— Panie inżynierze, jak długo jeszcze będziemy brali bunkier?

Earnshawe obtarł twarz pękiem pucwoli. — Dopierośmy zaczęli. Jeszcze jakieś dziesięć godzin.

Ebbs spojrział na zegarek. — Więc odpływamy o północy?

\* Fortes fortuna adiuvat — Silnym szczęście sprzyja



Earnshawe potakująco kiwnął głową. Obaj wsparli się na gorącej, lakierowanej, tekowej poręczy relingu, patrząc na drżący w upale niegościnnie brzeg widniejący poza szeregami bunkrujących statków.

— Niezbyt atrakcyjna dziura — powiedział Ebbs.

— Nie — po chwili wnikliwego namysłu zgodził się Earnshawe. — Ale zawsze daje pasażerom możliwość zejścia na ląd.

— Pasażerowie!

Przez minutę czy dwie obaj milczeli. Potem Ebbs pod wpływem impulsu zapytał: — Chief, napije się pan?

Earnshawe skrupulatnie rozważył propozycję. — Owszem. Nie odmówię.

W kabinie Ebbs kilkakrotnie naciskał dzwonek, ale Burtweed moczący nogi był absolutnie poza zasięgiem przywołania.

— Bóg wie, co się dzieje z „tygrysem” w porcie — mruczał. Podrapawszy się zaczął grzebać w barku, poszukując butelki whisky i dwóch szklanek. — To moja wina, że nie zaprosiłem tu pana wcześniej, chief — dodał przepraszająco, stawiając szklanki na stole. — Na starym „Lutherze” Mc Nair i ja patrzyliśmy na siebie podczas każdego posiłku chyba przez jakieś pięć lat. Ale na tym statku człowiek nie ma czasu zobaczyć się z tym, z kim by chciał.

— Niech pan o tym zapomni, kapitanie — burknął Earnshawe. — Wiem, ile pan ma do roboty. To naprawdę posada pełnoetatowa. Dla mnie? — podniósł szklankę do połowy napełnioną czystą whisky i wypił duszkiem.

— Chciałbym móc powiedzieć, że inni choć w połowie tak oceniają moje stanowisko — kontynuował Ebbs, markotnie pociągając trunk. — Wprawdzie wyznaję zasadę „żeby cię

pieczono i kapano w smole, nie powiadaj nigdy, co się dzieje w szkole", ale, do cholery, chief! Sposób, w jaki starszy oficer odnosi się do mnie, to prawdziwy skandal.

— Nigdy nie miałem dobrego wyobrażenia o tym Shawe-Wilsonie. Uczciwy kopniak w tyłek wcale by mu nie zaszkodził.

— I niektórzy pasażerowie nie są lepsi od niego. Brygadier Broster na przykład... Nie jestem złośliwy, chief, ale na Boga, więcej niż chętnie wydarłbym mu flaki gołymi rękami.

— Niech się pan ostro postawi — zagrział Earnshawe, uderzając dłonią w stół. — Jest pan kapitanem czy nie?

— Tak, jestem kapitanem — przyznał Ebbs ze smutkiem. — Ale moja funkcja w tym charakterze jest nieco... jest nieco... — Postanowił nie mówić więcej. — Napijemy się jeszcze? — spytał tonem, jakby proponował spacer w deszczowy dzień.

— Nie powiem nie.

Kiedy Ebbs znowu napełnił szklanki, Earnshawe przechylił się do tyłu, przyjrzał mu się uważnie i stwierdził: — Chłopie, ma pan piekielne życie, co?

— Wie pan, że to pierwsze życzliwe słowo, jakie usłyszałem od wyjazdu z Tilbury? — odrzekł Ebbs z wdzięcznością. — Wiem, że kapitan prowadzi raczej samotne życie. Przywykłem do tego, oczywiście. Nelson przeżywał to samo. Ale ten statek! Wie pan, czym musiałem się zajmować od Suezu? — zachęcony tym, że znalazł współczującego słuchacza, ciągnął: — Skargi, skargi, skargi! Kapitanie, ktoś pisze wiersze do mojej córki... Kapitanie, ktoś wywalił swoje śniadanie na moją kamizelkę... Kapitanie, mój steward kabinowy używa pudru i perfum... Boże! Robią mnie odpowiedzialnym na statku za wszystko, od przyipa-

lonych herbatników do politycznego zabarwienia gazetki statkowej. To diabelnie niesprawiedliwe.

— Z tym mamy zawsze do czynienia na Morzu Czerwonym — spokojnie odparł Earnshawe. — To skutki upału i tego, że od rana do nocy jeden siedzi na drugim i nie ma nic do roboty, jak tylko kręcić młynka palcami. Pasażerowie nie są do tego przyzwyczajeni, tak jak my. Gdyby nie mogli się wyładować przez obgadywanie, na pokładach pasażerskich doszłoby do krwawych mordów.

— To nie taka znów niemiła alternatywa — z powagą powiedział Ebbs. Jednym łykiem dokończył trunku i łagodnie zakaszłał. — Nie jestem pijakiem — wyjaśnił, znowu nalewając whisky. — Całą podróż mogę się obyć bez jednej kropli. Fakt. Ale muszę przyznać, chief, że bywają okazje, kiedy kieliszek alkoholu nie zaszkodzi.

— Aha — zgodził się Earnshawe. — Maszynę trzeba oliwić od czasu do czasu.

— No a co z panem, chief? Jak pan sobie radzi z pasażerami?

— Och, ja] się z tym pogodziłem. — Earnshawe wziął ołówek leżący na stole i z namysłem zaczął dłubać nim w zębach. — Jestem dobrym mechanikiem. Wiem. Do tego mogę się śmiało przyznać. Uważam, że należy mi się dobry statek pod nogami. No i dlatego na rozkaz gram rolę towarzyskiego faceta. Nie mam innego wyjścia. Jeśli nie chcę wypocić flaków na jakimś trzeciorzędnym trampie, muszę wciągać koszulę ze sztywnym gorsem i udawać cholernego gigolo. To część moich obowiązków służbowych. Mówię otwarcie: nie znoszę przewozić pasażerów, tak samo jak nie lubię wozić bydła. Inna sprawa, że ci pierwsi są bardziej niechlujni.

— Ze mną jest inaczej — rzekł Ebbs, czynając litować się nad sobą. — Zawsze chciałem prowadzić statek pasażerski. Zawsze. Jeszcze jak byłem kadetem. O, takim — pokazał. — To moja jedyna ambicja.

— A ja mam ambicję — powiedział Earnshawe — prowadzić farmę.

— Farmę?

— Tak. W samym środku kraju. Gdzie nawet burza nie przyniesie zapachu morza, a marynarzy widać tylko na pudełkach od papierosów. Chcę robić obchody mojej posiadłości z flintą pod pachą i psem przy nodze — odłożył ołówek i pustą szklanką zaczął kreślić koła na powierzchni stołu. — To wszystko, czego chcę od życia. Niczego więcej. Już nawet coś mam na oku. — Chwilę patrzył przez iluminator na niewyraźne urwiska Adenu. — Wielkość w sam raz. Kawał dobrej ziemi. Na samej krawędzi Wolds. Pięć mil od Market Weighton w stronę Yorku. Znam gościa, co tam gospodarzy. Mogę to dostać w każdej chwili, gdy tylko zechcę.

■— Kiedy pan ma zamiar kupić?

— Och, kiedyś tam. Jak moja żona wygra w tatka.

Przez jakiś czas siedzieli w posepnym milczeniu. Ebbś napełnił szklanki.

— Pan jest żonaty, kapitanie?

— Nie. Tak — powiedział Ebbs. Ze stojaka na fajki zdjął fotografię od Burtweeda. — Żona i dzieci — objaśnił.

Earnshawe przez minutę uważnie studiował zdjęcie. — Podobne do pana — zdecydował.

Ebbs potakująco kiwnął głową i odstawił fotografię na poprzednie miejsce.

— Rodzina to wsipaniała rzecz — odezwał się Earnshawe. — Nie można się od niej oder-

wać... nie ma to jak dom, jak długo jest własny-

— Właśnie — potwierdził Ebbs.

— Za nasze żony! Niech im Bóg błogosławi! — Earnshawe wznosił szklanę.

— Za nasze żony!

— Wypij pan do dna, kapitanie — powiedział Earnshawe cmokając wargami.

— Napijmy się jeszcze.

Po jakimś czasie Ebbs stał się bardziej pogodny.

— Chief! Czy nie byłoby fajnie — powiedział chichocząc — teraz odpłynąć i zostawić tych sakramenckich pasażerów na lądzie?

Starszy mechanik przez chwilę rozważał propozycję, mocno trąc tiwarz dłonią. — Nie — zdecydował. Potrząsnął głową. — To nie byłoby w porządku.

— Może nie. Ale to jest myśl. — Ebbs włożył rękę pod koszulę i podrapał się po pierś. — To swędzenie i świętego doprowadziłoby do grzechu — mruknął. Nagle coś innego przyszło mu do głowy i pod sitołem zrzucił buty. — Te cholerne skórzane buciory strasznie mnie cisną podczas upałów. Nie znoszę ich, a muszę nosić. Dlaczego? Bo jestem sakramencki kapitan. Dlatego. Na starym „Lutherze” nosiłem płócienne pantofle na gumowej podeszwie. Na „Lutherze” mogłem chodzić w czym mi się podobało. Nawet w niczym, jakby mi przyszła ochota. Pod wielu względami to nie był zły statek — zamyślił się jak nad wspomnieniami trudnego dzieciństwa.

— Już pan tej balii nie zobaczy.

— Wcale nie jestem tego taki pewien, chief. Wcale — powiedział niejasno. Przez otwarte drzwi kabiny popatrzył na długi, czysty, pusty, zalany słońcem pokład i po chwili wyszeptał: — Cicho, chief, co?

W pół godziny później Earnshawe podniósł butelkę z podłogi.

■— Pusta! — zdziwił się Ebbs. — Jest jeszcze cała fura w tym interesie do cocktaili. Niech pan znowu naleje, to powiem panu sekret. Chce pan wiedzieć, co to jest?

Earnshawe potrząsnął głową. — Nie lubię słuchać tajemnic. Nie muszę ich potem dochowywać.

Ebbs zachichotał. — Powiem panu. Miałem kobietę w kabinie.

— Och, kobiety — Earnshawe zbył to jako rzecz powszednią.

— Ale poszła — Ebbs uśmiechnął się tęsknie. — Teraz to prawie chciałbym, żeby została. Dokąd pan idzie? — spytał podejrzliwie, kiedy Earnshawe wstał.

— Na dół. Jeszcze bunkrujemy.

— Och.. Jeszcze?

— Położyłbym się na pańskim miejscu.

— Nie jestem pijany, wie pan — Ebbs odparł troskliwie dobranym rozsądnym tonem. — Nie byłem pijany od... od... och, od ostatniego Wielkiego Piątku w Boże Narodzenie.

>— Mimo to położyłbym się.

— Do widzenia, chiefuniu, stary chłopie. Cholernie fajny z ciebie kumpel. Cholernie fajny. Cholernie fajny kumpel.

Gorąco uścisnęli sobie dłonie i przez jakąś minutę stali poklepując się po plecach.

— Dobranoc, chiefuniu! Dobranoc, stary!

— Dobranoc, kapitanie.

Kiedy Ebbs został sam, wyciągnął z barku nową butelkę i znowu sobie nalał. Zauważył plamę rozlanej whisky na stole i niewyraźnie poczucie winy zaturkotało mu przez myśl doradzając natychmiastowe ukrycie się z powrotem we mgle zamroczenia. Niespodziewanie życie wydało mu się piękne. Zaczął śpiewać.

Na pokładzie łodziowym, tuż pod otwartymi drzwiami jego kabiny, pani Juidd z irytacją spojrzała w górę. Podzielała uznanie Ebbsa dla pustych i cichych pokładów, gdyż była kobietą dobrego serca, która na statku jakoś automatycznie objęła funkcję dobrej wróżki-powierniczki. Jeśli ktoś miał suknię do poprawki, dziecko do popilnowania, serce do pocieszenia czy romans do nawiązania, bez wahania udawał się do pani Juidd. Teraz usadowiła się wygodnie w wyzywającym luksusie leżaka, od Gibraltaru okupowanego przez generałową o srogim spojrzeniu, ciesząc się na parę godzin niemożliwości stania się czwartym do brydża, czytania dzieciom bajek, akompaniowania kontraltowi ćwiczącemu przed odległą chwałą koncertu statkowego czy tłumaczenia jakiejś idiotce oczywistych intencji jej amanta. Wszystko to zrujnował kretyński marynarz wydzierający się na mostku.

Melodia się urwała. Ebbos stanął w drzwiach.

— Dzień dobry, kapitanie — powiedziała z uśmiechem. Lubiła Ebbsa, którego zaniedbany wygląd i rozpaczliwe wysiłki przestrzegania wymogów dobrego wychowania budziły macierzyńskie instynkty w każdej dobrej kobiecie.

— Madam — odparł, dziarsko salutując.

Trzymając się poręczy ostrożnie zszedł po trapie i znowu zasalutował.

— Sługa uniżony — rzekł. — Czy mogę usiąść?

— Ależ oczywiście, kapitanie.

Zajął sąsiedni fotel.

— Jak cicho na statku, prawda? — powiedziała.

— Jesteśmy sami — oświadczył uroczyście.

— Ależ, kapitanie — zaczęła się śmiać. — Pan jest bez butów!

Ebbs ze zdziwieniem spojrzął na swoje stopy.  
— Coś takiego! — wykrzyknął. Odwrócił się i wbił w nią wzrok. — Mam cholerne życie — powiedział. — Diabelnie. Nikt mnie nie kocha. Nikt nie dba o starego, biednego Ebbs a. Nikt by się nie zmartwił, gdybym nie żył i był cholernie dobrze pochowany. — Duże łzy pobiegły ku wystającym kościom policzkowym i ciężko spadły z ich krawędzi.

— Naprawdę, kapitanie — odezwała się ze śmiechem — wydaje mi się, że pan pił.

— Pijana bestia ze mnie — oświadczył Ebbs z niejaką dumą.

— Jestem pewna, że ma pan do tego prawo.

— Pani mnie rozumie, prawda? — spytał Ebbs poważnie. — Powie mi pani jakieś życzliwe słowo? Niech mi pani pozwoli trzymać się za rękę. Gdzie ona jest? Ajch, dziękuję, madam. Dziękuję. Potrzebuję życzliwości. Nikt mi nie jest życzliwy. — Spojrzął na nią tragicznym wzrokiem i potrząsnął głową. — Pani jest diabelnie powabna.

— Czy nie byłoby lepiej, żeby pan wrócił do swojej kabiny?

— Dlaczego?

— Za chwilę przyjdzie steward pokładowy z moją herbatą.

— No to co z tego?

— Myślę, że raczej powinien pan pójść. — Wstała. — Proszę iść ze mną.

— Ale ja chcę tu zostać — upierał się Ebbs.

— Chodźmy — rzekła stanowczo. Wzięła go pod ramię. — Tak jest dobrze, kapitanie. Pomogę panu wejść po schodach.

W kabinie Ebbs pochwycił fotografię Burtweeda i wyjaśnił: — Żoneczka i malcy. Widzi pani?

— Urocze. A gdzie jest pańska koja?



Ebbs zrobił obrażoną minę. — Nie! — krzy-  
czał. — Nie! Ja to znam! — pogroził jej pal-  
cem, stracił równowagę i złapał ją za ramio-  
na, żeby się przytrzymać. — Pani... pani... za-  
czął chichotać — pani nie byłaby pierwsza —  
powiedział wstydliwie.

— Tego jestem pewna. A, to tędy. Tędy,  
kapitanie. Dobrze. Niech się pan trzyma mo-  
jej ręki, jak pan chce. Uwaga na stopień.  
Ostrożnie!

Troskliwie włączyła wentylator i przed wyj-  
ściem zaciągnęła firanki. Kiedy Burtweed  
przyszedł o szóstej, Ebbs leżał na wznak, w  
mundurze, z otwartymi ustami, oburącz trzy-  
mając koniec rury głosowej. Wyglądał jak  
dziecko tulące ulubionego misia.

## 16

Kiedy następnego ranka Burtweed wszedł  
do kabiny, Ebbs z milczącym wyrzutem pa-  
trzył w lustro, przed którym ćwiczył akt skru-  
chy za grzechy. „Charlemagne” znowu był na  
morzu. O północy Ebbs w zgryźliwym nastroju  
wyprowadził go z portu, ratując się kawą  
i aspiryną. Do świtu drzemał, denerwował się  
przez cały wczesny, wilgotny ranek i po śnia-  
daniu skoro tylko zebrał się na odwagę, po-  
prosił do siebie panią Juidid.

— Co za diabeł we mnie wstąpił, Burt-  
weed? — pytał. — Czym zwariował? Co mnie  
opętało? — nagle walnął pięścią w blat toalet-  
ki. — Psiakrew! Zadałem sobie tyle wysiłku,  
żeby zachować na statku dobrą opinię, a po-  
tem w porcie zalewam się w trupa niby jakiś  
czwarty oficer w swoim pierwszym rejsie! Go-  
rzej, bo napastuję kobiety.

— Jak to mówią: od rzemyczka do koniczka, panie kapitanie — z powagą rzekł Burtweed.

Ebbs jęknął. Ogarnęła go czarna rozpacz i wstyd. Oburzona niewiasta twardym krokiem zmierzająca do jego kabiny, prawdopodobnie zakleiła już zawierający skandal list do McWhirreya, donoszący, że kapitan upił się w porcie do nieprzytomności i obraził pasażerkę. Po tym wszystkim nawet „Martin Luther” będzie dla niego za dobry.

— Ale dlaczego? Na miłość boską, dlaczego ja to zrobiłem?

— W czasie wojny widziałem, jak to nagle napadało kapitanów. Nazywali to „odprężeniem nerwów”.

— Możliwe. Ale ja, Eurtweed, nie stawiam czoła torpedom, tylko pasażerom.

— Madam, panie kapitanie — zaanonsował Burtweed i błyskawicznie zniknął.

— Droga, łaskawa pani... — żarliwie zaczął Ebbs, jednym skokiem przemierzając salon. — Jak to mam pani... proszę, niech pani siada... Jak mam pani wyjaśnić moje zachowanie się? Jak zapewnić, że wczoraj nie byłem sobą? Jak przeprosić? Madam, błagam panią, niech pani wierzy...

— Ależ, kapitanie! — podniosła rękę i uśmiechnęła się doń z sympatią. — Proszę się wcale nie martwić tym, co było wczoraj.

— Przecież pani na pewno uważa mnie za degenerata najgorszego gatunku?

— Nic podobnego — rzekła wesoło. — Był pan wprost czarujący. Mogę prosić o papierosa?

— Ależ tak, oczywiście... — Ebbs podskoczył ze swoimi reprezentacyjnymi papierosami, większość wysypując na podłogę. — Przypominam sobie... z najgłębszym wstydem, ma-

dam, ale przypominam sobie, że narzucałem się pani zalotami na pokładzie łodziowym.

— Już ani słowa na ten temat — powiedziała stanowczo, znowu się uśmiechając. — Podałam tylko panu pomocną dłoń, tak samo... no tak, jakby to zrobiła pańska żona.

— Moja żona? Tak, oczywiście. — Ebbs rap-



townie usiadł na fotelu. — Czy pani chce przez to powiedzieć — ciągnął z niepokojem, a isierka nadziei zaczęła się w nim tlić słabo — że nie zamierza pani złożyć zażalenia na moje postępowanie? Muszę pani szczerze powiedzieć, że ma pani ku temu wszelkie prawo. Nie chcę się wymigać od słusz...

— Wybaczyłam panu całkowicie — powiedziała definitywnie. — Po prostu zapomnijmy o tej całej sprawie.

— Proszę pani — Ebbs wsiąkał nos. — Pani jest bardzo, bardzo dobra.

— Nic podobnego. Jestem pewna, że zasłużył pan aż nadto na rozryw<sup>rkę</sup>. Czy mogę prosić o zapal<sup>kę</sup>?

— Tak, tak, oczywiście...

— Dziękuję, kapitanie. I proszę się nie martwić. Nikomu słowa nie pisnę.

— Pani jest naprawdę wzorem cnót — rzekł Ebbs z głęboką ulgą. Przez chwilę zastanawiał się nad efektem wywołanym na statku przez dwie plotki pochodzące od dwóch różnych kobiet: jedna mówiąca, że jest świętoszkotw<sup>atym</sup> impotentem, druga, że pijanym rozpustnikiem. — Z trudem przychodzi mi uwierzyć, że zasługuję na pani dobroć. Widzi pani, są pewne okoliczności związane z dowodzeniem tym statkiem — wyznał — powodujące, że moja sytuacja jest nieco trudna. Zażalenie z jakiegokolwiek powodu przyniosłoby fatalne rezultaty. Naprawdę staram się, jak mogę...

— Oczywiście, kapitanie. Przecież sposób, w jaki daje pan sobie radę z tymi okropnymi ludźmi przy stole, jest wprost wspaniały.

— Pani naprawdę tak myśli? — spytał chciwie.

— Czy to nie wstręt<sup>na</sup> banda?

— No, madam, trudno w mojej sytuacji...

— Ten Broster. Czyż to nie największy nudziarz świata? Ileż razy miałam ochotę rzucić w niego solniczką!

Ebbs gorąco przytaknął. — O jakżeż pani podziela moje uczucia, droga pani!

— A to dziecko, Annette, czy nie może człowieka doprowadzić do furii? Żeby się jeszcze nauczyła ze diwa słowa więcej, rozmowa z nią stałaby się prawie znośna. Co do tego Dan-cera...

— To jakiś zniewieściały typ?

— O, bardzo. A pani Porteous...  
— Ach, pani Porteous!  
— Boast jest wprost odrażający...  
— Właśnie. A Coike'owie...  
— Wolałabym, żeby swoje klótnie zachowali na sypialnię. Teraz pani Lomax...  
— To chyba nieszkodliwa staruszka?  
— Nieszkodliwa! Boże! Ależ nie! Wprost truje plotkami.  
— Doprawdy? Nawyk godny potępienia. Szczególnie na statku.  
— Święta racja.  
Ebbs znowu wysiąkał nos. Odczuwał tę samą nieprawdopodobną radość, jaka kiedyś zafundowała nim w biurze McWhirreya.  
— Niech pan spojrzy na swoje ręce! — wykrzyknęła pani Judd. — Ależ, biedaku, pan jest cały poikryty pokrzywką!  
— To ryba — wymruczał Ebbs przeprasza-  
jąco.  
— Przecież to istne tortury! Nic dziwnego, że pan sobie wypił.  
— To podrażnienie jest z pewnością dodat-  
kową próbą losu.  
— Mam w kabinie lekarstwo, które w mgnieniu oka przyniesie ulgę. Przyślę panu przez stewarda. A pański mankiet, kapitanie — roześmiała się, zauważywszy rozdarcie rękawa białej marynarki Ebbsa, które „zacerował” biurowym zszywaczem do akt. — Kapitan nie powinien chodzić w takim stanie. Niech mi pan przyśle marynarkę wieczorem, to ją panu zeszyję. No — powiedziała wstając — jestem pewna, że ma pan mnóstwo ważnych spraw do załatwienia. A ja mam eliminacyjną rozgrywkę tenisa pokładowego z brygadierem Brosterem, on się denerwuje, kiedy się ktoś spóźnia. Spotkamy się więc przy obiedzie.

— Tak, oczywiście — Ebbs patrzył na nią z admiracją. — Czy zaszczyci mnie pani wypiciem kieliszka likieru wieczorem po kolacji?  
— Z największą przyjemnością. W palarni?  
— Jest rzeczą przyjętą, że kapitan podejmuje gości w swojej kabinie.  
— Tym bardziej będę zaszczycona. A więc po kolacji? Do widzenia, kapitanie.  
— Do widzenia, droga pani... — Ebbs znowu głośno wysiąkał nos, a kiedy podniósł wzrok, pani Judd już wyszła.

## 17

— Twarde jak dęby są nasze statki — śpiewał brygadier Broster z pasją, jakby wołał o obiad. — Twardzi jak dęby są nasi ludzie, zawsze jesteśmy gotowi! Twardo stać, chłopcy, twardo! Będziemy walczyć i zwyciężać znowu i znowu! zno-wu i znowu! zno-wu i... znowu!

Skłonił się. Audytorium oklaskami wyraziło swą ulgę.

Działo się to w tydzień później. Było chłodniej. Przyjazne ryby latające już nie tak często tańczyły pod dziobem „Charlemagne”, a program życia towarzyskiego zbliżał się ku punktowii kulminacyjnemu, jakim miał być koncert statkowy. Brygadier Broster wywalczył to, że zosił impresariem i ułożył program, niczym na popołudniowe przedstawienie w „Palladium”, z samym sobą w roli głównej. Po pół tuzinie pasażerów, którzy jeden po drugim na krótko zajmowali podium wzniesione przez bosmana na pokładzie łodziowym, Broster twardo stanął na tle dekoracji z różnych flag, żeby swoim popisem zakończyć występy.

Pokazał już sztuczkę z trzema kartami, wyrecytował „Boots”\*, powiedział kilka anegdotek o Irlandczykach i Szkołach, ugotowane na twardo jajko zmienił w kulę bilardową, naśladował głosy ptaków, odśpiewał „What Shall We Do with the Drunken Sailor?”\*\* i zgodnie z programem, przed kapitulacją wobec hymnu narodowego, miał jeszcze zaprodukować „A Wandering Minstrel I”\*\*\* i „Rule Britannia”.

Pani Judd siedząca w pierwszym rzędzie krzeseł obok Ebbsa dotknęła jego ręki i wyszeptwała:

— Jak myślisz, możemy uciec?

Ebbs przytaknął skinieniem głowy. Z poczuciem winy wymknęli się ze swoich miejsc, podczas kiedy Broster hałaśliwie aranżował gardło do następnej pieśni.

— Wolę rozmowę z tobą, William — powiedziała uśmiechając się do niego, kiedy cicho szli w stronę dziobu po opustoszałym pokładzie. — O wiele bardziej;].

— Droga Edith — poważnie powiedział Ebbs. — Jakżeż bardzo czuję to samo. — Hałaśliwie wysiąkał nos.

W ciągu minionych kilku dni Ebbs przeżywał orzeźwiający sztorm uczuciowy. W czasie upałów statek jest wspaniałym inkubatorem zażyłości i w ciągu godziny, od chwili gdy po raz pierwszy ulokowała się z kieliszkiem zielonego likieru „Chartreuse” w jego kabinie,

\* „Boots, Boots, Marching Boots” — angielski poemat o wojsku bardzo często recytowany: „Buty, buty, maszerujące buty...”

\*\* „What Shall We Do...” — „Co mamy począć z pijanym żeglarzem?”, popularna piosenka marynarska z XIX w.

\*\*\* „A Wandering Minstrel I” — Ja wędrowny minstrel”, popularna pieśń angielska.

pani Judd wyjawiała, że ma na imię Edith, że jest wdową, że jej mąż uprawiał tytoń w Rodezji, że jedzie zamieszkać w Sydney u siostry, której nie widziała od piętnastu lat, że lubi sealyhamy\* i długie spacery, nie znosi bananów, woli mroźną pogodę, ale pada ofiarą odmrożeń, uważa, że T. S. Eliot\*\* jest wstrząsający. W tym samym czasie odkryła, że Ebbs przepada za biszkoptami w winie z kremem, nie znosi nietoperzy, miał brata, co źle skończył w Kanadzie, i że chciałby wynaleźć jakiś sposób, żeby w morzu białe kołnierzyki starczały na dłużej.

Następnego dnia Ebbs zdumiewał się, jak często przypadek stykał ich ze sobą. Kiedy by się nie pojawił na pokładzie, to albo potykał się o jej leżak, albo trafiał na nią, jak oparta o reling wdychała świeże powietrze koło jego kabiny. Najbliższej nocy dowiedział się, że męża poślubiła w tydzień po poznaniu, ostatnio obchodziła trzydzieste drugie urodziny, zimą sypiała w skarpetkach, mając dwanaście lat przeszła operację wyrostka robaczkowego, uważa Ebbsa za najbardziej sympatycznego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkała, i latem nosi pończochy zrolowane pod kolana. Równocześnie dowiedziała się, że Ebbsowi wrastają paznokcie u nóg, że raz był prawie zaręczony z Nowozelandką, która rzuciła go dla rzeźnika z Auckland, w tropiku odczuwa depresję, ją uważa za najmiłą kobietę świata, kiedyś grywał na flecie i nie znosi cebuli.

—■ To okropne, że tak szybko musimy się rozstać — westchnęła. Stali oparci o reling w miejscu, gdzie Priscilla rzuciła w Ebbsa mi-  
nią. Z rufy dobiegały słabe odgłosy dźwię-

\* Sealyham — odmiana białych szkockich terrierów.

\*\* T. S. Eliot — znany anglo-amer. poeta i dramaturg.



ków będących zamachem na Gilberta i Sullivana\*.

— Wierzę, że nie na zawsze, kochanie — rzekł tęsknie Ebbs. — Przecież koniec podróży nie jest końcem świata.

Przez chwilę przyglądała się delikatnym zmianom odcieni barw prezentowanym przez horyzont.

— Drogi Williamie — ujęła jego dłoń. — Ale co z twoją żoną i rodziną?

— Ach, moja żona i rodzina...

— Zawsze robisz się taki... taki smutny, kiedy o nich mówisz.

— Naprawdę?

— Tak. Zawsze. Czy są... wyibacz, Williamie, to naprawdę nieładnie z mojej strony i wiem, że to nie są moje sprawy... ale czy są jakieś... trudności?

Elbbs wzruszył ramionami. — Można by powiedzieć... tylko do pewnego stopnia.

— Na fotografii wygląda uroczo.

— Tak uważasz?

— Tak. I dzieci. Przypuszczam, że powitanie w domu po tak długim pobycie na morzu musi być wspaniałe.

— Och, wspaniałe.

— Dzieci są podobne do niej czy do ciebie?

— Zauważyłaś tę fosforescencję wody? Dziwnie wyraźna jak na tę szerokość.

Znowu westchnęła. — Myślę, że małżeństwo z marynarzem to sprawa rozdzierająca serca. Czasami żona musi ci się wydawać całkiem obca.

— Całkiem obca...

— No a potem, kiedy jesteś w podróży...

\* W. S. Gilbert i A. S. Sullivan — spółka angielskich kompozytorów oper komicznych z ostatniej ćwierci XIX w., m. in. bardzo znanej „Mikado” i „Piraci z Penzance”.

mężczyźni tacy jak ty są atrakcyjni dla kobiet.

— Ależ, ależ! — protestował Ebbs.

— To prawda. Mówię serio. Mógłbyś zdobyć serce każdej kobiety na statku. A ty wybrałeś mnie — powiedziała; z głęboką satysfakcją.

— Myślisz, że ktoś mógł zwrócić na to uwagę? — spytał, zdjęty nagłym strachem.

— Och, nie. Skądże.

— Nienawidzę, kiedy o mnie plotkują. A moje stanowisko...

— Powiedz mi wszystko o swojej rodzinie — odezwała się miękko. — I o swoich kłopotach.

Przez sekundę tropikalna bryza delikatnie szeleszcząca jej suknią kusiła Ebbsa do wyznania prawdy o fotografii Burtweeda, ale czająca się w podświadomości marynarska ostrożność, chroniąca statki płynące we mgle po nieznanym prądach, kazała mu odpowiedzieć: — To doprawdy temat mało ciekawy. — Brawa z drugiego końca pokładu dały znak, że Broster skończył. — Może byśmy wrócili? Zdaje się, że powinienem postawić wykonawcom po kieliszku.

— Ale potem wypijemy coś na dobranoc?

Pogłaskał jej rękę. — Oczywiście, Edith.

— Wspaniale. Dokończę cerowania twoich skarpetek.

Ebbs był nieskomplikowanym człowiekiem, po rozczarowaniu z powodu aucklandzkiego rzeźnika nie mającym już żadnej sercowej przygody, ufającym, że jego romans zostanie zignorowany przez pasażerów. Tymczasem szanse na niezauważenie mieli takie same jak zielono nakrapiany wąż morski, gdyby się wynurzył spod dziobu po lewej burcie. Ebbs paradował po pokładzie tryskając szczodrze uś-

miechami, jak bosman wodą morską z węża do polewania przy codziennym porannym sprzątanu pokładów, a w salonie przy stole forsował rozmowę niby dziarski wychowawca w internacie podczas pierwszej kolacji w nowym semestrze. Głaskał dzieci po głowach, pomagał starszym paniom wstawać z leżaków, a nawet postawił się brygadierowi Brosterowi, podczas gdy statkowe plotki każdego ranka ostrymi językami rozgrzebywały jego cechy charakteru. Dla oficerów pani Judd była wiosennym słońcem niosącym odwilż. Kapitan w dobrym humorze potrafił najgorszego trampa zamienić w ciepłe ognisko domowe, a zakochany kapitan działał na załogę jak podwyżka pensji. Ebbs zaczął jowialnie poklepywać oficerów po plecach, zapomniał o ołówkach w kabinie nawigacyjnej. Jayowi poradził, żeby nie przeceniał swych sił, a nawet opowiadał dowcipy na mostku. W krótkim czasie „Charlemagne” stał się najszcześniejszym z pływających statków.

Tylko jeden członek załogi był niezadowolony.

— Ta pani Judd to czarująca kobieta — następnego dnia po koncercie oświadczył Ebbs pogodnie Burtweedowi przy śniadaniu.

— Tak jest, panie kapitanie. — Markotnie zbierał brudną bieliznę Ebbsa w codzienne zawiniątko.

— Nadzwyczaj rozsądna osoba — ciągnął wbijając widelec w połówkę smażonej nerki. — Szczera i otwarta. Nie taka jak inne.

— Nie taka, panie kapitanie.

— I co za wspaniała z niej pomoc na statku. W rozwiązywaniu problemów wszelkiego rodzaju — wyliczał podkreślając ruchem noża. — Na przykład, jak rozdzielać nagrody na dziecięcych zabawach. Co powiedzieć tej nieznośnej

kobiecie, której córka zadała się z jakimś Ro-meem turystycznej klasy. Jak uspokoić baby mójwiące, że woda na statku rujnuje im włosy i bielizną. Co więcej, zupełnie wykurowała mnie z tej choleryjnej wysypki. Nieoceniona! Wprost nieoceniona — mówił dalej, wracając do śniadania. — Żałuję tylko, że nie poznałem jej o wiele wcześniej w tej podróży.

— Tak jest, panie kapitanie.

Ebbs raptownie podniósł wzrok. — Burtweed — powiedział — czy z waszego tonu mam wnosić, że nie zgadzacie się ze mną?

— Tak jest, panie kapitanie.

Ebbs powoli przekroił serdelka. — I dla-czegóż to, proszę?

— Och, panie kapitanie — Burtweed upuścił bieliznę i stał przed nim ze splecionymi palcami. — Och, panie kapitanie. Nie chciałbym być świadkiem tego, jak pan wpadnie.

— Człowieku, co to ma znaczyć?

— Ach, panie kapitanie, proszę mi wyba-czyć. Mówię ze szczerego serca. Niejeden ka-pitan dał się nabrać zaraz w pierwszej podró-ży, zanim poznał wszystkie sztuczki.

— Burtweed, gadacie nonsensy. Ta pani jest tylko miłą towarzyszką.

— Nie mówię ani jednego złego słowa na nią, panie kapitanie. Ani słowa. Ale teraz ona dba o pańskie skarpetki i ubrania. I sprząta kabinę...

— Ot, kobieca ręka, Burtweed.

— Ale to moja robota, panie kapitanie. Pan jest moim kapitanem, a nie tej pani.

— Na litość boską, Burtweed. Jesteście za-zdrosny!

— A poza tym, panie kapitanie... czy to wy-pa da?

— Wypada? Mój dobry człowieku — po-

wiedział Ebbs z powagą — tu nie ma nawet cienia czegoś niestosownego...

— Jako człowiek żonaty, panie kapitanie!

— Ale ja nie jestem żonaty, do cholery!

— Tak jest, panie kapitanie. Ale jej pan powiedział, że pan jest- A to wychodzi na to samo.

— Burtweed, stajecie się niemożliwi.

— Mam swoje zasady, panie kapitanie — rzekł Burtweed z godnością.

— Zachowajcie je dla siebie. Ach, pan Shawe-Wilson — wykrzyknął Ebbs, kiedy starszy oficer pojawił się w drzwiach. — Dzień dobry panu. Dzień dobry. Wyjątkowo wspaniały dzień, co? Wygląda pan nadzwyczaj świeżo. Pływał pan przed śniadaniem? Świetnie, świetnie. W czym mogę panu dzisiaj pomóc?

## 18

Później tego samego popołudnia Prittlewell wystawił głowę z drzwi swego biura wychodzących na hall i palcem wskazał na jednego z posłańców hotelowych, spędzających dni na siedzeniu na ławce i szczypaniu się w poślądki. — Hej, ty tam! Idź i sprowadź mi barmana. I powiedz mu, żeby się szybko ruszał.

Wypolerował monokl, po czym patrzył na ciżbę pasażerów popychających się przed statkową tablicą ogłoszeń. Wszyscy taszczyli zwoje kolorowych materiałów, rolki karbowanej bibuły, pęki papierowych kapeluszy, jako że nadszedł dzień statkowego balu kostiumowego. Tej nocy miała być zabawa i baloniki, pamiątki i nagrody, ostatni łyk wolnocłowego dżynu, ostatni wybuch statkowego koleżeństwa, ostatnie pocałunki zakochanych przy świetle księ-

życa; podróż dobiegała już prawie końca; okręcone sznurami kufry stały w korytarzach wśród kabinowego śmiecia: programów tanecznych, kart menu, losów loteryjnych, biletów wyjściowych i nie wykorzystanych bonów na wino porzuconych jak uczniowskie skarby zdewaluowane nadejściem wakacji. Następny dzień zostanie poświęcony na pospieszne pakowanie i zakończy się spokojnie smutkiem oficjalnego „diner d'adieu”, po czym wielu pasażerów zostanie wysadzonych na nie troskający się już o nich brzeg Fremantle, pozostawiając resztę, żeby straszyla na opustoszałym, pozbawionym radości statku aż do Melbourne i Sydney.

— Ależ to trwało! — warknął Prittlewell, kiedy Scottie się zjawił. — Nie mam czasu marnować całego dnia.

— Bardzo przepraszam, panie intendentie — pokornie odparł Scottie.

— Spodziewam się. Jeden z pasażerów, dokładnie brygadier Broster, skarżył się, że zachowaliście się bezczelnie wobec niego. Co macie do powiedzenia na ten temat?

— Bardzo, bardzo przepraszam, panie intendentie.

Wielu pasażerów z zadowoleniem patrzyło, jak prażył barmana rumieniec w ogniu surowego spojrzenia Prittlewella.

— Nie dość, że byliście bezczelni, to jeszcze pomyliliście się przy mieszaniu jego „White Lady”.

— To się już nie powtórzy, panie intendentie.

— Lepiej, żeby się nie powtórzyło — głośno ciągnął Prittlewell. — Poza tym powiedział mi, że podejrzewa was o nienalewanie pełnej miarki.

— Nigdy, panie intendentie. Nigdy — Scottie był przerażony. — Jestem uczciwym człowie-

kiem, panie intendencie, wszyscy w Linii o tym wiedzą. Prędzej bym umarł, niż podał niepełną miarkę.

— Wejdźcie do środka — rozkazał Prittlewell. — Musimy jeszcze o tym porozmawiać.

Scottie wszedł do biura, położył nogi na biurku, rozpiął wysoki biały kołnierz bluzy, wyciągnął starą fajkę z kieszeni spodni i zaczął ją nabijać tytoniem z puszki Prittlewella.

— No, Herbie — powiedział kiedy Prittlewell zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku, — Zdaje się, chłopcze, że w tej podróży jeszcze nie mieliśmy czasu na pogwarke.

— Wiesz, jak to jest, Jim — przeraszająco rzekł Prittlewell. — Ten żyła tam na górze — podniesionym kciukiem wskazał w stronę mostku. — Najlepiej trzymać się starego wypróbowanego sposobu.

— Och, co do tego, to masz rację Herbie. Jak zwykle — Scottie zapalił fajkę. — Miałeś coś od żony w Adenie?

— Parę słów. Pisała, że twoja pani przywiozła jej ładny kawał bekonu. Serdeczne dzięki, Jim.

— Nie ma za co, Herbie. Przecież w końcu po to jesteśmy na ziemi, żeby sobie pomagać, no nie? Jak tam hotel?

— Nie narzekam, Jim. A jak farma?

— W porządku.

— No to łyknijmy kropelkę szfeockiej — powiedział Prittlewell podchodząc do szafki. Mrugnął. — To nie to, co podajemy gościom, he?

Kiedy obaj wygodnie usiedli ze szklaneczkami, Scottie zapytał: — Jak tam wyglądamy w tej podróży?

Prittlewell kluczykiem otworzył szufladkę w swoim biurku i wyjął małą czerwoną książkę kasową. — Tutaj -eą przychody odprowadzane

do Kampanii według stanu zapasów trunków — wyjaśnił wskazując palcem liczby. — A tutaj jest gotówka, jaką zainkasowałeś w barze. To nam wypadnie... no, jakieś z tysiąc funciaków na łeb.

Scottie z namysłem przytaknął skinieniem głowy. — Zdaje mi się, że chyba mogło być lepiej. Obiecałem żonie nowe futro z tej podróży.

Prittwell zgodził się z tym.

— W tych czasach ciężko zarobić na kawałek chleba — zauważył Scottie. — Na dna miarki nakładałem tyle, na ile starczyło mi odwagi. Pcham tyle lodu, że do szklanki prawie nie da się nalać trunku. Miałem tę całą awanturę z wodą „Vichy”...

Prittwell uśmiechnął się szeroko. — Aleś to porządnie zawalił, Jim.

— Skąd mogłem wiedzieć, że ktoś mnie przyuważy przy kranie z wodą? Chyba trzeba było dać więcej gorzkiej soli. Starzeję się, Herbie, ot co. Tracę dawny dryg — ze smutkiem potrząsnął głową. — Chwilami wydaje mi się, że już chyba nadchodzi czas, żeby się wycofać na łód i zacząć płacić podatek dochodowy, jak każdy inny.

— Idźże, Jim. Ciągłe jeszcze jesteś jednym z najlepszych w tej grze. — Prittwell serdecznie poklepał go po ramieniu. — Ja ci to mówię. A dziś w nocy doprowadzę do tego, że będą pili szampana.

— Och, no to byłoby coś! — Scottie z namysłem upychał tytoń w fajce. — Już od lat nie brałem udziału w starej zabawie z szampanem.

— Zostaw to mnie, Jim — powiedział Prittwell i puknął się palcem w nos.

— A jak ze starym? — spytał Scottie wskazując ku niebu.



— Jego też zostaw mnie — z pewnością siebie powiedział Prittlewell.

Tymczasem obiekt ich obaw stał w podkoszulku na środku swojej kabiny, mówiąc do Burtweeda: — Chodźcie! Zatańczymy!

Burtweed się wahał.

— Szybciej, człowieku. To sprawa, do której trzeba podchodzić jak najbardziej serio.

— Och, panie kapitanie! — Burtweed ścierkę do kurzu wsadził w kieszeń spodni i niechętnie wsunął się w objęcia Ebbsa.

•7- Będziecie panią, Burtweed.

— Tak jest.

— W porządku. Zaczynamy. Chwileczkę... — Ebbs spojrzął do książki trzymanej w ręce i ze strony gęsto zadeptanej widmowymi śladami stóp głośno przeczytał: „Pan zaczyna z lewej nogi przenosząc ciężar ciała nieco do przodu i równo wysuwając stopę całą powierzchnią podeszwy”. Rozumiecie to, Burtweed?

Ebbs nie tańczył i zwykle unikał kwadratu co noc rysowanego kredą na pokładzie łodziowym „Charlemagne”, ale Edith Judd powiedziała mu po śniadaniu, że chce z nim zatańczyć pierwszego walca.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Zaczniemy, jak dam sygnał. To zupełnie proste. Gotów? Raz, dwa, trzy... jazda!

Szczepieni, machając ramionami jak cepami, zawirowali po kabinie niby oszalała młocarnia.

— Raz... dwa... trzy, raz... dwa... trzy, raz... dwa... trzy! — grzmiał Ebbs. — Szybciej, człowieku! Szybciej!

— Uwaga, panie kapitanie! Uwaga na stół!

— Nie ma czasu na strachy! — Stół ciężko runął na podłogę, pociągając za sobą różowozłotą stojącą lampę, która z trzaskiem upadła

ha jeden z zegarów. — Raz... dwa... trzy, raz... dwa... trzy...

— Ostrożnie, panie kapitanie! Moja noga!

— Zabierzcie mi ją z drogi, człowieku! Przyłóżcie się! Raz... dwa... trzy, raz... dwa... trzy...

— Biurko, panie kapitanie! Uwaga!...

— Nie w tę stronę, idioto! Krok, człowieku, trzymajcie krok! Raz... dwa...

Burtweed stanął i zawył. Ebbs zmiądzzył mu jeden z palców u nogi.

— Może to jednak jest trudniejsze, niż się zdaje — pogodnie przyznał Ebbs ocierając czoło. — Powiedzieliście, że skąd macie tę książkę?

— Od kucharza, panie kapitanie. — Purtweed patrzył nań z wyrzutem, pieśczośliwie masując stopę.

— No, muszę przyznać, że wykazuje wielkie zdolności. Trudniej się w tym połapać niż w „Locji Kanału”. Ale trzeba wytrwać. Burtweed, gotowy?

— Och, panie kapitanie! Chyba nie znowu?

— Oczywiście. To był walc, a teraz musimy się nauczyć slow-foxa. Tym razem możecie być panem. Ręka idzie na krzyż, tak. Ach, dzień dobry, intendencie — powiedział szybko odsuwając Burtweeda na bok. — Czym mogę panu służyć?

— Przyszedłem podyskutować na temat przygotowań do dzisiejszego wieczoru, panie kapitanie. — Prittlewell był znowu gładkim oceanicznym arystokratą.

— Kapitalny pomysł. Możecie odejść, Burtweed ■— rzucił Ebbs w ślad za przesadnie kulającym „tygrysem”. — Dziwne, że już prawie po podróży — rozpromieniony ciągnął do intendenta. — Iw dodatku to była naprawdę wspaniała podróż! Muszę przyznać, że na po-

czątku miałem trudności, ale ad wyjścia z Adenu wszystko *stało* się jakoś łatwiejsze. Intendencie, nie uważa pan, że... zapewniam pana, że nie szukam pochlebstw ani pustych komplementów... ale jako całość... czy nie uważa pan, że nie byłem takim znowu najgorszym kapitanem?

— Ależ oczywiście, panie kapitanie! Wielką przyjemnością było służyć pod pańskimi rozkazami.

— Dziękuję, intendencie, dziękuję.

— I mam nadzieję, że tak będzie przez wiele lat.

— Ja również mam tę nadzieję.

— To bardzo uprzejmie ze strony pana kapitana. W gruncie rzeczy chciałem prosić żeby jako dowód mego szacunku zechciał pan przyjąć szampana dla pańskiego stołu do dzisiejszej kolacji.

— Oich, ależ, ależ...

— Tym chętniej ofiarowuję go panu, że pozostaje nie tknięty na statku.

— Chce pan przez to powiedzieć, że nikt nie pije szampana?

— Absolutnie nikt, panie kapitanie. Wydaje się, że w tej podróży pasażerowie stracili na niego chęć.

— Psialkość! — ciepło powiedział Ebbs. — Niech pan to zostawi... Już ja im powiem, jaki świetny szampan mamy na statku, i podczas tańców będą go zamawiali tuzinami.

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, panie kapitanie.

— Z przyjemnością, z przyjemnością. — Na dole zabrzmiał gong. — Co, już obiad? Jak ten czas leci. Lepiej niech pan przyjdzie jeszcze przed kolacją. Będę spał całe popołudnie.

— Obawiam się, że nie, panie kapitanie. Dziś mamy tę herbatkę dla dzieci.

— Ach, herbatka u dzieci. — Pojedyncza ciemna chmurka przysłoniła słońce na niebie Ebbsa. — I ja naprawdę muszę iść?

•— Nie wydaje mi się, panie kapitanie, żeby w innym wypadku Lady McWhirrey była zadowolona.

— Dobrze. Może któraś z pasażerek... pani Judd siedząca przy moim stole, mogłaby mi asystować. O której mam się tam zjawić?

— O trzeciej, panie kapitanie. Dzieci bardzo się interesują kapitanem. Zwykle obdarowują go bukietem kwiatów czy czymś w tym guście.

— Czarujące, czarujące. No, muszę iść na obiad.

— Może pan kapitan wpierw włoży kosz-

— Och, Boże, tak! Dziwna rzecz, jaki w ostatnich dniach zrobiłem się roztargniony. Nie rozumiem tego.

Ale pani Judd uparła się, że tego popołudnia musi umyć włosy i Ebbs musiał się z tym pogodzić, że na herbatkę pójdzie sam.

## 19

Uczucie życzliwości przepelniało Ebbsa, kiedy zbliżał się do drzwi jadalni dziecięcej. Zwykle dzieciom nie dowierzał, ale jego obecny stan emocjonalny przystrajał go w czerwoną opończę i białą brodę Świętego Mikołaja. Zdecydował się, że pogłaska parę głów w pobliżu, rozda trochę drobnych srebrnych monet, specjalnie na tę okazję przygotowanych i brzęczących w kieszeni, powitalny bukiet przyjmie z kilku jednozgłoskowymi słowami, po czym wyjdzie kontynuować popołudniową drzemkę.

Kiedy wyciągnął rękę do klamki, przebiegi go dreszcz zniechęcenia. Zza drzwi dochodziły odgłosy przypominające bijatykę w kubryku „Martina Luthera”.

Pole Star Linę była dumna ze swej opieki nad dziećmi, którą bezpośrednio z Londynu kierowała osobiście Lady McWhirrey. Dzieci miały własnego kucharza, własną jadalnię, udekorowaną jaskrawymi, kulfoniastymi zwierzakami, wiele pokoi dzieciennych, pełnych zadowolająco łatwych do zepsucia zabawek i ocieniony wybieg na pokładzie, gdzie można je było spokojnie zostawić, kiedy rodzice chcieli pójść na zabawę. Opiekę nad dziećmi i ich wyżywieniem sprawowała matka Okrętowa, mająca do pomocy pół tuzina najwytrzymalszych i najwięcej kłopotu sprawiających stewardów. Prittlewell wyznaczał ich na to stanowisko, stawiając wobec alternatywy bardziej dotkliwej i nieprzyjemnej kary. Od Tilbury do Fremantle dzieci prawie nieprzerwanie miały herbatki i podobne rozrywki, ale szczerze odpłacały się Linii za jej wysiłki, z pasażerów tylko one znajdowały w każdym dniu nową przyjemność i codziennie wieczorem dodawały do swych paciorków cichutko wyszeptowaną prośbę, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła.

Kiedy Ebbs otworzył drzwi, cały gwar zabawy, jak sztorm, uderzył w niego. Jadalnia była pełna wróżek, balerin, kowbojów, pierrotów, pań Pompadour, chochlików, krzyczących i mocno przepychających się łokciami do stert jadła na długim stole. Młodszy i bardziej nieśmiały byli odpychani na bok mimo pisków protestu. Jeśli mały gość dostrzegł młodszego ze smaczniejszym kąskiem, zaraz mu go wyrywał. Starsze dzieci w pobliżu drzwi zawarły, bardziej dla nich korzystny rozejm i jadły

bez przerwy, nie zwracając uwagi na sąsiadów; najmłodsze, w drugim końcu jadalni, uważały jedzenie tylko za coś marginesowego, wobec przyjemności rozsmarowywania pokarmów po ścianach, stewardach, innych dzieciach i sobie samych; dzieci w środku wyrażały konflikt między tymi dwoma wzorcami zachowania się.

— Rany boskie, coś takiego! — wykrzyknął Ebbs.

— Kapitan! — zawołała matka okrętowa. Była to różowa, siwowłosa kobieta o figurze podobnej do pęku baloników. — Uwaga, dzieci! — klasnęła energicznie. — Kapitan, dzieci! Chodźcie tu! Raymond! Zaraz zdejmę z głowy tę salaterkę z galaretką, to bardzo niegrzecznie. To jest kapitan! Powiedzcie kapitanowi „dzień dobry“! Dzieci, głośne „dzień dobry“ dla kapitana! Mary! Przestań w tej chwili. To bardzo brzydko... Głośny okrzyk, no... raz, dwa, trzy...

Ze wszystkich ust wydarł się ryk powitania przytłumiony przeżuwanym pokarmem.

Eibbs. wysiakał nos. — Ach... dzień dobry, dzieci — powiedział, jakby komunikował niesłychanie ważną wiadomość.

— ■ Jak ja się cieszę, że pan kapitan przyszedł! — powiedziała matka Okrętowa promienniejąc. — Te kochane maleństwa tak ogromnie cenią pana kapitana. Czy nie bawią się wspólnie? — Oczy jej błyszczały. — Człowiekowi dobrze się robi na sercu, kiedy na to patrzy. Prawda, panie kapitanie? Za żadne skarby świata nie opuściłabym dziecięcej zabawy. Czy mogę, teraz pana oprowadzić?

— A jest absolutnie konieczne? — szeptem spytał Ebbs. Ponieważ w tej chwili dzieci zupełnie nie zwracały na niego uwagi, a powróciły do szturmowania jedzenia i kolegów, zaświtała mu szansa ucieczki.

■— Dzieci byłyby ogromnie zawiedzione, panie kapitanie.

— No dobrze — rzekł Ebbs. — Coś mi się wydaje, że to należy do moich obowiązków.

— To jest Terence — zaczęła z ożywieniem, rozpoczynając od bladego dziecka udekorowanego ozdobnymi wąsami wymalowanymi palonym korkiem. — Terence, powiedz panu kapitanowi „dzień dobry”.

Terence niesłychanie wrogo spojrzął na Ebbsa.

— Ależ, Terence — gderiała. — Nie zjadłeś tych pysznych lodów. Jesteś nieposłusznym chłopcem.

— Nie lubię!

— Chodź tu zaraz! Zjedz, jak mały, grzeczny chłopczyk.

— To wstrętne!

— Nonsens! To wcale nie jest wstrętne. Wcale. Prawda, panie kapitanie?

— Wcale — wymruczał Ebbs z poczucia obowiązku.

— Patrz — powiedziała, chwytając ze stołu dużą łyżkę. — Kapitan to zje. Prawda, panie kapitanie?

Nabrała z talerzyka roztopionych różowych lodów i podała Ebbsowi, który powoli otworzył usta i połknął.

— Pyszne — powiedział ponuro, starając się ukazać dziecku na swej twarzy widok zdumionego uznania. — Mniam, mniam.

— Widzisz, Terence? Kapitanowi lody bardzo smakują. To jest Harriet — ciągnęła obracając go w stronę małej, chorowitej królowej wróżek. — Harriet, co się mówi kapitanowi?

Harriet obdarzyła Ebbsa długim spojrzeniem i wybuchnęła płaczem.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Ebbs. —

Przecież chyba nie przestraszyłem tego dziecka?

— O nie, ona zawsze płacze — matka okrętowa wydobyła „doświadczoną” chusteczkę. — Płacze prawie bez przerwy od wyjazdu z Londynu. Harriet, a tym razem dlaczego?

— Nie lubię galaretki — szlochała Harriet.  
— Przecież to świetna galaretka, Harriet! Prawda, panie kapitanie?

Bbbs pomocnie przytaknął.

— Popatrz, Harriet — wzięła łyżeczkę dziewczynki. — Popatrz na kapitana. On lubi galaretkę. Prawda, panie kapitanie?

Bbbs połknął pomarańczową galaretkę jak rycynę.

— No widzisz? — matka okrętowa z tryumfem odłożyła łyżeczkę. — Mówiłam ci, że to świetna galaretka. Zaraz papusiaj, bo inaczej kapitan zje ci wszystko. To jest Robert — ciągnęła docierając do małego chłopca w sombrero i ostrogach, uzbrojonego w rewolwery na każdym biodrze i dodatkowy na brzuchu. — Robert, czemu nie dokończyłeś bułki z kielbasą?

— Chyba muszę już wracać na mostek... — zaczął Ebbs.

— Niech pan jeszcze chwilkę zostanie! Te kochane maleństwa tak się cieszą, że pan jest z nimi.

— Chcem banana! — wrzasnął Robert.

Matka okrętowa pogroziła mu palcem. — No, no, Robert! Nie dostaniesz banana, dopóki nie skończysz bułki z kielbasą.

— Chcem banana!

— Zjedz bułkę z kielbasą jak grzeczny chłopczyk albo się naprawdę pogniewam. Kapitan też.

— Chcem banana!

— Ale bułka z kielbasą jest świetna. W ka-



żdym razie kapitanowi smakuje. Prawda, panie kapitanie? Patrz, Robert... zobacz, jak kapitanowi smakuje twoja pyszna bułka z kiełbasą.

— Chcem banana! — nalegał Robert.

Po przełknięciu całych porcji migdałowej galaretki, kanapek z sardynkami, mandarynek, lodów czekoladowych, sera topionego i ciastek orzechowych Ebbs odezwał się: — Proszę pani, może byśmy tak zaczęli coś innego? Zaczyna mi się robić trochę niedobrze.

— Oczywiście, panie kapitanie. Teraz zabawimy się w jakąś grę. One uwielbiają gry, panie kapitanie. — Zaklaskała w dłonie. — Uwaga, dzieci! Pospieszcie się i kończcie. Kapitan chce się bawić.

Dzieci obżarte do stanu mdłości, rwącym potokiem odpłynęły od stołów i wyczekująco otoczyły Ebbsa.

— Dzieci, w co będziemy się bawili? — spytała matka okrętowa.

Natychmiast wybuchła wrzawa.

— W grające krzesła!

— Listonosza!

— Wianek róż!

— Szpiega!

— Strojenie min!

— Policjantów i złodziei!

— Cicho, dzieci! — zawołała. — Nie mówcie wszystkie na raz. Ernest, zetrzyj ten biszkopt z buzi. Zabawimy się w ciuciubabkę. Kapitan będzie ciuciubabką.

— Nie chcę! — powiedział Ebbs.

— Dobrze. To zabawimy się w pomarańcze i cytryny. Kapitanie, niech pan trzyma ręce. Dzieci, zaczynamy! Już, ustawcie się! Rosemary, puść tego chłopczyka, to go boli... Pan kapitan gotowy? Raz, dwa, trzy... „Pomarańczki,

cytryneczki! Wołały świętego Klemensa dzwoneczki..."

Matka okrętowa była w swoim żywiole, odziewając pary chichoczących malców, a Ebbs pogrążył się w smutku. Przypomnił sobie swoją morską karierę od chwili, kiedy po raz pierwszy, jako niewinny, wyrośnięty chłopak, rozwiesił hamak na „Worcesterze”. Widział siebie wchodzącego na pokład pierwszego statku: niezgrabnego praktykanta w nieznośnie no-



wym mundurze; dwuletnią podróż na Daleki Wschód na przegniłym trampie, z karaluchami jako towarzyszami łoża. Potem pracę nad dyplomem oficerskim, zmagania z książkami w kabinie i bezlitosnym kapitanem na mostku, później następne miesiące na lądzie, w wynajętym lodowatym pokoju, pełne obawy, że obleje egzamin na kapitana. Zaraz potem woj-

nę, z każdą minutą mogącą kryć w sobie torpedę. Nie kończące się, przemarznięte wachty na trzęsącym się mostku i ciepłą koję, z rozpaczą opuszczaną o północy; wyciskające poty postoje w portach Wschodu, gdzie nie było czym oddychać: mgły w kanale La Manche i góry lodowe na Atlantyku; stos nagromadzonych trudów, po którym wspiął się do obecnego zadania — zabawy z dziećmi w pomarańcze i cytryny.

Rozmyślenia przerwało jakieś dziecko zrywające mu czapkę.

— Oddaj to! — krzyknął Bbbs.

— Ty niegrzeczny, nieznośny chłopaku! — wołała matka okrętowa. — Co za nieznośne chłopaczysko! W tej chwili oddaj kapelusz kapitanowi!

Czapka Ebbsa, z białym tropikalnym pokrowcem i złotymi liśćmi na daszku, podrzucana przez rozradowane dzieci, skakała jak piłka na fali odpływu.

— Oddajcie tę przeklętą czapkę! — wołał nurkując za nią.

— Oddaj, w tej chwili oddaj! — wołała matka okrętowa. — Jeanie... Charlie... Robin! W tej chwili, słyszysz? Kapitan nie chce się więcej bawić!

Zanim Ebbs złapał czapkę, jego biały mundur i spodnie wyglądały jak ręcznik z dzieciennego pokoju. Instynktownie włożył ją na głowę i poczuł, że coś zimnego a lepkiego cieknie mu po karku.

— Idę do swojej kabiny — oświadczył dostojnie. Dzieci zanosząc się śmiechem podskakiwały i klaskały rączkami. Co teraz robi ten śmieszny człowiek?

— Ależ, panie kapitanie! — zawołała matka okrętowa. — Chyba nie wyjdzie pan bez rozdania prezentów?

— Ani mi się śni dawać prezenty tej bandzie chuliganów — powiedział ze złością. — Do widzenia. Czy zdaje sobie pani z tego sprawę, że zrujnowała mi pani (komplet białego munduru? Rachunek za samo czyszczenie będzie spory, a szkody moralne nie dadzą się ocenić.

— ■ Błagam, panie kapitanie — prosiła — niech pan zaczeka na wręczenie. Jestem pewna, że pan to zrobi. Nie może pan wyjść bez wręczenia. Gdzie jest ta dziewczynka, która ma wręczyć kwiaty kapitanowi? No, gdzie jesteś? Dziewczynko! Chodź tu! Pospiesz się! Nie wypada, żeby kapitan czekał.

Mała dziewczynka, z dużą, czerwoną, papierową różą we włosach, ubrana w spódniczkę z trawy i absolutnie przedwczesny staniczek, wystąpiła naprzód trzymając naręcz papierowych kwiatów. Ebbs rozpoznał w niej znajomą Priscillę.

— Ach, tak! — wykrzyknął.

Stała przed nim spokojnie, sDoglądając na swój papierowy dar, potulna i bezbronna jak pierwiosnek.

— Już się kiedyś spotkaliśmy, młoda damo. Nie odezwała się.

— Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką — ciągnął surowo.

— Kochanie, cokolwiek zrobiłaś, powiedz kapitanowi „przepraszam” — nalegała matka okrętowa.

— Przepraszam — wymruczała.

— Twoje zachowanie się było skandaliczne — ■ kontynuował Ebbs.

— Nic na to nie poradzę — powiedziała z pokorą — jestem wyobcowana.

— Lepiej zadaj sobie trochę trudu i postaraj się dopasować. — Wydalo mu się że był może trochę zbyt surowy, dodał więc bardziej pobłażliwie: — Teraz o tym wszystkim

zapomnimy, tak? Skoro przepraszasz, to nie ma powodu, żebyśmy nie byli przyjaciółmi. A na drugi raz nie rzucaj farbą w ludzi. No, zaczynamy ceremonię. Czy te śliczne kwiaty to dla mnie?

Podniosła głowę, żeby spojrzeć na niego. — Kochany panie kapitanie... — rozpoczęła odtworzenie wykutego na blachę przemówienia. Przerwała. Otworzyła i zamknęła usta. Nagle zniknęło jej opanowanie. Powiedziała: — Oooo! — i wymiotowała mu na buty.

## 20

Zabawa dla dorosłych rozpoczęła się o zmierzchu. Przez tydzień pasażerowie szj<sup>li</sup> i kleili kostiumy w dusznej tajemnicy pozamykanych kabin. Sklepek ogołocono z kosmetyków, na ambulatorium statkowe urządzono najazd po temblaki i opaski na oczy, kufry, zapomniane od Tilbury, zostały odkopane w bagażowni przez spoconych marynarzy i każdego pastora na statku zmuszono do opróżnienia pudełka ze sztywnymi kołnierzykami. O cocktailowej godzinie pasażerowie ukradkiem przemykali korytarzem, żeby w palarni zainkasować uznanie dla swej pomysłowości i kunsztu krawieckiego. Na nieszczęście, pomysły nie były oryginalne i cocktaile Scottiego gromadziły całe oddziały policjantów i marynarzy, całe szczepy Beduinów i Zulusów, synody duchowieństwa, żłobki niemowląt i dosyć kucharzy, by wypełnić Connaught Rooms\*.

— Gratuluję. Wszystkim najserdeczniej gratuluję — powiedział Ebbs przy kolacji. Odzy-

\* Connaught Rooms — ogromna sala konferencyjna Brytyjskiej Admiralicji.

skął już spokój i apetyt i promiennym wzrokiem spoglądał na siedzących dookoła bogato udekorowanego stołu. — Niesłychanie artystyczne kostiumy. Wprost wstydzę się swojego munduru.

Z całej podróży ta kolacja była najlepsza i podczas niej nawet Broster okazywał ślady uprzejmości. Brygadier siedział przy stole, zupełnie naturalnie wyglądając w czerwonych, obcisłych spodniach z ogonem Mefista; różowy i kudłaty Bill Coke nie miał na sobie nic oprócz tureckiego ręcznika kąpielowego, spiętego na biodrach, i z niemowlęcej butelki przez smoczek ssał porter; Gwenny splotła blond włosy w warkocze, a swe obfite kształty wbiła w perkal pasterki z chińskiej porcelany; pani Judd nosiła najlepiej skrojony uniform najszczyplejszego ze sterników, jakimi kiedykolwiek Ebbs dowodził; pani Lomax zamieniła się w ciepło zawołowaną Salome. Dancer poza flanelowymi spodniami tenisowymi nie miał nic lepszego do pokazania, a Willy Boast nie pozwolił, by poważną sekwencję jego alkoholicznego wieczoru zakłócały takie bzdury, jak kostiumy maskaradowe. Annette przysłała po prostu w samym staniczku i majteczkach jako Jane\*, a pani Porteous była zakonnicą.

— Co za zebranie! — ciągnął rozanielony Ebbs spoglądając *po* niezwykle hałaśliwych pasażerach, którzy doszli już do stanu wzajemnego obrzucania się orzechami. — Jestem naprawdę zdumiony, że takie talenty...

Przerwał mu radosny strzał korka z butelki, jaki rozległ się za nim.

— Szampan, panie kapitanie — powiedział Burtweed tonem, jakby uroczyście anonsował biskupa.

\* **Jane** — ukochana Tarzana, człowieka-małpy, bohatera serii fantastycznych powieści Burroughsa.

— Psiakość! Woda z gazem! — odezwał się Dancer.

— Sikacz, niech mnie kule biją! — zawołał Bill Cofce.

— Nie do wiary, chichocząca woda! — krzyknęła Gwenny.

— Znam bardzo ciekawą historyjkę o szampanie — rzekł brygadier Broster. — Byłem na wsi u jednego lorda. Zapomniałem nazwiska. To nie był bardzo bogaty lord. Prawdę mówiąc, ten lord był diabelnie biedny. Kiedy byłem u niego, dowiedział się, że dostał trochę grosza, niedużo, jakieś dziesięć czy dwadzieścia tysięcy funtów, coś koło tego, i postanowił to uczcić. Poszedł więc do piwnicy poszukać jakiegoś szampana. My w Anglii — ciągnął łykając połowę zawartości kieliszka — bardzo lubimy szampana. W *naszych* domach mamy go zawsze trochę pod ręką, na urodziny, na Boże Narodzenie i tak dalej. Znalazł tego szampana, butelkę rocznika 19. Otworzył. Bez gazu, jak przegotowana woda! Zwietrzała. Za stara. Otworzył więc butelkę rocznika 20. Też zwietrzała. Tak samo 21, 22, 23 i 24. Wszystkie zwietrzałe. A od 1925 biedaka już nie było stać na szampana. Musieliśmy więc pić whisky z wodą. Zamiast! Okropny wstyd! — dopił kieliszka. — Steward! Jeszcze!

— To od Pole Star Linę wraz z najlepszymi życzeniami — skromnie wyjaśnił Ebbs. — Mam nadzieję, że w ciągu wieczoru państwo zamówicie go więcej.

— Wie pan co, kapitanie? — odezwał się Bill Coke. — Niewątpliwie na tym statku przeżyliśmy najpiękniejsze chwile naszego życia. Prawda, Gwenny? I komu winniśmy za to dziękować? Tylko panu, kapitanie!

— Słuchajcie! Słuchajcie! — solidarnie krzyknęła pani Judd.

— Ależ, ależ...

Dwóch czy trzech pasażerów zaczęło bębnić łyżkami w stół.

— Co za szkoda, że musimy zejść z „Charlemagne”. Narawdę. Cholerna szkoda — ciągnął Bill Coke, pogrążając się nagle w melancholii. — Tylko pomyśleć... za kilka godzin spakujemy walizki, zejdziemy z trapu i rozproszymy się na cztery strony świata. Już nigdy więcej się nie zobaczymy. Gwenny, to prawdziwa rozpacz.

Gwenny szybko wytarła oczy. — Chciałabym... chciałabym, żebyśmy zawsze mogli żyć razem. Zawsze i zawsze.

Pod wpływem szampana i tak upojnych sentymentów cały stół głośnie bił brawo.

— Przyjdźcie do nas i zostańcie z nami w Sydney! — wykrzyknął Bill Coke, wyciągając poprzez stół tłuste, owłosione, różowe ramiona. — Wszyscy! O każdej porze dnia i nocy. Po prostu spytajcie kogokolwiek' w Sydney o Billa Coke. Każdy was zaprowadzi.

— Zostańcie tydzień lub miesiąc! — Podniecona Gwenny przerzuciła warkocze na plecy, tak że wisiały jak rufowe liny cumownicze „Charlemagne”. — Zostańcie rok, jeśli macie ochotę!

— Nas też musicie odwiedzić — zamruczała pani Porteous. — Tego domagam się stanowczo. Wszyscy mamy mnóstwo spraw do omówienia.

— Psiakość! — Dancer zarumienił się i szybkim spojrzeniem obiegnął stół. — Jeżeli w przyszłym roku z powrotem będziecie w Londynie, cieszyłbym się, gdybym mógł kogoś przemocować. Będę zachwycony. Absolutnie zachwycony. Jestem w książce telefonicznej.

— Ile razy będziecie w mieście — zadekla-



rował burki iwie brygadier Broster — będą się cieszył, jak wpadniecie na kolację. Można mnie znaleźć przez „Carlton”\*.

Szkwał pisania adresów uderzył w stół. Irytacje, gniewy, kłótnie, sprzeczki i zazdrości z podróży zawsze toną na przybrzeżnych wodach: w tej chwili pasażerowie naprawdę żalowali, że muszą się rozstać, każdą ozdofoną kartę menu pokrywano autografami, hojnie rozdzielając komplementy.

— Panie i panowie! — zawołał Bill Coke. — Proponuję wznieść toast. Zgadnijcie za kogo? Za faceta, który odstawił cholernie fajną robotę. Za gościa, który jest dżentelmenem w każdym calu, przed którym jestem gotów uchylić kapelusza w każdej chwili. Panie i panowie, zdrowie kapitana!

— Hurra! — krzyczała pani Judd, klaszcząc jak szalona.

—• Kapitanie... — Bill Coke spojrzął na Ebbsa. — Naprawdę nie wiem, co byśmy robili bez pana- — Niespodziewanie stanął na krześle i przez sekundę Ebbs był w strachu, że znowu urządzi jakąś scenę. Ale zaczął tylko gwałtownie machać serwetką nad głową, aż orkiestra w rogu przerwała, zmieniła rytm i zagrała „For He's a Jolly Good Fellow”\*\* — Trzy razy „hurra” dla kapitana! — krzyknął Bill Coke, cały błyszczący od potu. — Trzy „hurra” dla kapitana. Wszyscy! Hip hiip...

Cały salon wstał i wiwatował- Pasażerowie powychodzili na krzesła, paru wdrapało się na stoły, rzucali serpentyny, powiewali papierowymi kapeluszami, tupali, klaskali, gwizdali

\* „Carlton” — jeden z najwytworniejszych hoteli Londynu.

\*\* „For He's a Jolly Good Fellow” — odpowiednik naszego „Sto lat”.

i zaczęli skandować: — Prze-mó-wie-nie! Prze-mó-wie-nie!

Ebbs stał na drżących nogach. Otworzył usta i usiłował coś powiedzieć. W końcu wysiąkał nos. Jego duch, niby latająca rybka, unosił się na jasnych falach szczęścia.

Po kolacji Ebbs otworzył bal.

Było jeszcze dość ciepło, by tańce mogły się odbywać na pokładzie pierwszej klasy, odświętnie udekorowanym flagami i chińskimi lampionami, przedzielonym bufetem i dwumetrowym modelem „Charlemagne” z lukrowanego ciasta. Przy palbie strzelających korków szampana rozpoczęła się zabawa i wkrótce Zulus obejmował kwiaciarkę, ksiądz pokojówkę, uczeń tańczył z konkubiną, a szejk z posługaczką. Młodszy oficerowie ławą ruszyli z położonych na dole swoich kabin, zgodnie z tradycją łamiąc przepis zakazujący im pod karą natychmiastowego zwolnienia z pracy rozmów z pasażerkami na jakikolwiek temat nie związany z natychmiastowym nagłym zagrożeniem bezpieczeństwa statku. Z baru stewardzi wnosili nadmiernie obciążone tace, orkiestra grała z entuzjazmem wprost proporcjonalnym do rekordowej kolekcji przesyłanych jej, a ukrywanych pod pianinem trunków, pasażerowie zaczęli dmuchać w trąbki i krzyczeć, lampiony huśtały się dziko, balony wesoło polatywały nad głowami i pokład zaczął wibrować radością. A dokoła nie było nic, oprócz rekinów.

— Drogi, drogi Williamie — powiedziała pani Judd, kiedy Ebbs gwałtownymi ruchami przepychał ją przez pierwszą rzadką warstwę tańczących. — Co za cudowny wieczór!

— Droga Edith! Wiesz, to chyba jest naprawdę najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Uścisnęła jego ramię. — William, dzisiaj

odniosłeś taki sukces. Jestem strasznie dumna z ciebie.

— Chciałem ci coś powiedzieć — oznajmił, kiedy orkiestra przestała grać. Zdecydował że już najwyższy czas powiedzieć jej o fotografii Burtweeda.

— Naprawdę? Williamie! — spojrzała na niego zaskoczona.

Począs kąpieli przygotował sobie krótkie przemówienie zaczynające się od fotografii i powoli, a ostrożnie zmierzające ku swemu celowi, niby statek płynący wyłącznie na podstawie zliczenia. Ale wygłoszenie go niewątpliwie wymagało samotności, a w miarę możliwości i mroku.

Wysiąkał nos. — Może spróbujemy znaleźć jakiś zaciszny kącik na pokładzie?

Zaczęli kierować się w stronę relingu, a Ebbs promiennie uśmiechał się do pasażerów, jak wikary na udanej zabawie szkolnej. — Wszyscy wyglądają na szczęśliwych — zauważył z zadowoleniem, widząc kanonika Swingle w fezie, strzelającego z baloników przy użyciu zapalonego cygara. — Dzisiejszej nocy na tym statku jest chyba naprawdę niewiele smutnych serc.

Lecz jedno z tych smutnych serc niespokojnie biło właśnie na mostku. Shawe-Wilson stał samotnie oparty o wirującą szybę, z niezadowoleniem spoglądając w kierunku zaciemnionego dziobu. Bardzo rzadko pojawiał się na morzu w tym miejscu uważając, że nudną rutynę nawigacji należy wygodnie pozostawić młodszemu oficerom. Teraz miejsce to stało się jedynym sanktuarium chroniącym go przed panią Porteous.

Cicho kłął pod łagodny wiatr. Tylko do siebie mógł mieć pretensje za gruby błąd w ocenie sytuacji. Uważał ją za kobietę dojrzałą,

potrafiącą romans zapalić i zgasić równie łatwo jak motor samochodu, a tymczasem ta cholerna babka zakochała się w nim. Wytrwale tropiła go po pokładach, nocą bez zaproszenia wślizgiwała się do jego kabiny, skwapliwie wskakiwała za nim do basenu pływackiego, jak pies wytresowany do polowania na wydry. Co gorsza: tylko jego najenergiczniejsze zaklęcia zapobiegły wysłaniu telegramu do męża we Fremantle, żeby na nią nie czekał.

— Zdaje się, że Sitary już zakotwiczył na dzisiejszą noc — z zadowoleniem powiedział Jay ukazując się w drzwiach sterówki z pudełkiem papierosów.

Shawe-Wilson odchrząknął coś.

— Na Boga, chciałbym być na twoim miejscu, chief — Jay ciągnął z ożywieniem. — Na pewno bym tu nie sterczał. Na pewno! — Młodszy oficerowie lubili Shawe-Wilsona za to, że był zbyt leniwy, aby dbać o to, czy robią coś, czy nic. — Zaraz po wachcie byłbym tam na dole, żeby trochę wyprostować nogi. Mogę się założyć! Fajnie wyglądam? — Poobiednią drzemkę poświęcił na zajęcie miejsca w kolejce do oficerskiego żelazka elektrycznego i miał na sobie mundur wyprasowany na sztywno, jak z kartonu, który co chwila skrupulatnie badał w świetle lampy kabiny nawigacyjnej, czy, Boże broń, nie został skalany rdzą lub farbą.

— Wyglądasz zachwycająco — kwaśno powiedział Shawe-Wilson.

— Wiesz, chief — ciągnął Jay poważnie. — Cieszę się, żeś tu przyszedł. Chciałem cię prosić o radę. Ty wszystko wiesz o... no, o kobietach i tak dalej, prawda? Myślę... no, wszyscy o tym wiedzą. Widzisz... — powoli zatarł ręce — poznałem na statku śliczną dziewczynę. Coś ekstrawspaniałego. Siedzi przy stole sta-

rego. Annette ma na imię. Codziennie ją spotykam w hallu kiedy nanoszę pozycję południową. Jeszcze nie... Jeszcze nie rozmawialiśmy. No wiesz... przepisy Regulaminu i tak dalej. Ale to na pewno wspaniała, przyzwoita dziewczyna. Strasznie przyzwoita.

— Nigdy — z mocą rzekł Shawe-Wilson — nie zadawaj się z kobietami na morzu.

— Ależ, chief!... — Jay patrzył na niego ze zdziwieniem. — Zdaje mi się, że na morzu jest całe mnóstwo strasznie miłych kobiet, nie? Myślę... no, uczciwych, naprawdę szczerych dziewczyn. Nie... nie tych z twojego gatunku, chief. Myślę... no, tych dziewczyn, które można... no, ten... czy ja wiem? pokochać, wiesz? — pytał rozpaczliwie. — Co mam zrobić z Annette?

— Kopnij ją w pupę, żeby wyleciała za burtę — odparł Shawe-Wilson.

Czując, że dłużej nie jesit w stanie znieść Jaya, zszedł po trapie kierując się w stronę zabawy. Na sikraju parkietu tanecznego przystanął z papierosem w ustach, z rękami w kieszeniach, z chęcią do tańca ciężko obciążoną melancholią. Pani Porteous jeszcze nie było widać na pokładach, ale wiedział z całą pewnością, że wkrótce przybędzie i będzie się za nim włóczyć, tryskając czułymi słówkami.

Co za cholerne życie! — jęknął w duchu. Ze smutkiem uprzytomił sobie, że uroda i czar mają też ujemne strony.

Rozglądając się wkoło zauważył banalną, mało urodziwą dziewczynę przebraną za siostrę Czerwonego Krzyża, od jakiegoś czasu bezwstydnie gapiącą się na niego z krawędzi parkietu. Chcąc oderwać myśli od dręczącego problemu i pochlebić samemu sobie, że potrafi uczynić ten wieczór dla niej niezapomnianym, spytał pod wpływem impulsu:

— Czy mogę panią prosić do tańca?  
Z westchnieniem padła mu w ramiona.  
— Pewnie pan myśli, że jestem strasznie, strasznie głupia — powiedziała, skoro tylko z wprawą zaczął z nią wirować. — Ale, ale nie mogę w to uwierzyć.  
— Uwierzyć? W co?  
— Nigdy się nie spodziewałam, że mając tyle innych dziewcząt na statku, pan właśnie na mnie zwróci uwagę.  
— Nic podobnego — automatycznie odparł Shawe-Wilson, starając się nie ziewnąć. — Prawdę mówiąc, od wyjazdu z Londynu wprost marzyłem, żeby z panią, kochanie, zatańczyć. Ale oczywiście tak czy inaczej musiałem obtańczyć wszystkie inne po kolei.  
— Naprawdę? — z podnieceniem popatrzyła na niego. — ■ Mam na myśli: naprawdę chciał pan ze mną zatańczyć? Czy pan wie, o czym ja śniłam i marzyłam? Przez całą drogę od wyjazdu z Tilbury? Po prostu chciałam, żeby pan coś do mnie powiedział. Jakieś słowo... czy uśmiech... to wszystko. Nic więcej. Jak pan przechodził koło mnie na pokładzie... A teraz... A teraz właśnie tańczy pan ze mną! Czy to nie cudowne?  
— Gdzie pani mieszka w Anglii? — spytał czując, że powinien zmienić temat.  
— W Warwickton. Założę się, że pan nigdy nie słyszał o tej miejscowości?  
— Owszem, słyszałem — odpowiedział uprzejmie, ponad jej ramieniem uważnie przypatrując się wszystkim dziewczętom w zasięgu wzroku. — Tam jest jakiś zamek czy coś takiego, prawda?  
— Tak. Właśnie tam mieszkamy.  
— To już mówiłaś, kochanie. W Warwickton.  
— Nie, w zamku.

— Och, tak? — Shawe-Wilson natychmiast ograniczył zasięg spojrzenia do jej twarzy.

— Tatuś kupił go w zeszłym roku. To blisko jego fabryk i gruntów w Birmingham.

— To straszne z mojej strony, ale naprawdę wyleciało mi z pamięci twoje nazwisko...

— Sally... Sally Pritchett.

— Chyba nie z tych Pritchettów od motorów?

— Tak. Tatuś produkuje mnóstwo samochodów. No i oczywiście różne inne rzeczy.

— Musiałem chyba poznać gdzieś twojego brata?

— Przecież jestem jedynaczką!

— A rodzice? Dobrze się czują?

Westchnęła. — Z mamą jest ostatnio niedobrze- Dlatego\* zabieram ją z Australii do domu.

— A ojciec!

— Kochany, biedny tatuś! Doktor mówi, że w każdej chwili może umrzeć. No proszę! Orkiestra przerwała! Jaka szkoda! Musimy już iść.

Shawe-Wilson mocno ujął ją za rękę. — Zatańczymy następny taniec, kochana. I ten po nim. I jeszcze jeden. I późniejszy. Nie co noc mam okazję tańczyć z najpiękniejszą kobietą na statku.

— Najpiękniejszą? — spojrzała nań ze zdziwieniem. — Przecież ja naprawdę nie jestem piękna.

— Dla mnie — powiedział — jesteś najpiękniejszą kobietą świata. Chodźmy popatrzeć na pokład łodziowy w świetle księżyca, dobrze?

Zerknął na zegarek. Była już jedenasta „Charlemagne” miał przybyć do Fremantle następnego dnia o północy, a on musiał jeszcze

załatwić sprawę z panią Porteous. Trzeba było się spieszyć.

Tymczasem Ebbs miał mniej szczęścia w załotach. Tej nocy pokład łodziowy był oświetlony księżycem i pełen par, a ledwo zdążył wcisnąć panią Judd w zaciemniony kącik między magazynkiem farb a lukiem maszynowym i wysiąkał nos, kiedy odnalazł ich kanonik Swingle ze swoimi gimnastyczkami i wesoło zaciągnął do stolika koło parkietu. Pamiętając o swoich obowiązkach służbowych, Ebbs posłusznie usiadł i zachwalał szampan, a pani Judd, pod osłoną papierowego listowia, gła-skała go po ręce. Po gimnas tyczka eh przysiadali się po kolei do Ebbsa różni pasażerowie, aż o północy znalazł się pomiędzy M'cBride'em a Toddy'em, **dmącymi** w **trąbki**, gwizdzącymi w ślad za dziewczętami i mówiącymi do siebie per „koleżko”.

— Obawiam się, iż pokrzyżowano nam plany — powiedział Ebbs do pani Judd, kiedy skończyła tańczyć z Earnshawe'em. Celowo zaczął ją prowadzić w kierunku troskliwie wyszukanej niszy za szafką urzędzenia do wykrywania pożaru. — Droga Edith, tak się składa, że mam... ach, coś szczególnego do powiedzenia. Coś, co powinienem ci szczerze powiedzieć.

— Tak, Williamie? — Patrzyła nań błyszczącymi oczami.

— Widzisz — mówił manewrując nią koło komina — to jest tak. Ja... no, widzisz. Ta fotografia...

— Kapitanie! Kapitanie! Gdzie, do licha, jest kapitan? — głos brygadiera Brostera słabo unosił się nad muzyką.

— O Boże! — jęknął Ebbs.

— Nie zwracaj na niego uwagi — chwyciła go za ramię pani Judd.



— Dokąd, u diabła, poszedł kapitan? Gdzie on jest? Niech no ja tylko dopadnę kapitana...

— Chyba lepiej pójdę — powiedział Ebbs nerwowo. — Nigdy nie wiadomo, o co mu chodzi.

— Ha! — wykrzyknął Broster, kiedy Ebbs znowu ukazał się pod chińskimi lampionami. — Co ma znaczyć to ostatnie łajdactwo?

Ebbs był zbyt zdumiony, żeby odpowiedzieć.

— Napchać sobie kieszenie kosztem Kompanii, co, kapitanie? — Przez twarz Brostera zaczęły przebiegać drgawki.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi — odezwał się Ebbs. Gniew zaczął w nim wzbierać. — Wydaje mi się, że posługuje się pan językiem niegodnym dżentelmena. Żeby nie powiedzieć: oszczerczym. Przypominam panu, brygadierze, że prawa lądowe równie ściśle obowiązują na morzu...

— Właśnie, właśnie, kapitanie! Właśnie obowiązują. Popatrz pan! — podetkał Ebbsowi pod nos butelkę szampana. — Powąchaj pan! — zasyczał. — Poniuchaj! Posmakuj! Wypij to!

— Dlaczego? Coś nie w porządku?

— Nie w porządku — Coce... kieliszek!

Bill Coke stojący za nim w swoim prześcieradle kąpielowym z zawstydzoną twarzą podał ze stołu kieliszek do szampana.

— Na pańskie zachwalania — ciągnął Broster tonem, jakby rzucał komendy plutonowi egzekucyjnemu — zamówiłem i zapłaciłem za butelkę „Veuve Cliquot”\* rocznik 1947. I co dostałem? Jabłecznik, niech to szlag trafi, albo ze mnie Holender.

— Ależ to niemożliwe! — krzyknęła pani Judd, wiernie stojąca przy boku Ebbsa. — To oburzająca insynuacja!

\* „Veuve Cliquot” — dobra marka francuskiego szampana.

— Więc niech pani spróbuje, madam! Niech pani spróbuje!

Przełknęła łyżeczek.

— No i co, proszę pani? I co?

Nic nie powiedziała, z lękiem spozierając na Ebbsa. — Jabłecznik — wyszeptała.

— Właśnie! Mówiłem! Co powiedziałem? To zwykle, bezczelne...

— Cisza! Spokój! — krzyknął Ebbs. Poczul, że nagle „Charlemagne” rozstępuje mu się pod nogami. — Zapewniam państwa, że to na pewno tylko zwykła pomyłka. Po prostu pomieszano nalepki. Intendent wyjaśni to w ciągu sekundy. Gdzie jest intendent? Gdzie jest Prittlewell? Kto widział intendenta? Przecież był tu przed chwilą. Musi być gdzieś niedaleko.

— Tak — powiedział Broster. — Oto pytanie. Gdzie jest intendent?

Ebbs znalazł Prittlewella i Scottiego ukrytych za barem w małym schowku na naczynia i kieliszki.

— Co to za dziwne zachowanie się, panie indendencie? — spytał Ebbs dysząc ciężko — Zupełnie nie w pańskim stylu. Uciekać w momencie, kiedy najbardziej potrzebuję pańskiej pomocy. Stała się przedziwna rzecz... szampan pomyłono z jabłecznikiem.

— Scottie popełnił najokropniejszą pomyłkę — powiedział Prittlewell, nerwowo pocierając monokl.

— Właśnie to im powiedziałem — rzekł Ebbs. — Ale muszę przyznać, że trudno ją wyjaśnić.

— To wszystko moja wina — przygnębiony Scottie usiadł na skrzynce dżynu. — Boże! Po tylu latach. Żeby pałać takie głupstwo.

— Natychmiast trzeba coś z tym zrobić. Otwórzcie parę butelek jabłecznika, może są pełne szampana.

— A mówiłem, Herbie, że się starzeję, prawda? — Scottie pokiwał głową. — Nie powinienem był wtrzywać jabłeczniaka temu staremu wydze. Każdy barman mający pół mojego doświadczenia poznałby, że on stale pija szampa.

— Wygląda, żeś paskudnie spichcił sprawę, Jim — przyznał Prittlewell.

— Przykro mi, Herbie. Naprawdę! Mogliśmy zrobić fajny interes... jakichś trzysta funciaków wpadłoby do kabzy. A ile roboty włożyłem w te butelki! Ach, Boże! — Wytarł czoło ściereczką do polerowania szklanek. — Człowiek wciąż się uczy.

— Nie bierz sobie tego tak do serca, Jim — pocieszał go Prittlewell. — Wszystko da się odrobić.

— Przepraszam. Chwileczkę! — Ebbs z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie. — Czy to... Czy mam rozumieć, że jabłeczniak podano pasażerom... z rozmysłem?

— Człowieku, miej pan swoje lata — ze znużeniem powiedział Prittlewell. — Chyba pan nie przypuszcza, że na morze poszliśmy dla poratowania zdrowia?

— Jak pan śmie, panie Prittlewell? Jak pan śmie? Zwracam panu uwagę, że popełnił pan najpoważniejsze, niesłychanie poważne przestępstwo, które, zapewniam pana, nie ujdzie na sucho. Na pewno! Na\* pewno nie! Ten wieczór będzie pana bardzo drogo kosztował. Bez najmniejszego wahania przekażę was obu policji zaraz po dotarciu do Fremantle. Nie liczcie na jakąś krztynę litości z mojej strony. Nie zniosę nawet cienia czegoś niewłaściwego...

— Nie spieszyłbym się tak z tym zamykaniem nas — powiedział Prittlewell. — Siedzi pan w tym tak samo jak my.

— Ja? Śmieszne! Jakim cudem?

— Zdaje się pan zapominać o tym, że pański podpis figuruje na wszystkich stronach księgi rachunkowej. Jak mnie pytają, to powiem, że pan kombinował razem z nami. Od początku do końca.

— Panie Prittlewell! — krzyknął Ebbs blednąc. — Pan się nie odważy.

— Na pewno się odważę. Wszyscy... eee... jedziemy na tym samym wozie. Rozumie pan?



— Nie ugnę się przed pańskimi pogrózkami — odparł Ebbs. — Nie. Ani jedną chwilę.

Prittlewell wzruszył ramionami. — Ciekawym, co pan innego może zrobić?

Ebbs wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Zabrakło mu słów.

Na zewnątrz rozległ się trzask. Scottie na moment uchylił drzwi schowka i wyszeptał: — Boże! Demolują bar!

— No, kapitan ich powstrzyma — spokojnie powiedział Prittlewell.

— Ani mi się śni!

— Jak to, kapitanie? Bunt i zamieszki na statku to pański resort. Przy okazji może im pan wyjaśnić sprawę z szampanem.

— Prittlewell, jeżeli pan myśli...

Przerwał im nowy trzask i krzyki z zewnątrz. Podnieceni pasażerowie wdrapywali się na nie obsadzony bar i sami się częstowali.

— Niech pan idzie, kapitanie — cicho powiedział Prittlewell.

— Niech pana diabli wezmą, Prittlewell!

Ebhs wymknął się ze schowka i wskoczył na kontuar baru, starając się powstrzymać potok tancerzy. — Czekaście! — krzyczał desperacko. — Panie i panowie! Proszę! Proszę! Mam ważną wiadomość... Błagam! Tylko chwilę! Zastanówcie się... — Nikt nie zwracał na niego uwagi. — Panie i panowie, proszę! Zastanówcie się i słuchajcie! Tylko sekundę! Uszanujcie, proszę, własność Kompanii! Wszystko mogę wyjaśnić! Absolutnie wszystko! Ja... — Ktoś dla zabawy puścił na niego strumień wody sodowej z syfonu. — Niech was najjaśniejsza cholera porwie! — krzyknął, tracąc nagle panowanie nad sobą. — Niech szlag trafi całą waszą cholerną bandę! Rozwalcie ten sakramencki bar! Zatopcie ten cholerny statek! Skoczcie za burtę, cholerne chamy! Bydło wolę wozić niż pasażerów!

Ocierając włosy chusteczką zeskoczył na pokład, rozepchnął dwóch mężczyzn stojących mu na drodze i pogrążony w rozpacz wielkimi krokami poszedł do swojej kabiny.

Ebbs siedział za biurkiem doznając smutnej ulgi, jak dopiero co skazany przestępca. Minęły beznadziejne walki i podstępny i teraz pozostało mu już tylko przygotować się do poniesienia kary w sposób jak najbardziej godny. Jako kapitan statku pasażerskiego katastrofalnie zawiódł na całej linii. W ciągu godziny po nadejściu do Londynu telegramu, jaki wysłał Broster, niewątpliwie w drodze znajdzie się drugi, mówiący mu, że jego usługi nie są więcej potrzebne, a w parę minut po zejściu na ląd w Tilbury odprowadzą go, przykutego kajdankami do policjanta, wsadzą do „Czarnej Mańki”\*, odwiozą do Old Bailey\*\* i postawią przed sądem pod zarzutem malwersacji.

Koniec z kapitanem Ebbsem — westchnął. Jakże gorzko żałował, że nie pozostał na skromnym „Martinie Lutherze”!

Podniósł wzrok i spostrzegł w drzwiach Burtweeda niosącego tacę.

— Panie kapitanie, przyniosłem coś do przekąszenia — powiedział cicho.

— To uprzejmie z waszej strony, Burtweed, jakoś nie jestem głodny.

— Mam też polecenie od pani. Chce wiedzieć, czy pan nie ma ochoty się z nią zobaczyć?

Ebbs potrzęsnał głową. — Proszę powiedzieć, że... że doceniam jej troskliwość. Ale teraz wolałbym zostać sam. Postaram się zobaczyć z nią rano. Żeby się pożegnać — dodał. Czy miało sens mówić coś więcej, skoro nie mógł jej ofiarować nic poza swoimi kajdankami?

— Tak jest, panie kapitanie — łagodnie powiedział Burtweed.

\* „Czarna Mańka” — żargonowa nazwa samochodu policyjnego do przewozu więźniów.

\*\* Old Bailey — główne więzienie karne w Londynie.

— To był raczej nieudany wieczór — Ebbs ciągnął ze skruchą. — Strasznie się głupio zachowałem. Żeby tak dać się ponieść nerwom.

— Przykro mi, panie kapitanie. Naprawdę przykro. Nikogo bardziej bym nie żałował niż pana. W takiej beznadziejnej sytuacji... Naprawdę!

— Prędzej czy później to musiało przyjść. Wszystko w końcu ma swoje granice, Burtweed.

— Czy mógłbym coś zrobić, panie kapitanie? Jakoś pomóc?

— Całkiem możliwe, że będziecie musieli spakować we Fremantle tych trochę moich rzeczy. Jutro o tej porze mogę być już zdjęty z dowództwa. Shawe-Wilson, który jak przypuszczam, jest przynajmniej uczciwy niewątpliwie zostanie przeawansowany do tej kabiny. A ja... — spuścił wzrok. — Mnie odeślą do domu, z piętnem hańby.

— Nie, panie kapitanie! Nigdy!

— Hańba to wszystko, na co zasługuję. — Wziął figurkę skromnej syrenki i powoli przesunął ją tam i z powrotem po biurku. — Mam nadzieję, Burtweed, że w stosunku do was byłem dobrym i sprawiedliwym kapitanem?

— Nigdy nie miałem lepszego!

— Dzięki, Burtweed. W takiej chwili potrzebowałem tych słów. Postaram się, żeby w Kompanii należycie oceniono waszą pracę. Choć obawiam się, że moje rekomendacje nie będą zbyt brane pod uwagę.

— Czy mogę... — Burtweed przygryzł wargę. — Czy mogę panu, kapitanie, życzyć naprawdę wszystkiego najlepszego? Z całym szacunkiem, panie kapitanie?

— Dziękuję Burtweed.

Uroczyście podali sobie ręce.

— I... i proszę mi wybaczyć, że się uniosłem, panie kapitanie. Z powodu madam.

— Wszystko wybaczone — powiedział Ebbs z łagodnością prawdziwego męczennika.

— Dziękuję, panie kapitanie. Wiedziałem, że pan kapitan zrozumie.

— A teraz, Burtweed, muszę uporządkować trochę swoich ostatnich spraw. Wiele... ach wiele trudnych doświadczeń mnie czeka.

■— Dobranoc, panie kapitanie.

— Dobranoc, Burtweed.

Kiedy został sam, Ebbs wyciągnął z szuflady arkusz papieru z nagłówkiem statku, umoczył pióro w kałamarzu o kształcie końskiej poidkowsy i zaczął pisać list na brudno.

„Szanowny Sir Angus — pisał. — Z przykrością proszę o zwolnienie z Kompanii...”

Przez parę minut przyglądał się tym słowom, po czym dodał „zgodnie z dzisiejszym pańskim telegramem”.

Przerwał i ponuro wpatrywał się w koniec stalówki. Dumał, jak też potrafi urządzić się na łądzie. Miał czterdzieści dwa lata i poza umiejętnością prowadzenia dużych statków po morzach całego świata innych kwalifikacji nie posiadał. Starał się przypomnieć sobie stanowiska, na jakich pracowali inni pechowi kapitanowie: jeden był bileterem na prywatnym moło w modnej miejscowości kuracyjnej, drugi domokrężnym sprzedawcą pasty *do* butów, trzeci miał bliżej nie określoną funkcję nadzoru paru domków kąpielowych. Przebiegł go nagły dreszcz lodowatej pociechy, kiedy uprzytomnił sobie, że dzięki uwięzieniu na cały szereg lat zostanie uwolniony od troski szukania zajęcia.

Rozległo się puikanie do drzwi.

— Tak, panie Jay? — odezwał się zniechęcająco.



— Ja... Ja bardzo pana przepraszam,, panie kapitanie, że pana niepokoję, i tak dalej, panie kapitanie. Strasznie przepraszam, panie kapitanie. — Jay stał sztywno na progu kabiny ściskając czapkę pod pachą, prawą piętą wgniatając w podłogę wielki palec lewej nogi. — Wdzi pan kapitan... tak więc, panie kapitanie... Myślałem raczej...

— Co się stało, człowieku? Mówże!

— Pomyślałem sobie... No właśnie... żeby się ożenić, panie kapitanie — wyjaśnił Jay nieruchomo patrząc przed siebie. — No i pomyślałem sobie, że jak akurat teraz nie ma pan kapitan nic do roboty, to może zechciałby pan kapitan... dokonać tej całej ceremonii... — Z krzykiem wyskoczył, kiedy Ebbs rzucił w niego kałamarzem, po czym poszedł i zamknął się w oficerskim ustejpie.

Dalszy ciąg listu Ebbs pisał ołówkiem. Gdy zapełnił już półtorej strony, znowu rozległo się stukanie do drzwi.

— Precz!

„...i zapewniam pana, że moją największą zbrodnią było zaufanie do bliźnich” — pisał, z dezaprobatą patrząc na papier.

Pukanie się powtórzyło.

— Tak, tak! Co tam znowu, do diabła?!

W progu stał Willy Boast. Twarz miał bladą, ręce trzęsły mu się na klamce. Otworzył usta, usiłował coś powiedzieć, niepewnym krokiem wszedł do kabiny.

— Człowiek za burtą! — wykrztusił.

— Pan jest pijany!

— Nie jestem! W każdym razie nie bardzo. Ktoś wypadł za burtę... pani siedząca przy naszym stole.

— Boże! Pani Judd? — Przez sekundę Ebbs wyobrażał sobie, że wybrała wygodniejszą i stosowniejszą formę od hinduskiego zwycza-

ju palenia wdowy na stosie wraz ze zwłokami męża.

— Nie, nie. Ta druga. Pani Porteous. — Willy Boast opadł na fotel i rękami objął głowę. — Widziałem wszystko... wszystko! Nie mogłem się napić przez tę grandę w barze. Wyszedłem na pokład. Była tam... stała przy relingu wypłakując oczy. Biedaczka!

■— Płakała? — Ebbs miał wrażenie, że trzeba by głęboko wiercić w duszy pani Porteous, żeby dotrzeć do łez.

Willy Boast potakująco kiwnął głową i dwie wielkie łzy spadły na podanie o dymisję. — Była przebrana za zakonnicę.

Nagle Ebbs odczuł prawdziwy niepokój.

— Powiedziała... powiedziała, że ma złamane serce. Że rzuci się do wody. To jej słowa. Kiedy wróciłem, już jej nie było. Nie było.

Rozległo się nowe pukanie. Tłusty sternik stał przed progiem trzymając kornet i welon zakonniczy.

— To już szczyt wszystkiego! — krzyknął Ebbs. Jego pierwszą myślą było, że to typowe dla pani Porteous zrobić coś tak nieprzemysłanego, nie licząc się z nikim, w chwili kiedy i tak nie wiedział, za co najpierw się łapać. — A więc trzeba będzie przeszukać cały statek — rzekł podejmując szybką decyzję. — Ciągłe jeszcze jestem kapitanem i mam obowiązki w stosunku do każdej osoby na statku. — Odrzucił ołówek, wstał i sięgnął po czapkę. — Pan pójdzie ze mną na mostek, panie Boast.

— Nie ma pan pod ręką jakiegoś łyżeczka?

— Oczywiście że nie. Sternik, poproście tu starszego oficera.

— Tak jest, panie kapitanie.

Willy Boast zasnął oparłszy głowę na stole z mapami i zaczął chrapać. Kabina pani Porteous okazała się pusta, a nylonowa czarna

koszulka elegancko złożona leżała na przygotowanym łóżku. Teraz Ebbs zaniepokoił się do tego stopnia, że kazał pobudzić wachty, a Brickwoodowi i Bowlesowi przeszukać stątek.

— Gdzie, do diabła, podziewa się ten cholerny starszy oficer?

— Jest w swojej kabinie, panie kapitanie — odparł sternik.

— Więc dlaczego, u licha, nie przekazaliście mu mojego polecenia? Jeszcze mało historii było dzisiaj? Czy już wszyscy powariowali?

— Przekazałem, panie kapitanie. Kazał powiedzieć, że jest zajęty i że przyjdzie, jak tylko będzie mógł.

W dziesięć minut później Shawe-Wilson z niesłychanie naburmuszoną miną ukazał się w nawigacyjnej.

— Panie Shawe-Wilson —■ spytał Ebbs — gdzie pan był?

— Co to pana obchodzi?

— Przypominam panu... Zetrzyj pan z twarzy tę cholerną szminkę!

Shawe-Wilson z posępną miną wytarł policzek.

— Panie Shawe-Wilson, obecna chwila jest zbyt nagłąca, nawet dla mnie, żeby panu udzielać nagany, na którą pan naprawdę zasłużył. I którą pan otrzyma. Najprawdopodobniej pani Porteous popełniła samobójstwo skacząc za burtę.

— Co?!

— Tak, panie Shawe-Wilson. — Ebbs ciągnął z mocą. — Przypuszczałem, że ta wiadomość zrobi na panu wrażenie. Kiedy ostatnio widział ją pan żywą?

— No... gdzieś koło północy rozmawiałem z nią na pokładzie — odpowiedział z wystraszoną miną.

— Czyście się... eee... kłócili?  
Shawe-Wilson milczał.  
— Tak czy nie? — krzyknął Ebbs.  
— Mieliśmy rzną różnicę zdań.  
— Aha! W sądzie postawi to pana w niekorzystnym świetle, panie Shawe-Wilson!  
— Zdaje mi się, że i pan zbyt pięknie nie wypłynie — odwarknął Shawe-Wilson. — Była przecież i w pańskiej kabinie.  
— Och, pan o tym wie?  
— Tak, wiem. I byłem cicho tylko ze względu na nią.  
Ebbs głośno wysiakał nos. — Panie Shawe-Wilson — kontynuował — dzisiejszej nocy musiałem przejść wiele prób losu. Publicznie oskarżono mnie o rozbój, prywatnie szantażowano i ośmieszyłem się przed całą Pole Star Linę tracąc równowagę wobec bredzenia pijanych pasażerów uzbrojonych w syfony wody sodowej. Ponieważ wszystkie te wydarzenia na pewno spowodują zwolnienie mnie z Kompanii, zaraz po wymianie niezbędnych telegramów z Londynem, mani tę małą rekompensatę, że mogę przestać traktować moich oficerów po dżentelmeńsku, jak to głupio robiłem przez całą podróż. Panie Shawe-Wilson, jest pan niewypowiedzianie, obrzydliwie śliskim łajdakiem, nie nadającym się nawet do dziurkowania biletów za leżaki na rzeczonym bocznokołowcu do Margate\*. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że pan źle skończy i że będę miał przyjemność przeczytać o tym w niedzielnym dodatku. Ponieważ nie nadaje się pan do żadnej pracy związanej z nawigacją i dowodzeniem statkiem, proszę iść na dół i kontynuować rozpustę z niešťczęsną koibietą, którą, nie wątpię, pan tam ukrywa.

\* Margate — podlondyńska miejscowość letniskowa naci Tamizą, jak Bielany pod Warszawą.

— Niech pan słucha...

— To wszystko, panie Shawe-Wilson.

— Nie pozwolę, żeby jakiś kapitan z trzeciorzędnej trampa odzywał się do mnie w ten sposób...

— Sternik! Proszę wyprowadzić pana Shawe-Wilsona z mostku. — Ebbs znowu wysiąkał nos. — Dobranoc, panie Shawe-Wilson! — W końcu — pomyślał — wylanie z posady ma jednak jakieś swoje dobre strony.

Po pani Porteous nie było śladu.

— No trudno — powiedział Eibbs twardo. — Zawracamy na kontrkurs. Panie Erickwood!

— Słucham?

— Proszę podać panu radio naszą pozycję. Niech powiadomi wszystkie statki w okolicy, żeby czujnie wypatrywały zakonnicy.

„Charlemagne” zatoczył łuk, kładąc się na przeciwny kurs, dodatkowo wezwani marynarze załomotali buciskami po trapach wiodących ku stanowiskom obserwacyjnym na dziobie, a Ebbs w milczeniu, miarowym krokiem przemierzał mostek, coraz intensywniej się zastanawiając, czy nie powinien w ślad za pasażerką pójść za burtę. Oficerowie ponuro obserwowali czarną wodę poza wąskimi pasmami fal spod dziobu. Wszyscy na mostku byli przekonani o bezcelowości poszukiwań i wiedzieli, że prowadzi się je wyłącznie z szacunku dla dziennika okrętowego i Izby Morskiej, gdyż do tego czasu pani Porteous niewątpliwie spoczywała pod płetwą jakiegoś zadowolonego rekina.

Przed świtem Ebbs ze znużeniem powiedział do Brickwooda: — Idę się położyć. Zdaje się, że na dziś mam więcej niż dosyć.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Za pół godziny proszę wrócić na normalny kurs. Proszę mnie wezwać, jak coś zobaczycie. W każdym razie proszę mnie zbudzić o piątej, bo muszę wysłać telegram do Kompanii. I dziękuję panom za pomoc — z przygnębieniem mówił do obu oficerów — której dam odpowiedni wyraz w dzienniku okrętowym. Chociaż obawiam się, że po tym katastrofalnym dniu będzie to moja ostatnia czynność służbowa na tym czy w ogóle jakimkolwiek statku.

Obaj oficerowie wymienili spojrzenia pełne smutku, a potem Ebbs zszedł na dół zostawiając ich salutujących u szczytu schodów, jakby już był zwłokami znikającymi w grobie.

Biedna pani Porteous! — rozmyślał idąc do kabiny. W gruncie rzeczy miała dobre serce. No, w końcu kogoś spotkał gorszy los niż jego. Chociaż za dwadzieścia cztery godziny światła Fremantle zatańczą pod dziobem, a tylko jeden Bóg wie, co za nimi na niego czeka!

Otworzył drzwi do kabiny. Zatrzymał się z ręką na kontakcie. Usłyszał jakiś szmer.

— Chyba nie znowu... — mruknął.

Przekręcił wyłącznik. Priscilla w nocnej koszuli siedziała za biurkiem zjadając jego kolację.

— Niech to gęś kopnie! — wykrzyknął Ebbs.

Z poczuciem winy spuściła oczy patrząc na zjedzoną do połowy kanapkę z serem.

■— Jestem głodna — wyjaśniła.

— Och, naprawdę? — rzekł Ebbs. — Ale tym razem pozwól sobie powiedzieć, moja panno, że tego to już za dużo! O wiele za dużo! Czy ty wiesz, że małym dziewczynkom szalenie niebezpiecznie jest włączyć się po statku w środku nocy? I w dodatku prawie bez niczego na sobie? — podkreślił z afektacją. — Co by na to powiedzieli mamusia i tatuś, jeśli wolno zapytać?

— Oni są zalani w pestkę.  
— To nie ma z tym nic wspólnego.  
— Nie chcieli mi nic dać na kolację — powiedziała — bo byłam chora.  
— I mieli rację!  
— • Ja... ja nie byłam bardzo chora. — Przez chwilę patrzyła na niego spokojnie i nagle wybuchnęła płaczem.  
— No, no, dziewczynko! Nie płacz! W każdym razie nie tutaj. Powinnaś pójść do swojej kabiny. No dobrze już. Możesz skończyć te kanapki z serem, jak masz ochotę. Zawinę ci resztę w serwetkę i zabierzesz ze sobą. Tylko nareszcie przestań tak okropnie ryczeć.  
Mała wyła dalej.  
— Na rany boskie, zamknij się! — wrzasnął Ebbs. — Bo cię strzele w te cholerne małe zęby!  
Przestała i patrzyła nań ze zdumieniem.  
— Jak, u diabła, dostałaś się tutaj? — spytał  
— Przysłała mnie pani — odpowiedziała potulnie.  
— Pani? Jafca pani?  
— Ta co myśli, że pan jest zimny.  
— Co?! — Ebbs kucnął przy niej. — Na pewno? Gdzie ona jest?  
— Nie powiem.  
— Priscillo! Proszę! — błagał. — Kiedy ją widziałas? Gdzie? Bądź grzeczną dziewczynką.  
Przygryzła dolną wargę.  
— Priscillo! Jestem twoim przyjacielem, prawda? Pamiętasz mnie, no nie? Jesdem kapitanem.  
— Byłeś dla mnie wstrętny — powiedziała. — Nie lubię ciebie.  
— Ale... ale nie pamiętasz, jak ci dałem pół korony? — rzekł Ebbs w desperacji. — Priscilla! Proszę! Pomyśl o tych wspaniałych ciastkach z kremem i innych pysznościach na

zabawie. Byliśmy kumplami, no nie? Powiedz mi tylko, gdzie jest ta pani, a ja już... a ja już każę zbudzić ochmistrza i dostaniesz lody, i parówki, i orzechy w cukrze, i ciastka, i na co tylko masz ochotę i ile zechcesz — hojnie szafował obietnicami. — No, słyszysz? Priscilla, słowo honoru.

Uważnie mu się przypatrzyła dumając: przebaczyć czy nie? Przez sekundę jego los znajdował się w jej małych umorusanych łapkach. Ześliznęła się z fotela.

— Zaprowadzę cię — powiedziała.

Ebbs poszedł za nią na pokład i po trapie do pomieszczeń pasażerskich. Podskakiwała przed nim w pustym korytarzu, skręciła za róg i zatrzymała się.

•— Tutaj — pokazała.

Były to drzwi do kabiny.

— Jesteś całkiem pewna?

Potakująco kiwnęła głową.

Ebbs zapukał. Nie było odpowiedzi. Zagrzechotał klamką. Drzwi były zamknięte na klucz.

— Otworzyć! — krzyknął. — Tu kapitan!

Cisza.

Wyważył drzwi ramieniem, otworzył kopnięciem i zapalił światło

— Cholera jasna! — wykrzyknął. Nagle zaczął się śmiać. — No, no — powiedział. — O wilku mowa!

## 22

— Jesteśmy przecież światowcami — powiedział brygadier Broster.

— O, właśnie — ochoczo zgodził się Ebbs. — Światówcami.

Dochodziło południe następnego dnia, „Charlemagne” wyciskał z siebie dodatkowe dwa



węzły, spokojnie prując rozjaśnione morze w drodze do portu, od którego dzieliło go niecałych dwanaście godzin. Ebbs siedział w swojej kabinie, nogi położył na biurku, ręce wygodnie splótł na brzuchu, a na twarzy miał wyraz zadowolenia.

Broster wyjął cygarnicę z kieszeni.

— Zapali pan, kapitanie?

— Dziękuję.

— Na morzu — ciągnął brygadier Broster podając Ebbsowi zapalną — niemal tradycyjnie pojawia się pewien... powiedzmy, brak konwenansów... pewna „camaraderie”, pewna zachęta do przygody.

— Całkowicie się zgadzam — powiedział Ebbs.

— Lepsi ode mnie ludzie, kapitanie — ciągnął przygnębiony Broster — znacznie lepsi ludzie ulegli czarowi nocy na oceanie.

— Oczywiście.

— Co, jak zapewne się pan zgodzi, kapitanie, prowadzi do uczuć natury lekkomyślnej.

Ebbs przytaknął kiwnięciem głowy. — Tak to się wydaje.

Powstała pauza. Broster przyglądał się swojemu cygaru, jakby chciał zidentyfikować jakiś dziwny przedmiot.

— Pewna doza dyskrecji, kapitanie...

— Ach, dyskrecja!

— Człowiek na pańskim stanowisku z pewnością musi posiadać pewne poczucie odpowiedzialności za takie rzeczy. Przecież w końcu kapitan statku będącego na morzu jest powiernikiem wielu tajemnic. Dobrowolnie i z konieczności. Często to, co się przemilczy o czymś postępowaniu — dodał z naciskiem — bywa ważniejsze od tego, co się o nim opowiada.

— Ważniejsze — przytaknął Ebbs, wydmuchując dym ku pokładowi ponad głową.

— No wi'dzi pan — rozpromienił się brygadier Broster. — Zapewne dojdziemy do jakiegoś porozumienia?

Ebbs zdjął nogi z biurka. — Brygadierze Broster — zaczął dziarsko. — Fakt, że nakryłem pana z kobietą w pańskiej kabinie nie jest sprawą, o której musiałbym złożyć oficjalny raport. Chociaż niewątpliwie wiadomość taka, biorąc pod uwagę pańskie wysokie stanowisko w Linii wywołałoby po ogłoszeniu sporo zamieszania.

— Z pewnością — gorąco przytwierdził Broster. — Nie przeczę.

— Nie mówiąc już o wrazeniu, jakże wywarłaby na pańskiej żonie, która, jak przypuszczam, będzie czekać na pana na nabrzeżu we Fremantle?

— Och, tak — mówił Broster zastanawiając się — Oczywiście wolałbym, żeby ta historia nie doszła do jej uszu. Pani Broster byłaby bardzo głęboko zmartwiona usłyszawszy o mojej chwilowej... nierozwadze, wywołanej, muszę to podkreślić, całkowicie i jedynie przez ulitowanie się nad biedną płaczącą kobietą.

— Na pewno byłaby zmartwiona.

— Zbyt wysoko cenię moją żonę by narażać ją na taki ból. Poza tym jest kobietą niesłychanie porywczą i czasami niecałkowicie odpowiadającą za swoje czyny. Nie — zdecydowałem — najlepiej, kapitanie, żeby ta historyjka pozostała między nami. Taki mały sekretik. W czasie podróży były między nami pewne różnice zdań. Ale za nimi oczywiście nie kryło się nic osobistego. Ani przez chwilę. Czasem krytykowałem, lecz tylko oficera, nigdy człowieka. Robiłem to, gdyż na sercu leży mi wyłącznie dobro Kompanii, tak samo jak panu. Ale teraz wszystko wybaczone i wszystko zapomniane — ciągnął ożywiając się. — Zbliżamy

się do końca rejsu. Niedługo będziemy bezpiecznie w porcie, a kłopoty i trudy podróży bez śladu pozostaną za nami. Musimy się rozstać, kapitanie, jak prawdziwi dobrzy przyjaciele. Oto moja ręką.

— Momencik — Ebbs z namysłem zasięgnął się cygarem, ignorując skwapliwą dłoń Brostera. — Ale stało się, brygadierze, że w tym wypadku sprawa nieco wymyka się z moich rąk. To nie tylko to, że pan... eee... nocował wspólnie ze współpasażerką. O pierwszej trzydzięści zawrócono statek w poszukiwaniu tej kobiety, z której powodu ogłoszono alarm, całą załogę postawiono na nogi i przeszukano statek od masztów do stępki. Dziennik okrętowy, brygadierze... — z powagą znacząco postukiwał palcem w leżącą przed nim księgę. — Urzędowy dokument, po każdej podróży sprawdzany przez władze Londyńskie i osobiście uważnie czytany przez Sir Angusa. Jako kapitan statku jestem zobowiązany ustawą parlamentu do szczegółowego i zgodnego z prawdą zapisu powodu zmiany kursu ostatniej nocy i przyczyny powrotu nań. Pominięcie lub sfałszowanie danych pociąga za sobą surowe kary przewidziane prawem. Nie mówiąc już o moim honorze zawodowym. Dlatego też sporządzę poprawny zapis. I to zaraz — Ebbs ujął pióro. — Do widzenia panu.

— Chwileczkę! — popiół spadł z czubka cygara Brostera. — Czy absolutnie koniecznie, kapitanie, musi pan o wszystkim pisać w detalach?

— Tego żąda moje sumienie.

— No oczywiście! Chyba nie każdy szczegół.

— Każdy, każdy. Wraz z zadziwiającym widokiem.

— Kapitanie — rzekł Broster z powagą. — Mam ogromne wpływy w Linii. Tego nie mu-

szę panu powtarzać. Moja władza sięga do sali konferencyjnej, a nawet dalej. Mogę zrobić pewne rzeczy, wyświadczyć przysługę, nawet z pominięciem samego Angusa McWhirreya.

— Ach! — powiedział Ebbs. — Nareszcie mówi pan do rzeczy.

— Co — spytał Broster głosem, jakby łykał kawałki szkła — co mogę dla pana zrobić, kapitanie?

— Proszę siadać — powiedział Ebbs. Wziął stos arkuszy ze statkowym nagłówkiem, na których ubiegłej nocy kreślił padanie o zwolnienie. — Ma pan pióro? Dobrze. Wszystko, czego chciałbym, to napisanie listu. Nie — sprostował sam siebie. — Przede wszystkim chciałbym, żeby pan wysłał telegram. Podyktuję go panu. — Przez chwilę się zastanawiał. MC-WHIRREY BINNICLE LONDON — dyktował. — WSPANIAŁA PODRÓŻ STATEK ZNAKOMITY KAPITAN DOSKONAŁY. Proszę podpisać: BROSTER. Niech się pan nie martwi — dodał widząc, jak brygadier pisze pełen wątpliwości. — Ja pokryję koszty. A teraz list: „Drogi Angusie...” Czy w ten sposób zwykle zwraca się pan do niego? — Broster kiwnął głową. — Dobrze. „Drogi Angusie! Piszę, żeby Cię jak najszybciej zawiadomić o tym, jak wysoko cenię tego Ebbsa”. — Ebbs wysiąkał nos. — „Wylkoniał wprost wspaniałą robotę. Posiada wszelkie kwalifikacje na świetnego kapitana statku pasażerskiego i bezwzględnie rekomenduję, żeby go na razie pozostawić na «Charlernagne»\*. Później oczywiście może być potrzebny na jednym z naszych nowszych i większych statków”. Czy nie za szybko dla pana? — spytał Ebbs.

— Nie — mruknął Broster.

— „Ebbs...” Z nowej linijki. „Ebbs w szczególności zdobył moje uznanie za sposób, w

jaki taktownie rozpędził tłum pijanych pasażerów tuż przed dojściem do Fremantle. Pochwalam również energią, z jaką wykrył i ujawnił machinacje..." Potrafi pan to napisać? Słownik jest na biurku.

— „Matactwa" będzie lepiej — wymamrotał Broster.

— Tak, matactwa, „...matactwa nieuczciwego intendenta i barmana, z którymi należy postąpić zgodnie z propozycjami zawartymi w raporcie kapitana Ebbsa. Ebbs to nadzwyczajny facet, ma przed sobą świetną przyszłość w naszej Kompanii. Będę go miał na oku". — Ebbs uśmiechnął się szeroko. — Teraz proszę podpisać list tak jak zwykle. I zaadresować kopertę. Nadam go sam.

— Gdyby kiedyś przyszła na pana pokusa, by chcieć wyprzeć się autorstwa tego listu — uprzejmie ciągnął Ebbs osuszając papier bibułą i składając go — proszę pamiętać o dzienniku okrętowym „Charlemagne". Zapis mogę zrobić w każdej chwili przed powrotem do Londynu — zachichotał. — No, brygadierze, teraz nie widzę powodu, dla którego nie miałyby zapanować między nami serdeczna przyjaźń, o jakiej wspominał pan przed kilkoma minutami. Łączy nas pewna więź. W każdym razie jedną rzecz mamy wspólną. — Znowu zachichotał. — Taki mój prywatny żarcik... nie zrozumiałby go pan. To świetne cygara. Ma ich pan więcej?

— Każę panu przysłać pudełko do kabiny — warknął Broster.

— Dziękuję. Może kiedyś w przyszłości znowu razem popłyniemy?...

Brygadier wstał. — Kapitanie Ebbs — rzekł z naciskiem — jednego może pan być pewien: jakkolwiek będzie pański przyszły los w Kompanii w rezultacie tego niesłychanego fałszer-

stwa, czy skończy pan w więzieniu, czy, co jak się obawiam, jest rzeczą bardziej prawdopodobną, jako dowódca flagowego statku naszej Linii, jednego może pan być pewny. Postaram się, żeby nigdy noga moja nie stanęła na żadnym statku pod pańskim dowództwem. Do widzenia panu!

Gdy tylko Broster wyszedł, Ebbs wybuchnął grzmiącym śmiechem i kiedy nareszcie znowu otworzył oczy, zobaczył pierwszego radioofficera pochylającego się nad nim z niepokojem.

— Co takiego, panie radio? — spytał ocierając twarz chustką i pozwalając rozbawieniu ujść w napadzie chichotów.

— Depesza do pana kapitana.

— Z Fremantle?

— Nie, z Londynu.

Ciągle uśmiechając się Ebbs otworzył telegram. — Radio! — zawołał za nim. — Niech pan będzie uprzejmy przekazać moje pozdrowienia panu Shawe-Wilsonowi i powiedzieć mu, żeby przyszedł do mojej kabiny.

Shawe-Wilson przyszedł trzymając ręce w kieszeniach. Powitał Ebbsa wymuszonym uśmiechem: — Pan czegoś chciał ode mnie?

— Oczywiście, panie Shawe-Wilson. Proszę, niech pan wejdzie. Mam nadzieję, że dziś wrócił już pan do równowagi?

— Tego już za wiele! — Usiadł na krawędzi biurka Ebbsa i sam poczęstował się papierosem. — Ostatniej nocy ja przynajmniej zachowałem się jak dżentelmen.

— Panie Shawe-Wilson — uprzejmie rzekł Ebbs. — Przypominam panu, że jeszcze ciągle jesteśmy w tym samym stosunku służbowym co w chwili rozpoczęcia rejsu. Życzliwość, jaką ani pan okazuje, jest wprawdzie ogromnie krzepiąca, lecz czuję, że muszę pana prosić.

by w kabinie swojego kapitana zachowywał się pan nieco bardziej oficjalnie.

— Ma pan zapalki? — spytał Shawe-Wilson.

— Tak. Tam. Niemniej jednak...

— Już niedługo będę z panem — przerwał Shawe-Wilson. — Schodzę ze statku natychmiast po zacumowaniu w Londynie.

— Naprawdę?

— Tak. Żenię się.

— Gratuluję.

— Rzucam morze. Będę mieszkał w Warwickton. Wie pan, gdzie to jest? Moja narzeczona ma tam zamek.

— Nie, niestety, mam nader wielkie zaniedbania w znajomości uroczych zakątków.

— Musi i pan przyjechać nas odwiedzić, kiedy się tam osiedlimy.

— Z przyjemnością.

— Pobierzemy się w bardzo niedługim czasie — ciągnął Shawe-Wilson. — Moja narzeczona zmieniła swe plany i płynie z nami z powrotem do kraju. Ślub będzie w maju. Przypuszczam, że w kościele św. Jerzego na Hannover Square. Inny nie wchodzi w rachubę, prawda?

Eibbs wysiąkał nos. — Panie Shawe-Wilson — rzekł. — Nie wątpię, że zrobi pan wszystko co możliwe, by prędzej czy później poślubić tę nieszczęsną dziewczynę, ale na pewno nie będzie to w maju. Dostałem depeszę z Leadenhall. Przeczytam ją panu: PRZENIEŚĆ FREMANTLE STARSZEGO OFICERA J. R. E. M. W. SHAWE-WILSONA DO KOŃCA JEGO KONTRAKTU NA PRZYCHODZĄCY W PRZYSZŁYM MIESIĄCU S. S. MARTIN LUTHER BAZA HONGKONG.

Przez sekundę Ebbs obawiał się, czy nie dostanie po łbie.

— To kłamstwo! — krzyknął Shawe-Wilson.  
— Niech ipan sam przeczyta, mój drogi. —  
Ebfoz wesoło machnął papierem.

— To sfalszowane!

— Jak pan chce, to może pan sprawdzić  
przez radio. Opłaty nie są wysokie.

— Nie mogą tego zrobić! Nie mają prawa!

Bbbs z powrotem położył nogi na biurku.

— Ależ mogą, panie Shawe-Wilson. Mogą.  
Regulamin Kompanii, wie pan. Umowa, którą  
podpisał pan w Londynie, zobowiązuje pana  
do służby pod moim dowództwem na okres  
osiemnastu miesięcy. Zgodnie z tą umową mam  
całkowite prawo do przeniesienia pana, jeśliby  
to było moim życzeniem, na każdy inny statek  
naszej Kompanii. Ja po prostu działam według  
poleczeń Dyrekcji. Posłuszeństwo jest pierw-  
szym wymogiem, jaki stawia się dobremu ofi-  
cerowi. Jestem pewien, że się pan z tym zga-  
dza, panie Shawe-Wilson.

Shawe-Wilson ze złością rzucił o ziemię pu-  
dełko papierosów Eibbsa.

— Z jakichś tam powodów zabrakło starsze-  
go oficera na „Lutherze”, prawdopodobnie  
umarł. Na „Lutherze” to nie jest wykluczone.  
Teraz ten statek pozostanie na Dalekim Wscho-  
dzie co najmniej przez dwa lata, odeślą więc  
pana do domu po wygaśnięciu umowy za...  
proszę pozwolić mi sprawdzić... — spojrzął na  
swoją stuletni kalendarz. — Szesnaście miesi-  
cy i dwadzieścia osiem dni. Wtedy będzie pan  
mógł odzyskać narzeczoną. Jeżeli jeszcze bę-  
dzie na pana czekała. — Ebbs złożył dłonie  
czubkami ipalców. — Do widzenia, panie Sha-  
we-Wilson. To byłoby wszystko.



Wczesnym rankiem pogodnego australijskiego lata „Charlemagne” opuścił kotwiczowisko Gage Roads i wolno wpłynął na rzekę Swan, kierując się ku przystani we Fremantle. Na pokładzie stała gotowa do wyokrętowania większość pasażerów wyglądających zaskakująco w normalnych ubraniach. Bagaże ich spoczywały już w siatkach ładunkowych pod boma, głęboko pod pokładem stewardzi przeliczali i porównywali otrzymane napiwki, a statkowa orkiestra dzielnie walczyła z katem, starając się zagrać „Waltzing Matilda”\*. Trudno było w to uwierzyć, ale podróż się skończyła.

Odjazd „Charlemagne” z Londynu minął prawie nie zauważony, ale dla gorącokrwistych Australijczyków, dla których słowo „kraj rodzinny” przede wszystkim kojarzy się z wizją Anglii zamglonej, zielonej, usianej dworakami, rojącej się od policjantów, pełnej fos i baszt, jego przyjazd był wydarzeniem o narodowym znaczeniu. Pod długim transparentem z napisem „Witajcie w Australii” kipiący tłum rzucał serpentyny, które trzepocząc przedwcześnie spadały do wody, a kiedy bezpostaciowa masa ludzika za nadburciem zaczęła krystalizować się w twarze, usiłowano powitaniem przekrzywić hałaśliwą rozmowę statku z holownikami. Wkrótce itrapy przebiły burty „Charlemagne” i pasażerowie zaczęli spływać na nabrzeże. Po bez mała miesiącu, w czasie którego ich głównym problemem było, jak spędzić czas, znowu stali w obliczu dobrze znanych utrapień życia zbiorowego, reprezentowanych przez celników, kontrolera paszpor-

\* „Waltzing Matilda” — popularna piosenka australijska, nieoficjalnie spełniająca rolę hymnu.

tów i zgryźliwych bagażowych, już narzekających na wysokie koszty utrzymania i niskie napiwki.

— Odlatują jak sen w zapomnienie — pośpiesznie zarecytował Ebbs. Sam nie widziany, obserwował lądujących pasażerów z zakątka mostku. Z głębokim wzruszeniem wysiąkał nos.

— Madam czeka, panie kapitanie — powiedział Burtweed ukazując się na schodach.

— Och, dobrze! — Ebbsowi natychmiast rozjaśniła się twarz. — Chcę, żeby mi nie przeszkadzano, Burtweed. Przez jakieś pół godziny. Zrozumieście?

— Doskonale, panie kapitanie.

Ebbs zachichotał. — Burtweed, wkrótce dostaniecie z powrotem waszą fotografię.

— Dziękuję, panie -kapitanie. Dobrze będzie znowu na nią i popatrzeć. To jedyny jasny promień w naszych kabinach, panie kapitanie.

— Jestem wam za nią bardzo wdzięczny, ale z przyjemnością mogę wam powiedzieć, że wkrótce będzie... zbyteczna. — Nieśmiało zerknął na Burtweeda. — Za okazaną życzliwość, za to, żeście mi ją pożyczyci, chciałbym się wam jakoś odwdziaczyć, Burtweed. Może weźmiecie sobie z baru karton piwa i każecie to wpisać na mój rachunek?

— To bardzo uprzejmie ze strony pana kapitana, ale na morzu nie tykam nawet kropelki.

— No to może karton papierosów?

— Również nie palę, panie kapitanie.

— No ale chyba jest coś, co byście chcieli mieć? Cokolwiek, mój drogi... tylko powiedzcie.

— Przydałoby mi się trochę soli do nóg.

— Soli do nóg? Ależ oczywiście. Zamówcie sobie, ile chcecie, w sklepiku. Podpiszę kwitek.

— Pan kapitan jest bardzo, bardzo dobry — powiedział Burtweed ze wzruszeniem.

— Głupstwo, Burtweed. To drobnostka. Mam nadzieję, że sól zapewni wam parę godzin przyjemności. No a teraz do moich prywatnych spraw.

— Nareszcie sami! — zawołał wpadając do swojej kabiny i rzucając czapkę w kąt. — Alibo prawie sami.

— Drogi Williamie! — pani Judd ponętnie siedziała w rogu kanapy. — Teraz „Charlemagne” będzie bardzo spokojnym statkiem aż do Sydney.

— Ale ty, moja droga, będziesz na nim — powiedział siadając przy niej i ujmując jej rękę.

— Ty moje słodkie kochanie! — ostrożnie rozwichrzyła mu włosy.

— A teraz — odezwał się Bbbs. Dwukrotnie wysiąkał nos. — Teraz mam ci coś do powiedzenia.

— Tak? Słucham, Williamie. — Usiadła wygodniej.

— Edith, kochanie. Znamy się dopiero od krótkiego czasu. Naprawdę krótko, w sensie czasu. Ach... rozumiesz?

Skinęła głową.

— Niemniej jednak iw warunkach życia statkowego mieliśmy się możliwość poznać dobrze. Nawet szczególnie dobrze. Rzeczywiście doskonale. — Sięgnął przez biurko i z powagą wziął zdjęcie Burtweeda. — Edith. Zacznę od przyznania się.

— Przyznania się? — wyglądała na zaskoczoną.

— Och, to nic nieprzyjemnego. Zapewniam cię. Wręcz przeciwnie. Coś bardzo przyjemnego. Takiego, co naprawdę stawia i ukazuje wszystko w zupełnie innym świetle. Zupełnie

innym. W świetle, które, muszę przyznać, już wcześniej chciałem rzucić na pewne sprawy. Widzisz, to nieprawda... Tak, Burtweed? Co tam? — Spojrzał z niezadowoleniem, gdy „tygrys” odsunął zasłonkę na drzwiach.

— Przepraszam, panie kapitanie, ale jeden z pasażerów chce się z panem pożegnać przy trapie.

— Burtweed, zdaje się, że wam wyraźnie powiedziałem, żeby mi nie przeszkadzano?

— Przepraszam, panie kapitanie. Ale to coś zupełnie wyjątkowego.

— No dobrze. — Etabs niecierpliwie wsunął fotografię do kieszeni. — Wybacz, Edith. Na minutkę. Nie odchodź — dodał.

— Na pewno nie pójdę — powiedziała z naciskiem.

— Co za diabeł? — szeptem spytał Ebbs po wyjściu z kabiny.

— Pani Porteous, panie kapitanie. Nie chciałem mówić nazwiska.

— Bardzo słusznie. Bardzo słusznie.

— Przysłała bilecik, który miałem panu kapitanowi dyskretnie wręczyć.

Ebbs rozprostował złożoną kartkę papieru i czytał:

„Drogi Kapitanie! Czy nie ma pan z-oniam pożegnać dziewczyny? Muszę się z panem zobaczyć. Niesłychanie ważne. Jeśli pan nie przyjdzie, powiem wszystko! E. P.”

— Gdzie ona jest? — spytał nerwowo, mnąc papier.

— Przy trapie wyjściowym pierwszej klasy, panie kapitanie.

— Chyba lepiej pójdę.

Pani Porteous, już rozgrzana w zbyt obszer-  
nym futrze z norek, zamruczała jak kotka: —  
Kapitanie, tak bardzo chciałam, żeby pan po-  
znał mojego męża.

— O... jak się pan ma? — powiedział Ebbs z zakłopotaniem podając rękę. W czasie podróży często usiłował sobie wyobrazić męża pani Porteous i niewyraźnie przedstawiał go sobie jako mieszkanke Supermana\* z Anthonym Edenem\*\*. Tymczasem okazał się żółtawym, tłustym, sympatycznym facetem w grubych okularach i ubraniu w kratę.

— No teraz idź kochanie, i dopilnuj bagażu — rzekła pani Porteous. — Ja tu zostanę i pożegniam się z kapitanem.

Kiedy zostali sami, uśmiechnęła się do Ebbsa i powiedziała: — Byłam strasznie nieznośną dziewczynką, prawda?

— No, musi pani przyznać, ma dam, że były momenty...

— Mało nie pękłam ze śmiechu na widok pańskiej miny tej nocy, kiedy zastał mnie pan w swojej kabinie.

— Może nie będziemy teraz poruszali tego tematu?

Łagodnie położyła rękę na jego ramieniu. — Jestem wcieleniem dyskrecji.

— Jestem pewien, że ma pani ku temu poważne powody — powiedział sztywno.

— No, kapitanie — ciągnęła miękko. — Zdaje się, że pod tym względem zyskał pan coś dla siebie w tej podróży.

— Tak — zgodził się Ebbs, nabierając chęci do tej rozmowy. — Wierzę, że naprawdę zyskałem.

— Talka miła osoba ta Edith Judd.

— Bardzo miła.

— Zabawnie pomyśleć — ciągnęła pani Porteous — że na początku podróży prawie ciągnęła

\* Superman — postać z filmów i komiksów, obdarzona nadprzyrodzonymi zdolnościami.

\*\* Anthony Robert. Eden — były angielski premier i minster spraw zagranicznych, słynny z elegacji i urody.

nęłyśmy losy o pana — westchnęła. — I ona wygrała. Zdaje się, że moje metody nie są już takie jak kiedyś. Niemniej nie mam o to do niej żalu.

— Miło mi to usłyszeć — sztywno odparł Ebbs.

— Ostatecznie jej potrzeby są o wiele większe niż moje. Ma już i prawie trzydzieści osiem...

— Trzydzieści dwa. Sama mi powiedziała.

— Naprawdę? Pan oczywiście wie, od jak dawna jest wdową?

— Dwa lata. To mi również powiedziała.

Pani Porteous roześmiała się cicho. — O nie, kochanie! Raczej dwa miesiące. Mąż zostawił biedaczkę zupełnie bez grosza. Umarł z przepicia, wie pan... słyszał pan o tym? Taka wdowa podróż morska... — pani Porteous uśmiechnęła się. — Najstarsza przynęta świata, mój drogi. Oczywiście wiedzieliśmy, że naprawdę pan nie jest żonaty. Brygadier zawsze mnóstwo rzeczy opowiadał przy śniadaniu. Ale jestem pewna, że będziecie bardzo, bardzo szczęśliwi — zakończyła pogodnie. — No, mój mąż jest już z powrotem. Do widzenia, kapitanie. Bardzo, bardzo dziękuję za... niezapomnianą podróż.

Zostawiła Ebbsa stojącego przy trapie ze zmarszczonymi brwiami. Wolno poszedł w stronę swojej kabiny. Wyjął fotografię Burtweeda i przyjrzał się jej. Oczywiście pani Porteous była kobietą, na której słowach nie można było polegać. Jednakże o tych rzeczach wiedziała znacznie więcej od niego. Może jej przyziemne plotki zasługiwały mimo wszystko na pewną uwagę? A pani Judd z rozmysłem udawała, że wierzy w jego małe oszustwo. Zatrzymał się przy łodzi ratunkowej numer cztery. W zamyszeniu wisiąkał nos. Dokoła były dźwigi, magazyny, drogi, pola, wzgórze bezlitosnego

lądu. Tuż pod burzą lokomotywa głośno gwizdnęła i na sekundę przestał działać czar morza. Może naprawdę jego decyzja była zbyt pochopna? Przecież nic bardziej złudnego jak gorączkowe zaloty na statku. Przez minutę czy dwie zastanawiał się głęboko. Potem po raz pierwszy w życiu z zaufaniem spojrzął w przyszłość. Postanowił na razie nic więcej nie mówić. Przecież miał przed sobą jeszcze całą drogę do Sydney, żeby coś postanowić. Doszedłszy do tego wniosku, w przyływie nowej, podniecającej fali łobuzerstwa pomyślał: Kto wie, co może przynieść podróż powrotna?



WYDAWNICTWO MORSKIE GDAŃSK 1971 r.  
Wydanie drugie. Nakład 10 000 + 250 egz. Ark. wyd.  
9,4. Ark. druk. 7,375. Papier druk. mat. IV ki., 60 g.  
z fabryki papieru w Kluczach. Oddano do składania  
19 VIII 1970 r. Podpisano do druku i druk ukończono  
w styczniu 1971 r. Zakłady Graficzne w Gdańsku,  
ul. Świętojańska 19/23.      M-3      Cena zł 17.—  
Zam. nr 3233